DROGA DO WOLNEJ OJCZYZNY

ROMAN WOLSKI

DROGA DO WOLNEJ OJCZYZNY

POWIEŚĆ

Z DZIEJÓW WYCHODŹTWA POLSKIEGO W ROSJI

(1914 — 1918)

SKŁAD GŁÓWNY „DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ"
WARSZAWA — PLAC TRZECH KRZYŻY Nr. 8
1 9 3 4

397526

1037 — Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.

Wielkiemu Człowiekowi, Wskrzesicielowi naszej Ojczyzny, Józefowi Piłsudskiemu w hołdzie tę pracę składa

Autor

O D   A U T O R A

Wypadki opowiedziane przezemnie na następujących kartach, nie są wytworem czczej jeno fantazji, i nie są pisane li tylko gwoli rozrywce czytelnika. Powieść, którą obecnie ogłaszam, będzie dokumentem rzeczywistych wydarzeń, które rozegrały się w Rosji w latach 1914 — 1918. Ciężkie to były czasy dla wychodźtwa polskiego, zagnanego tułaczą dolą i wojenną zawieruchą wgłąb państwa rosyjskiego! Na wygnańców i wychodźców czyhały: głód, demoralizacja, i stokroć gorsze, wynarodowienie... Jeżeli kilkuset tysiącom Polaków udało się czoło stawić tylu przeciwnościom—to zasługa w tem głównie owych stowarzyszeń i komitetów, które złożone bądź z przybyłych świeżo do Rosji, bądź też oddawna tam osiadłych Polaków, działały zbawiennie dla półmiljonowej rzeszy braci skupionych w dawnej stolicy Rosji. Działaczom, którzy udział brali w owej szlachetnej i tak owocnej pracy społecznej, należy się wdzięczność za tyle trudów, materjalnych ofiar i serca, poświęconych swemu narodowi.

Autorowi tych słów było przeznaczone być świadkiem naocznym owych pamiętnych wypadków, rozgrywających się podówczas w życiu emigracji polskiej w Moskwie.

W opisaniu owych wydarzeń kierowała mną jedynie miłość prawdy, a nie wzgląd na tę — lub ową partję.

Nadając swej powieści charakter dokumentu, wplotłem szereg autentycznych nazwisk, za co osoby zainteresowane najgoręcej tą drogą przepraszam.

Rozdział I.

Lipiec 1915 roku rozstrzygnął sytuację na froncie rosyjsko - niemieckim. Pod naporem armji niemieckiej, Rosjanie coraz szybciej cofali swe pozycje na wschód, ustępując wrogim zastępom ziemie b. Królestwa Kongresowego.

Warszawa powoli szykowała się do nieuchronnej okupacji niemieckiej. Już w czerwcu 1915 roku rodziny wojskowych rosyjskich i urzędników ewakuowano wgłąb Rosji. Zwijano urzędy i biura administracyjne, pozostawiając jeszcze urzędy kolejowe i wojskowe.

Jednakże już w drugiej połowie lipca i te ostatnie placówki rządów moskiewskich rozpoczęły szykować się do odwrotu.

Ludność Warszawy żegnała bez żalu moskali. Niemniej nadejścia niemieckich okupantów oczekiwała z niepokojem, potęgowanym tragicznemi wypadkami i krwawą gospodarką hord pruskich w Kaliszu w 1914 roku. Lecz w sercach coraz silniej zakorzeniała się wiara, że poprzez Golgotę niewoli, poprzez

męczeństwo najlepszych synów Polski, gnębionych we wszystkich trzech zaborach, poprzez piekło okropnej wojny światowej, otworzą się dla Polski wrota do Wolności.

W takim to nastroju zastał Warszawę dzień 3-ego sierpnia 1915 roku. W dniu tym skończyło się panowanie Rosji w stolicy. O godzinie 8-ej wieczorem odszedł ostatni pociąg, oznaczony literą „P". Wywiózł on Polaków, pracujących do ostatniej chwili na kolei i naczelną kolejową władzę rosyjską.

Ów dzień 3-ego sierpnia 1915 roku nie zatrze się nigdy w pamięci tych, którzy go przeżyli w stolicy. Mimo częściowego opustoszenia miasta, na ulicach panował gorączkowy ruch; tłum ludzki spieszył w różnych kierunkach, pędziły dorożki. Na twarzach przechodniów widniało zasępienie, lub podniecenie niepewność, czy lęk przed tem, co się miało zdarzyć

W świątyniach, przez cały dzień otwartych, gromadziły się tłumy. Szukano otuchy przed mającem nastąpić niepewnem jutrem, pociechy — w przeżytych krzywdach i niedoli. Jedni, wywożeni przez Rosjan na niepewną tułaczkę, inni, pozostający w kraju bez opieki i materjalnego zabezpieczenia, w oczekiwaniu nowego wroga, korzyli się u stóp Zbawiciela, błagając Go o opiekę, siłę i wytrwałość, dla zniesienia tego, co los przeznaczy.

W sklepach ruch był zwiększony, lecz nabywano zakupy bez zwykłego w tym wypadku rozgwaru. Ludzie spełniali swe codzienne sprawy, lecz myślami byli od nich daleko.

W mieszkaniach prywatnych prawie w każdej rodzinie panował nastrój żałoby: tu odjeżdżał pan domu, tam żegnano syna, karmiciela rodziny, gdzieindziej zostawiano bez opieki staruszków rodziców, czasem krewnych w opustoszałem mieszkaniu, — lub całe mienie pod opieką służącej, czy sąsiadów. Byli i tacy, którzy, wybierając się w nieznane bezkresy olbrzymiego rosyjskiego imperjum, w sybirskie mrozy, czy dagestańskie upały, marzyli, że tam wykuwać będą wolność dla swej ojczyzny. W jakiej postaci miała się ta wolność objawić, nikt dobrze nie wiedział. Jedni sądzili, że będzie to Polska, oddana pod egidę ostatecznego zwycięzcy, inni widzieli ją wolną, wyrwaną z pęt zaborców. Ostatnie wypadki wojenne sprawiły, że rozgorzało zarzewie wolności, które przez cały czas niewoli tliło się w piersi każdego Polaka. A przytem budziła się jakaś niejasna nadzieja, że stanie się kres cierpieniom, i że czas pokuty za winy przodków zbliża się ku końcowi. Były to jednak marzenia przyszłości. Rzeczywistość mogła jedynie napełniać serca smutkiem. To też wszędzie żegnano się ze łzami i polecano wzajemnie opiece Boga Najwyższego.

A nad tem wszystkiem świeciło gorące sierpniowe słońce, pragnąc jak gdyby kłam zadać i smutkom, i łzom i zwątpieniu.

Przybliżał się czas odejścia owego ostatniego pociągu. Złożony z samych salonowych wagonów i pulmanów I i II klasy, zaopatrzony w dwa parowozy,

od dwuch dni stał już pod parą na dworcu Głównym, gotowy w każdej chwili do drogi.

Każdy, kto otrzymał rozkaz odjechania tym właśnie pociągiem, miał przeznaczone w wagonie swe miejsce, które według starszeństwa służbowego sformowanej listy odjeżdżających, zatwierdził ówczesny naczelnik drogi żelaznej Warszawko - Wiedeńskiej, inżynier Adam Frank.

Wagony, które miały pomieścić 1000 urzędników, zaopatrzone były we wszelkie wygody, w przewidywaniu długiej podróży. W jednym z nich urządzono obszerną kuchnię, pod opieką specjalisty, właściciela bufetu na dworcu głównym, kazańskiego Tatara.

Komendant pociągu został naznaczony z pośród urzędników. Otrzymał on instrukcję wojenną, wraz z listą jadących osób. Był nim bohater naszej powieści, Ryszard Wąwolnicki. W wojskowym mundurze kapitana, żywego z natury usposobienia, energicznie przystąpił do zainstalowania porządku i reguły wojskowej. Do ostatniej chwili pełnił on służbę na dworcu Głównym. Wśród gorączkowej pracy nie miał dość czasu, aby zastanowić się nad chwilą, która nieubłaganie się zbliżała: nad rozstaniem się z Warszawą.

Czynny i niestrudzony, zdawał się być pochłonięty obowiązkami, bacząc, by nic nie pominąć ważnego. Był to mężczyzna miłej powierzchowności, szatyn, średniego wzrostu, o twarzy z czarną niewielką bródką. Rysy znamionowały zdecydowanie i odwagę.

Ponieważ naczelnik drogi wydał rozporządzenie, aby o godzinie szóstej wszyscy już byli na swych miejscach w pociągu, zaraz więc po południu zaczęto się zjeżdżać na dworzec.

Ogólnie było wiadomo, że pociąg odjeżdża o 8-ej. Około 6-ej tłumy zgromadziły się na dworcu. Przybywały rodziny odjeżdżających, aby ostatnie chwile spędzić razem.

Plac podjazdowy od strony ulicy zapełnił się również ludźmi, zaciekawionymi wielką ilością pojazdów, jakie tam zajeżdżały. Publiczność przyzwyczajona, że od wybuchu wojny kursowały przeważnie pociągi wojskowe, zatrzymywała się, zaintrygowana dużą ilością cywilnych, jacy śpieszyli na dworzec. Straż obywatelska, która zastąpiła miejsce rosyjskiej policji, bezskutecznie pracowała nad rozproszeniem tłumu, który tamował swobodny dostęp do dworca.

W pociągu, który od paru dni był już gotowy do odejścia, zapanował ożywiony ruch; tu zajmowano miejsca w wagonach, tam znów ładowano bagaże, ówdzie przenoszono z biur rozmaite akta i papiery, a parowozy co parę minut wypuszczały nagromadzoną parę, głusząc na chwilę wszystko swym sykiem.

Na peronie pełno kobiet starszych i młodych, z załzawionemi oczami, spacerowało z odjeżdżającymi synami i mężami, ojcami i braćmi. Wszystko to odbywało się pospiesznie i gorączkowo, lecz jednocześnie w jakimś smutnym, jakby grobowym nastroju.

O wpół do ósmej zwiększył się ruch przy wagonach salonowych. To wyżsi dygnitarze administracyjni i kolejowi zaczęli zajmować swe miejsca. Wśród nich znajdował się naczelnik ruchu, w uniformie pułkownika armji rosyjskiej, — Leontjew, Rosjanin. Zoczywszy przy pociągu nadkonduktora, starego wiarusa, „wiedeńczyka", z dużą ciemną blond brodą, wykrzyknął po rosyjsku:

— Panie Koroli, gdzie jest komendant pociągu?

— Jest tu w wagonie I-ej klasy, panie naczelniku, — odpowiedział tamten, salutując.

— Proszę go poprosić.

Gdy podszedł Ryszard Wąwolnicki, półgłosem rzekł do niego:

— Bezapelacyjnie o ósmej opuszczamy Warszawę. Proszę zarządzić, aby wszystko do odjazdu było gotowe. Jak przejedziemy do Marek, proszę zdać raport, czy wyjechali i są w pociągu wszyscy ci, którzy figurują na liście, czy służba w porządku. Nadmieniam, że pod pańską surową odpowiedzialnością zabrania się przewozić kogokolwiek, nienależącego do personelu służbowego, lub nie wymienionego na liście.

Wąwolnicki zasalutował służbowo.

— Proszę również zwrócić uwagę na maszynistów i służbę konduktorską. Niechaj zmieniają się co 12 godzin i nie pozwalają sobie zbyt wiele.

— Ręczę, że będą na wysokości zadania.

— Polegam na panu, rzekł naczelnik.

Ryszard poszedł pełnić swą służbę; przeszedł wzdłuż pociągu, porozumiał się z maszynistą Kożuchowskim, zwrócił uwagę, czy kończą ładować bagaże — i gdy się przekonał, że wszystko gotowe do odjazdu, pospieszył do stojącego na peronie naczelnika, aby mu zdać relację.

Do pociągu zbliżył się naczelnik drogi, inżynier Frank.

— Dobrze, — rzekł p. Leontjew do Ryszarda, który podszedł zdać raport, — możemy za chwilę odjechać. Proszę kazać dać pierwszy sygnał, a gdy wszyscy już wsiądą, — drugi, jako hasło, że ruszamy.

Obaj naczelnicy, zamieniwszy z sobą kilka słów, wsiedli do salonowego wagonu, stojącego pośrodku pociągu. Ryszard tymczasem dał polecenie nadkonduktorowi Koroli. Na jedno podniesienie ręki rozległ się krótki świst, ponim nastąpił drugi, odbijając się przenikliwem echem zarówno w sercach tych, co odjeżdżali, jak i pozostających w Warszawie, w oczekiwaniu niepewnego jutra.

Na peronie zapanował zgiełk i zamieszanie. Zaczęto się żegnać; jedni drugim padali w objęcia, błogosławiąc się wzajem i polecając opiece Bożej. Gdzieś w końcu peronu rozległ się donośny płacz i ktoś upadł na ziemię. Była to matka, która żegnała dwuch synów. Na pomoc zemdlonej pospieszyła publiczność i lekarze. Zajście owo podnieciło zebranych, którzy do tej pory trzymali nerwy na wodzy. To też stąd i zowąd dały się słyszeć szlochy i płacze. Przygnębienie panowało dokoła.

Ryszard Wąwolnicki nie zostawiał nikogo z bliskich w Warszawie. Żona jego już przedtem wyjechała do Rosji. Ogólny jednak nastrój udzielił się i jemu. W tym momencie jasno zdał sobie sprawę, że zostawia umiłowaną ojczyznę. Wrażliwe serce sprawiło, że skurcz chwycił mu gardło, jak w kleszcze. Odwrócił się twarzą w stronę wagonu, zacisnął mocno pięści, aż palce wpiły się w dłonie, hamując w ten sposób szloch, który wyrywał się z piersi. Nie było to łatwo; wokół rozlegały się spazmy, jakby nad grobami zmarłych. Ryszard spojrzał na zegar. Wskazywał 8-ą. To zmusiło go do opanowania nerwów. Należało już bezzwłocznie wyjechać. Dał znak nadkonduktorowi i pociąg zwolna ruszył. Wśród tych, co zostawali, prócz płaczu i jęków rozlegały się wołania:

— Niech was Bóg prowadzi! Wracajcie jak najprędzej!

Ryszard, wskoczywszy na stopień wagonu, stał, obrzucając wzrokiem tych, co zostawali na peronie Smutny to był widok. Pociąg tymczasem posuwał się żółwim krokiem naprzód, jakby przeczuwając, że wiezie wielu na ciężką tułaczkę, odrywając na długo od ojczystego gniazda.

Gdy pociąg minął peron i coraz szybciej posuwał się naprzód, Ryszard wszedł do wagonu, w którym wraz z najserdeczniejszymi kolegami miał spędzić drogę. W przeznaczonym dla siebie przedziale zastał kolegę Fleszyńskiego Juljusza, zanoszącego się serdecznym płaczem; nad nim stał syn jego, Rudolf,

student, i uspokajał go jak umiał, z trudem powstrzymując łzy. Trzeci towarzysz podróży w milczeniu przypatrywał się scenie. Nie płakał, lecz w twarzy jego widać było głęboką troskę. Ryszard tym razem nie umiał zapanować nad sobą: padł ciężko na ławkę i zaszlochał głośno:

Wszyscy trzej rzucili się na ratunek.

— Rudek! — zwrócił się pan Fleszyński do syna, — rozepnij mu mundur, i dajcie mu kolońskiej wody i walerjanowych kropli!

Gdy atak minął, milczeli długo wszyscy, wreszcie rzekł Ryszard:

— Trudno nam opanować nerwy, a jednak nie powinniśmy rozpaczać. Nie wolno nam wątpić, że niedługo wrócimy do naszej drogiej ojczyzny.

— Skąd masz tę pewność, że armja rosyjska rozbije pruską nawałę? — spytał pan T., otrząsając się z zadumy.

— Bo na czele koalicji stoją takie armje, jak francuska i angielska, a te pod względem inteligencji, wynalazków i siły ćwiczebnej przewyższają Niemców; przytem przed nami idzie Bóg sprawiedliwy, a za nami krzywda, jaka nam się dzieje przez półtora wieku.

— Daj Boże, aby było tak jak mówisz. Teraz w tym chaosie wypadków trudno coś pewnego przewidzieć; ciężko też pomyśleć, co dzisiaj my, Polacy, musimy przeżywać: owe bratobójcze walki, jakie w obecnej wojnie musimy prowadzić, podszczuwanie wzajemne na siebie we wrogich sobie trzech zaborach, czy to

nie klęska? trudno sobie wyobrazić tragiczniejszą sytuację.

Mówiąc to, pan Fleszyński patrzał ze smutkiem na przyjaciół.

— Jakże zapomnieć o tem, — dodał pan T., — że tych, których pozostawiamy za sobą, czeka nieuniknniona okupacja niemiecka. Ślady jej są okrutne, czego dowodem jest Kalisz.

— Moi drodzy, — rzekł Ryszard, — jesteśmy już czwartem pokoleniem, które cierpi w niewoli; daj Boże, abyśmy byli — ostatniem. Podobnej wojny świat dawno nie pamięta. Z wielkich trudów rodzą się wielkie czyny. Może Bóg nam pozwoli zobaczyć wolną Ojczyznę.

Zapanowało pełne powagi milczenie, poczem wszyscy serdecznie uścisnęli sobie dłonie.

Wkrótce pociąg zatrzymał się w Markach. Niektórzy z podróżnych powychodzili z przedziałów na korytarz, wyglądając przez okna na stację, pełną wagonów i wojskowych pociągów. Przyjaciele wiedli dalej rozpoczętą rozmowę, gdy wtem otworzono ich przedział i poczęto się dopytywać, jak długo będzie trwał postój. Trudno było jednak dać na to odpowiedź, gdyż najpierw musiały odejść tabory wojskowe.

Zrobiło się już ciemno, gdy do przedziału wszedł naczelnik Leontjew.

— Panie Wąwolnicki, — rzekł, — może pan będzie łaskaw udać się na dworzec do komendanta stacji, aby się dowiedzieć, jak długo jeszcze będzie-

my tu stać. Należy powołać się na depeszę naczelnika wojennej komunikacji, w której zaznaczono, iż mamy pierwszeństwo przed innemi pociągami. Proszę mi dać znać, jaka będzie odpowiedź. Będę w przedziale naczelnika Franka.

Ryszard, wezwawszy nadkonduktora, wyszedł z nim na dworzec. Gdy mijali inne pociągi, stojące na torach, dobiegały ku nim krzyki i rozgwar, ponieważ wagony pełne były wojska.

Ponad tym jednak gwarem górował zgiełk, jaki szedł od strony Warszawy. Słychać było wyraźne dudnienie, na niebie błyszczała łuna.

Gdy Ryszard wszedł do stacyjnego budynku, dowiedział się od komendanta, że musi być najpierw wysłany tabor artylerji do Tłuszcza i Małkini, by linję kolejową ochronić przed naporem armji niemieckiej, gdyż w przeciwnym razie nie możnaby dalej jechać, a tymczasem na stacji czeka kilkadziesiąt pociągów ewakuacyjnych i wojskowych.

— Panie komendancie, — rzekł Wąwolnicki, — rozumiem to doskonale. Wiem również, że po przepuszczeniu pociągów wojskowych, my pojedziemy pierwsi. Zwrócił mnie tu naczelnik z zapytaniem, kiedy to mniejwięcej nastąpi?

— Między godziną 12-ą, a 1-ą w nocy. Już o dwunastej może mi pan przysłać nadkonduktora z raportem jazdy.

Po zakomunikowaniu tej wiadomości naczelnikowi, Ryszard dał się namówić kolegom i w ubraniu położył się, aby trochę wypocząć. Pieczę nad pocią-

giem powierzył panu Korolemu, na czujność którego mógł w zupełności liczyć.

Ryszard nie spał. Leżał na kanapie i zastanawiał się nad obecną sytuacją, która nie wróżyła bezpiecznej drogi. Nie minęła godzina, gdy rozmyślania przerwał mu ogłuszający huk. Detonacja powtórzyła się kilkakrotnie. Wszyscy, nawpół ubrani, wybiegli na korytarz. Pootwierano okna, wytężając w ciemności wzrok w stronę Warszawy, skąd szedł daleki hałas i rozgwar. Dowiedziano się znacznie później, że to rosyjscy saperzy burzyli most Poniatowskiego.

Nie minęło i pół godziny, gdy ponowne huki dały się słyszeć. Powybiegano znów na korytarze tym razem ujrzano oświetlony reflektorami niemiecki zepelin, który unosił się nad starą dzielnicą Warszawy i puszczał na bezbronną, uśpioną ludność pociski.

— W ten sposób wandale anonsują swą wizytę w Warszawie, rzekł Ryszard.

— Chcą widocznie steroryzować ludzi, żeby pod wpływem lęku, nie sprzeciwiali się ich wymaganiom, dodał ktoś, stojący na korytarzu.

Powoli rozchodzono się do przedziałów, aby trochę odpocząć. Wkrótce rozległy się świstki i pociąg ruszył w dalszą drogę.

Rozdział II.

DALSZA PODRÓŻ PO POLESKICH SZLAKACH.

Pociąg biegł naprzód. W wagonach było ciemno i spokojnie, gdyż wszyscy ułożyli się do snu. Ryszard, mimo, iż czuł zmęczenie, nie mógł zmrużyć oka. Zerwał się więc z kanapy i wyszedł na korytarz. Byli dopiero za stacją, gdyż przez okno widać było szeregi wagonów z taborem wojskowym, przyszykowanym do drogi. Gdy wreszcie wyjechali w szczere pole, było tak ciemno, że nie odróżniało się nieba od ziemi. Czasami snop iskier rozpłynął się w mroku. Pociąg rozwijał coraz większą szybkość, jakby uciekając przed niebezpieczeństwem. Tymczasem niebezpieczeństwo było naprzeciw.

Cicho skrzypnęły drzwi, mignęła ręczna latarka i w korytarzu ukazał się nadkonduktor Koroli. Szedł ostrożnie, aby nie zbudzić śpiących w przedziałach. Zbliżył się do Wąwolnickiego i powiedział:

— Dzięki Bogu jedziemy.

— A dokąd mamy wolną drogę?

— Niestety, tylko do Wołomina.

— Dlaczego nie puszczają nas do Tłuszcza?

— Bo przed nami poszły pociągi z wojskiem. Musimy zachować wielką ostrożność, gdyż między Tłuszczem, a Łochowem, po prawej stronie toru, napiera armja niemiecka, chcąc nam przeciąć drogę. Dlatego wysłano transporty z artylerją, by swym ogniem powstrzymać ich, i umożliwić nam dalszy przejazd.

— Ładna sprawa! Możemy przecież być ostrzeliwani.

— Wszystko jest możliwe. Uprzedziłem maszynistów. Zdecydowani są pędzić choćby 100 wiorst na godzinę.

— Zastanawiam się tylko nad jednem, mówił Ryszard, czy nawierzchnia toru wytrzyma taki bieg?

— Trudno, musimy ryzykować. Zresztą na tym szlaku kursowały pociągi kurjerskie.

— Ano, zobaczymy, co będzie. Dobrze się składa, że wszyscy śpią. Niepotrzebnieby się denerwowali. My obydwaj będziemy czuwać, jużbym teraz nawet nie mógł zasnąć.

Niedługo też usłyszeli świst parowozu i ujrzeli semafor. Pociąg zaczął zwalniać biegu, wreszcie stanął w Wołominie.

— Niech pan idzie do dyżurnego ruchu, rzekł Wąwolnicki — i nalega, żeby nasz pociąg jak najprędzej przepuścił. Musimy póki ciemno przejechać zagrożone miejsce, gdyż inaczej niebezpieczeństwo będzie stokroć gorsze.

W pięć minut później ruszono w dalszą drogę. Pociąg szedł pełnym biegiem. Pęd był tak silny, że nawet na korytarzach wyczuwało się chybotanie. Połączenia wagonów zgrzytały jednostajnie. Ów zgrzyt i kołysanie usypiały widocznie jadących, gdyż drzwi wszystkich przedziałów były zamknięte.

Ryszard stał sam na korytarzu. Trzymając się za balustradę, aby zachować równowagę, wpatrywał się w czerń nocy. Mimo szalonego pędu, minuty się dłużyły. Od czasu do czasu spoglądał na zegarek, czas jednak posuwał się wolno. Wreszcie pociąg zatrzymał się w Tłuszczu.

Gdy po kilkunastu minutach nie ruszali w dalszą drogę, a nadkonduktor nie wracał do wagonu, Ryszard postanowił osobiście dowiedzieć się o przyczynie tak długiego postoju.

W kancelarji, do której wszedł, było gwarno. Zgromadziło się tam kilkanaście osób. Wśród służby kolejowej i oficerów znać było podniecenie; wszyscy tu zebrani przybyli tu w jednym i tym samym celu: każdy z nich chciał się dowiedzieć, kiedy jego pociąg będzie puszczony w dalszą drogę. Przy aparatach siedziało dwuch telegrafistów. Obok nachylony nad taśmą, stał dyżurny ruchu. Z całą uwagą śledził, co nadawała następna stacja. Mimo panującego gwaru, wszyscy w napięciu oczekiwali wiadomości. Między zebranymi był też nadkonduktor Koroli. Ryszard zwrócił się do niego z pytaniem:

— Nie wie pan, czy prędko pojedziemy?

— Oddział wojska, wysłany przed dwunastą godziną, jeszcze nie doszedł do Łochowa.

— Jakto, piętnaście kilometrów jadą przeszło dwie godziny?

— Niestety, oni nie jadą. Musieli w drodze wyładować artylerję i powstrzymują atak nieprzyjacielski, odezwał się dyżurny ruchu.

— Jestem komendantem pociągu, opatrzonego literą „P", rzekł Ryszard. Chciałbym się dowiedzieć, jak prędko będziemy mogli pojechać dalej?

— Właśnie o to pytałem, lecz mówią z Łochowa, że trzeba jeszcze czekać. Dopiero w tej chwili wpuścili na stację poprzedni pociąg.

— A czy droga bezpieczna? Bo w Wołominie mówiono, że Niemcy obstrzeliwują pociągi. Chcą podobno popsuć tory i mosty. Jakby w odpowiedzi na to pytanie, do uszu zebranych doleciał przytłumiony odgłos strzałów.

— To echo niesie odgłos pocisków. Zdaje się, że broń dużego kalibru, powiedział jeden z oficerów.

— Ciekaw jestem, rzekł Ryszard, czy to strzały rosyjskie, czy pruskie?

— Zdaje się, że to rosyjska ciężka baterja, którąśmy niedawno wysłali.

Wtem aparat telegraficzny zaczął dawać sygnał. Wszyscy też uwagę skierowali w tę stronę.

Po chwili telegrafista oznajmił, że Łochów daje drogę pociągowi „P".

Nastąpiło zamieszanie. Zaczęły padać utyskiwania, gdyż każdy chciał mieć pierwszeństwo.

— To niesprawiedliwie, odezwał się jeden z oficeórw. My czekamy już od kilkunastu godzin. Prowadzę pociąg sanitarny. Chyba ranni mają pierwszeństwo.

— Niestety, rzekł dyżurny ruchu, mam inne polecenie i muszę je spełnić.

— Podobne zarządzenie sprzeciwia się przepisom wojennym.

— A jednak dostałem taki rozkaz od naczelnika wojennej komunikacji. Proszę spojrzeć: jest to depesza pułkownika Kuźnickiego.

Do rozmowy wtrącił się Wąwolnicki:

— A który też numer pańskiego pociągu?

— 343. Wyjechaliśmy z Warszawy wczoraj o 11 rano.

— O ile sobie przypominam, są to lekko ranni i rekonwalescenci. Bardzo mi przykro, że muszą czekać, cóż jednak mogę na to poradzić.

Na tem zamknięto dyskusję. Za chwilę Ryszard z nadkonduktorem Koroli, otrzymawszy zezwolenie na odjazd i potrzebne papiery, poszli spiesznie w stronę pociągu. Natychmiast dano sygnał do odjazdu i pociąg ruszył.

— Trzeba dopilnować, rzekł Wąwolnicki, żeby nigdzie nie świeciły się światła. Radziłbym nawet pogasić tylne sygnały. Będzie im trudniej nas ostrze-

liwać. Musimy za wszelką cenę zdążyć umknąć przed świtem do Łochowa.

— Przewidziałem to wszystko, rzekł p. Koroli. Uprzedziłem już nawet maszynistów.

W miarę jak pociąg zaczął się oddalać od Tłuszcza, huk armat słychać było coraz wyraźniej.

Pociąg rwał z całej siły, wyrzucając z parowozów słupy iskier.

— Ależ one nas zdradzą, rzekł Ryszard. Prawdopodobnie widać je o kilka stąd kilometrów.

— Przewidziałem i to; na 7-ym kilometrze za stacją, maszyniści zamkną regulatory i pojadą dalej siłą rozmachu. Dlatego też teraz jadą tak szybko, aby mieć zapas energji na przejazd niebezpieczngo miejsca, które akurat wypada na niewielkim spadku.

— Co prawda nasi maszyniści to chwaty chłopy, zwłaszcza ten Kożuchowski, na takim można polegać.

Mówiąc to, Ryszard wpatrzył się w ciemnię nocy. Z prawej strony toru, skąd dochodziły odgłosy strzałów armatnich, widać było tu i owdzie migające światła, które oświetlały okoliczne wsie i łąki.

— Zdaje się, że wjeżdżamy w najniebezpieczniejsze miejsce — rzekł Koroli.

Pociąg szedł szybko, lecz jakby przycichł, a z parowozów nie wydobywała się ani jedna iskierka.

Naraz rozległ się donośny huk, potem ogromny trzask wreszcie mocne szarpnięcie. Ryszard i nadkonduktor nadsłuchiwali bacznie. Po chwili pociąg

zwolnił nieco biegu, a jednocześnie migania artyleryjskich ogni zdawały się oddalać. Pociąg zaczął się wydobywać z niebezpiecznego miejsca.

— Przejechaliśmy obydwa mosty.

— Dzięki Bogu, — odetchnął Ryszard.

Po upływie kilku minut ujrzeli stacyjny semafor. Parowozy odezwały się przeciągle.

— Chwała Bogu, Łochów, odezwał się Koroli. Silna była emocja mogło się znacznie gorzej zakończyć.

Gdy pociąg stanął, obydwaj podeszli do parowozów. Na dworze szarzało. Zdaleka już ujrzeli obydwóch maszynistów, którzy z zainteresowaniem oglądali bok jednego z parowozów.

— Co tak panowie oglądacie? — spytał Ryszard.

— Do Białegostoku może jakoś dojedziemy; tam musimy zażądać innego parowozu. Proszę spojrzeć jak porządnie dostaliśmy szrapnelem.

— Zaraz stąd nadamy depeszę, aby nam naszykowano. Uważam, że i tak dosyć szczęśliwie wyrwaliśmy się z opresji, — zauważył Ryszard. Koniec mógł być smutny.

— Tak, kilka pocisków padło w pobliżu; jeden tylko nas poczęstował. Gdyby był trafił w cylinder, lub w kuple, musielibyśmy tam zostać. Wtedy byłoby ciepło.

— Dwa centymetry niżej, a byłaby klapa, — zauważył drugi maszynista. — Pocisk właściwie się ześlizgnął; dzięki temu jesteśmy tutaj.

Zaraz też Ryszard poszedł z nadkonduktorem do urzędu ruchu, by przeprowadzić formalności, związane z dalszą jazdą i nadać depeszę do Białegostoku o przygotowanie parowozu. Następnie pociąg odszedł i już w równem tempie, nie z dawną zawrotną szybkością, podążał dalej.

Ryszard, poleciwszy nadkonduktorowi, by go zawiadomił, jak tylko przebudzi się naczelnik Leontjew, gdyż chciał go zawiadomić o przebiegu sprawy, poszedł do swego przedziału i, położywszy się na posłaniu, zasnął. Był to dobrze zasłużony wypoczynek.

Nie wiedział, czy spał minuty, czy godziny. W pewnym momencie zbudził go Koroli:

— Panie komendancie, jesteśmy w Małkini. Komendant stacji prosi pana do kancelarji.

Ryszard zerwał się i nawpół zbudzony zawołał:

— Co się stało?

— Wzywają pana zapewne w sprawie obstrzału naszego pociągu.

Za chwilę wyszli spiesznie z wagonu, podążając w stronę stacji. Jak się okazało, chodziło rzeczywiście o sporządzenie aktu obstrzeliwania pociągu. Dokument musiał być podpisany przez komendanta i nadkonduktora pociągu, a także przez dwuch maszynistów.

— Czy tylko nie opóźni to odejścia naszego pociągu? — spytał Ryszard.

— Wszystko najwyżej potrwa 20 minut. Przez ten czas maszyniści nabiorą wody do parowozów.

— A jak tam na tym niebezpiecznym odcinku, czy strzelanina trwa?

— Napór ze strony Niemców jest ogromny, lecz trafiła kosa na kamień; naprzeciw nich stoją dwie artyleryjskie baterje. Dotąd będą bronić pozycji, dokąd wszystkie ewakuacyjne pociągi nie przejdą do Małkini. Tutaj już niema się czego obawiać.

W tym czasie weszła do biura młoda, elegancka i miłej powierzchowności brunetka. Spytawszy jednego z pisarzy o komendanta stacji, zwróciła się do tego ostatniego ze słowami:

— Jestem żoną podpułkownika Korsakowa, naczelnika sztabu 26-ej dywizji. Wracam właśnie od męża, którego odwiedzałam na froncie. Muszę się dostać do Moskwy. Dowiedziałam się, że pociąg, który stoi na dworcu, idzie w tę właśnie stronę. Czy nie zezwoliłby pan, panie komendancie, bym mogła nim pojechać? Zapłacę chętnie koszt biletu I-ej klasy. Oto moja legitymacja.

— Niestety, ten pociąg jest ściśle służbowy. Jest tu obecny komendant pociągu. Może będzie mógł panią zabrać.

— Ach, proszę pana, — zwróciła się do Ryszarda — jestem Nadieżda Korsakowa, żona podpułkownika generalnego sztabu wojsk rosyjskich. Niechże pan nie odmawia mej prośbie. Przecież muszę wrócić do domu, a trudno o lepszą okazję.

Mówiąc to, podała mu zgrabną rączkę, na palcach której mieniły się pierścienie i drogie kamienie.

— Mimo najszczerszej chęci, nic na to poradzić nie mogę. Nie wolno mi zabrać nikogo z postronnych osób.

— Więc pan mi odmawia?

— Muszę stosować się do rozporządzeń.

— Czyż one mogą się odnosić do takich osób, jak ja?

— Instrukcja mówi kategorycznie, że nikt nie może być przewieziony.

— Ach, panie, czy może mi pan taką krzywdę wyrządzać — zawołała z rozpaczą w głosie. Twarz jej pobladła, a z oczów zaczęły płynąć łzy. Wreszcie zwróciła się w stronę komendanta stacji:

— Jeśli pan nie jest w możności wydać polecenia, aby mnie zabrano tym pociągiem, to proszę się wstawić za mną do tego pana. Cóż ja pocznę, jeśli tu zostanę? Wiem, że to ostatni pociąg, który może mnie zabrać. Inne będą już tylko przewozić wojsko, a tymczasem wojska niemieckie tak blisko, — rozpaczała biedna niewiasta.

Widocznie zdołała wzruszyć komendanta stacji, gdyż ten zwrócił się do Ryszarda:

— Wiem, że tym pociągiem nie wolno nikogo przewozić, lecz wobec tego, że znam osobiście męża pani, i mam dla niego wielki szacunek, zwracam się do pana z prośbą, by — wbrew zasadzie — zabrał tę panią. Zaręczam, że jest to osoba, której można

w zupełności zaufać. Nie przyczyni wam najmniejszego kłopotu i nie sprawi nic złego.

— Rozumiem to wszystko i z największą chęcią dopomógłbym pani, lecz mam nad sobą zwierzchnią władzę, która surowo mi tego zabrania.

— Kto to jest taki? Może jabym go osobiście poprosiła?

— Bezpośrednim moim zwierzchnikiem jest naczelnik ruchu, pan Leontjew, a nad nim — naczelnik drogi, pan Frank. Obydwaj śpią jeszcze i nie wypada mi ich budzić.

Wtem wszedł nadkonduktor i rzekł do Ryszarda:

— Panie komendancie, pan Leontjew prosi pana do siebie.

— Dobrze się składa, rzekł Ryszard do pani Korsakowej, przedstawię mu pani prośbę.

Może lepiej będzie, gdy udam się z panem i sama również poproszę?

— Jeśli jest nieubrany, będzie się krępował.

— Tak, dodał nadkonduktor, jak ze mną rozmawiał, był jeszcze w bieliźnie.

— W takim razie ja udam się do niego, — rzekł komendant stacji, — a może co wskóram.

Gdy weszli do wagonu, który zajmował naczelnik Leontjew, Ryszard wszedł do sypialni, zostawiając swego towarzysza w pierwszym przedziale, który służył, jako gabinet.

Naczelnik kończył się ubierać, a gdy ujrzał wchodzącego, powiedział:

— Niechże mi pan opowie cały przebieg podróży.

Tu Ryszard opowiedział wszystko z detalami. Naczelnik słuchał uważnie i rzekł:

— Czemu w krytycznej chwili nie kazał mnie pan obudzić?

— Poco miałby się pan niepokoić? Czy toby co pomogło?

— A inni w pociągu wiedzieli co o niebezpieczeństwie?

— Nie. Po wrażeniach, związanych z wyjazdem, wszyscy mocno spali.

— Wobec tego muszę panu wyrazić słowa uznania, — rzekł, ściskając Ryszardowi rękę. — A czy pan Frank wie o tem?

— Jeszcze śpi, panie naczelniku.

— Jak wstanie, sam mu wszystko zamelduję.

— A teraz mam wielką prośbę. Czy mogę ją wyjawić? właściwie zwracam się do pana naczelnika w imieniu nie swoim, a pani Korsakowej.

Tu opowiedział, w jakiem położeniu znajduje się nieszczęśliwa kobieta i zakończył:

— Możeby można w drodze wyjątku zabrać ją do naszego pociągu?

— Ależ, panie, to niemożliwe. Pod tym względem przepisy są bardzo surowe. Wieziemy przecież ważne papiery.

— Osoba ta posiada wszelkie legitymacje; nie zachodzi najmniejsza obawa, aby cokolwiek mogło być nieprawdą; jest przytem tak zgnębiona...

— Mimo wszystko ja nie mogę ustąpić. W razie, gdyby się o tem ktokolwiek dowiedział, groziłby nam sąd wojenny.

— A jednak chciałbym pana naczelnika przekonać; zupełnie bowiem wykluczone, aby mogła być szpiegiem.

— A w jakim jest wieku?

— Ma około 30-tu lat, a przytem jest bardzo przystojna i miła.

— W tym właśnie wieku niewiasta może wzbudzać jak najwięcej podejrzeń. Radzę panu strzec się kobiet, zwłaszcza podczas wojny.

— Więc pan naczelnik nie pozwala?

— Kategorycznie nie!

— A czy nie byłby pan łaskaw przyjąć komendanta stacji, który pragnie się widzieć i jest tu w sąsiednim przedziale?

— Dobrze, lecz za chwilę; muszę się dokończyć ubierać.

— Ryszard wyszedł do sąsiedniego przedziału, gdzie komendant stacji skracał sobie czekanie, ćmiąc papierosa.

— Słyszałem całą rozmowę, rzekł i wcale się naczelnikowi nie dziwię. Mogę jedynie zaręczyć, że znam osobiście podpułkownika Korsakowa i mam go za zacnego i szlachetnego człowieka. Jest to przytem jeden z wyróżniających się oficerów sztabu.

— A czy pan ma pewność, że to jego żona? Legitymację przecież można podrobić.

— Zupełnie tego jestem pewien, gdyż widziałem u niego jej fotografję. Zawsze ją ma przy sobie. Przez kilka tygodni mieszkaliśmy razem w Warszawie w hotelu Saskim i fotografja stała stale na biurku. Zbyt często na nią patrzałem, abym się mógł pomylić.

W tej chwili naczelnik zbliżył się ku nim.

— Panie pułkowniku, — rzekł tamten, — zwracam się z gorącą prośbą:

Pani Nadieżda Korsakowa jest żoną podpułkownika Korsakowa, mego serdecznego przyjaciela, a poniekąd i zwierzchnika. Znajduje się ona obecnie w nad wyraz trudnem położeniu. Proszę więc panów o zabranie jej, a zaręczam słowem honoru oficerskiego, że jest to osoba godna szacunku i można w zupełności być pewnym, iż nie wynikną stąd żadne niemiłe konsekwencje.

— Stawia mnie pan w bardzo trudnej sytuacji, rzekł naczelnik; wchodzę w zupełności w położenie tej pani i prośbę pańską rozumiem, lecz instrukcja, jaką mam, wzbrania nam tego wyraźnie. A przytem jest tu obecny mój zwierzchnik, pan Frank, który napewno od zasady nie odstąpi.

— Możeby jednak spróbować go poprosić?

— To się napewno na nic nie zda.

— Zezwólcie jej panowie jechać chociaż do Białegostoku. Stamtąd może prędzej znajdzie jakąś okazję.

W głosie proszącego dźwięczało tyle troski o los biednej niewiasty, że naczelnik począł się chwiać w swojem pierwotnem postanowieniu.

— Cóżby tu poradzić, Ryszardzie Kajetanowiczu? Strasznie mi żal tej pani.

— Proponuję zabrać ją i przewieźć w moim przedziale. Co będzie, to będzie, jednak — sądzę, że nie można jej tu zostawić.

— Dobrze więc, niech tylko pan zachowa wszelkie środki ostrożności. Nikt jej nie może zobaczyć. Jakże też pan sobie poradzi ze swemi kolegami?

— Moi koledzy, panie naczelniku, to „wiedeńczycy", ludzie nawskroś szlachetni. O to, żeby ktoś mógł zadenuncjować, lub wyrazić swe niezadowolenie — niema najmniejszej obawy.

— Niechaj więc jedzie; abyśmy tylko nie pożałowali naszej pochopności.

Wyszedłszy od naczelnika, Wąwolnicki pośpieszył do swego przedziału, by przygotować pościel na przyjęcie gościa. Poprawił starannie pled i poduszkę — i pocichu wyszedł na korytarz. W przedziale koledzy spali bardzo mocno. Również i w całym wagonie panował niczem niezmącony spokój. Podróżni wypoczywali po przebytych ostatnio wrażeniach.

Na peronie stał nadkonduktor Koroli. Ryszard wezwał go do siebie i przedstawił całą sprawę:

— Proszę pana o dotrzymanie ścisłej tajemnicy. Gdyby się dowiedziano, że wieziemy kogoś wbrew instrukcji, a do tego — kobietę, mogłoby to dać zły przykład i wywołać niepotrzebne komentarze.

— Zastosuję się do wszystkiego i konduktorom nakażę zatrzymać to przy sobie. A czy daleko ta pani jedzie?

— Wogóle chce dostać się do Moskwy. My zawieziemy ją do Białegostoku. Stamtąd prawdopodobnie łatwiej jej będzie znaleźć odpowiedni pociąg.

Niedługo też komendant stacji, który poszedł po panią Korsakową, przyprowadził ją do wagonu. Za nimi szedł żołnierz, niosąc eleganckie walizki.

Ryszard zalecił im ciszę, nie chcąc, by ktokolwiek się obudził. Wprowadziwszy ją do przedziału, wskazał miejsce i rzekł.

— Proszę się położyć na mojem miejscu i zaraz zasnąć. Walizki postawimy narazie na podłodze, gdyż nie chciałbym budzić kolegów. Potem, jak wstaną, umieścimy je na półce.

— Ależ, proszę pana, rzekła wzruszona, czyż mogę go pozbawiać wypoczynku? Doskonale przecież mogę pomieścić się na korytarzu. Usiądę na walizkach i będzie mi zupełnie wygodnie. I tak los na mnie łaskaw; nie umiem wprost wyrazić, jak szczęśliwa się czuje, że nie jestem zmuszona zostać tutaj wśród obcych, gdzie na każdym kroku czyha niebezpieczeństwo.

— W żadnym razi zgodzić się nato nie mogę, aby pani została na korytarzu. Widać po pani zmęczenie i przebyty niepokój. Spałem przez parę godzin i nic mi się nie stanie, jeśli teraz nie będę leżał.

— Rzeczywiście czuję się okropnie zdrożona. Dwa dni i dwie noce jestem w podróży bez odpoczynku, a ostatnio jechałam 80 kilometrów chłopską furmanką.

— Niechże więc pani korzysta z okazji, kiedy Bóg zesłał dobrego człowieka, — rzekł komendant stacji.

Pani Nadieżda wyciągnęła do Ryszarda rękę i powiedziała: — Dziękuję.

W słowie tem zawarte było tyle wdzięczności, że Ryszard, całując jej rękę, czuł się w zupełności za swe starania nagrodzony. Gdy pociąg ruszył, położyła się na posłaniu i otulona przez Ryszarda pledem, zasnęła.

On usadowił się w korytarzu na ławeczce i drzemał, kołysany miarowym ruchem pociągu. W pewnym momencie jeden z kolegów szarpnął go za ramię:

— Słychaj, Rysiek, co to za dama śpi w naszym przedziale?

— Żona jednego pułkownika, który jest na froncie. Przyjechała do niego, a teraz uciekła przed Niemcami.

— Jakim sposobem znalazła się między nami?

Tu Ryszard opowiedział mu całe zajście.

— A czy jest młoda i przystojna? Obróciła się twarzą do ściany i nie mogłem jej się przyjrzeć.

— I przystojna, i młoda, a do tego bardzo miła.

— Rozumiem... — rzekł tamten znacząco, mrużąc po łobuzersku oczy.

— Na mylne wszedłeś tory. Cóż ty myślisz, że zaraz...

— Nic złego nie myślę i zgóry daję ci absolucję, tylko nie wiem, czy żona twoja będzie zadowolona, jak się o tem dowie.

— Żona moja postąpiłaby tak samo na mojem miejscu.

— Czyżby jeszcze wierzyła w twoją moralność?

— Przestań żartować. Postaw się lepiej w położenie tej kobiety: jest sama między nami; a teraz zważ na moją odpowiedzialność służbową. Czy sądzisz, że tylko podejrzane pobudki zdolne byłyby mnie skłonić, abym dopomógł kobiecie? Czyż tybyś nie zrobił tego samego na mojem miejscu?

— Znam ciebie dobrze i dopiero, gdy zobaczę, jak się względem niej będziesz zachowywać, będę wiedział, jak jest napewno.

Ryszard roześmiał się:

— A, patrz sobie, ile tylko zechcesz. Lepiej jednak zrobisz, jeśli, zamiast się bawić w obserwatora, uprzedzisz kolegów, jak się względem niej mają zachować. Źle byłoby, gdyby jej dali odczuć najlżejsze choćby niezadowolenie, lub okazali, że im przeszkadza.

— Cóż ty sobie o nas myślisz? Przecież nie jesteśmy gbury. Spieszę teraz do umywalni, — dodał, — muszę zrobić na niej dobre wrażenie.

Tymczasem dochodziła siódma. Dzień zapowiadał się upalnie, gdyż mimo wczesnej godziny, słońce zaczęło już dopiekać. Pociąg zatrzymał się i Ryszard, wychyliwszy się, przeczytał napis: „Łapy". Stacja ta przypomniała mu młodociane lata. Ileż z tą nazwą kojarzyło się wspomnień! Ileż to razy czekały tu na niego konie, wysłane przez dalekich krewnych, którzy serdecznie biednego sierotę przyjmowali. Zda-

rzało się czasem, że przyjeżdżał niespodzianie. Wtedy nie zastawał koni, ani odpowiedniej okazji, musiał wówczas, przeczekawszy na ławce do rana, brać nogi za pas i przemierzać kilkanaście kilometrów. Myśl o tem, jak będzie gościnnie przyjęty, skracała mu drogę. Wszyscy, których tu dawniej widywał, stanęli mu jak żywi w pamięci. Tyle lat tej stacji nie widział! Los chciał, że teraz, kiedy opuszczał kraj, ujrzał żywe wspomnienie dawno przeżytych chwil. Stacja nie zmieniła prawie zupełnie swego wyglądu; czas nie zostawił żadnego piętna. Ludzie jednak nie trwają tak długo. Przebiegł myślą wspomnienia i ożywił wszystkie dawno widziane postacie, lecz ani jednej nie znalazł już na tym świecie.

Ileż dałby zato, żeby móc choć na chwilę popatrzeć na dawno niewidziane modrzewiowe dworki z nieodstępnemi topolami i bocianiem gniazdem! Uprzytomnił sobie ile spustoszeń niesie za sobą czas. W ilu to rękach być mogło do tej pory! Wojna mogła sprawić, że kamień na kamieniu nie pozostał. A jednak cokolwiekby się zmieniło, zostanie zawsze ta sama ziemia, ukochana Polska ziemia.

Raptem żalem ścisnęła mu serce myśl, że już może nigdy do niej nie wróci, zawsze pozostanie na obczyźnie. Rozejrzał się po stacji: tu i tam pełno było żołnierzy i funkcjonarjuszy kolejowych. Wszyscy rozmawiali wyłącznie po rosyjsku. Napełniło to Ryszarda smutkiem. Teraz dopiero spostrzegł zmiany, jakie zaszły w ciągu lat 30-u, to jest od chwili, kiedy przestał tu przyjeżdżać. Gdy pociąg ruszył,

przed oknami zaczęło się przesuwać miasteczko, bardziej zabudowane, niż kiedyś. Na pierwszym planie, na wzgórzu widniała wówczas zdaleka cerkiew, z okazałą bizantyjską kopułą. Dla kogóż—myślał—została zbudowana? Dawniej nie było tu wcale prawosławnych. Katolicy zaś musieli jeździć do kościoła w Płonce, odległej o sześć kilometrów, rozglądał się uważnie, czy nie zobaczy gdzie krzyża. Niestety, kościoła nie było widać. Nic dziwnego, że rusyfikacyjna polityka rządu musiała prowadzić do częstych konfliktów. Wpływ popów i rosyjskich lub zmoskwiczonych urzędników powoli znaczył swe ślady wśród ciemnych mas. Bardziej wartościowe jednostki musiały dążyć do reakcji, by uchronić innych od wynarodowienia.

Poważne te rozmyślania przerwał mu ruch, jaki zapanował na korytarzu. Podróżni zaczęli się budzić ze snu. Koledzy Ryszarda, którzy zajmowali z nim jeden przedział, oswoili się już z myślą, że jest między nimi kobieta. Wszyscy wstali pocichu, aby jej nie zbudzić. Ryszard, doprowadziwszy do porządku swoje ubranie, przypasał szablę i oczekiwał, kiedy zajadą do Białegostoku.

Wreszcie o godzinie 8-ej pociąg zatrzymał się na dworcu. Ryszard natychmiast udał się do komendanta stacji, żeby zasięgnąć informacji, kiedy odejdzie pociąg do Moskwy, którymby pani Korsakowa mogła odbyć dalszą podróż.

Komendant zakomunikował mu, że — niestety — prywatna komunikacja z Moskwą jest narazie przer-

wana. Jednocześnie oznajmiono mu, iż pociąg, który prowadzi, musi pozostać w Białymstoku do następnego dnia i — aby nie przeszkadzał na głównym dworcu, będzie przesunięty na stację Białystok Poleski, odległy o 5 kilometrów.

Ryszard niezwłocznie zawiadomił o tem służbę pociągu i kucharza, aby byli odpowiednio przygotowani. Pasażerowie przyjęli wiadomość z rezygnacją. Niebawem też zabrano oba parowozy do naprawy, a pociąg odstawiono na dworzec Poleski, gdzie stanął na bocznym torze, obok parterowych domków ukrytych w zieleni sadów i kwiecia. Były to mieszkania funkcjonarjuszy kolejowych. Opodal widniała cerkiew, jako widomy znak rosyjskiej kultury, którą przemocą zaszczepiano polskiej ludności, by wykorzenić w ten sposób pozostałe we krwi i tradycji pierwiastki łacińskie. Zbyt jednak prymitywna akcja nie dawała spodziewanych rezultatów, a często budziła masowy sprzeciw. Najlepszym dowodem nieudolności w sposobach rusyfikacji był stosunek unitów do popów; nie pomagały zsyłki, ni kije, pieniężne kary, ni hojne obietnice; z pokolenia w pokolenie, wierni wierze ojców, trwali gorąco przy swej wierze.

W całym wagonie Ryszard nie znalazł nikogo ze swych kolegów; wszyscy poszli do wagonu restauracyjnego na śniadanie. W przedziale spała pani Nadieżda. Nie chcąc jej budzić, poszedł również na herbatę. Tam naczelnik Leontjew, zaprosiwszy go do swego stolika, spytał:

— Jakże się miewa nasza pasażerka?

— Śpi, jak dotąd. Dowiedziawszy się, że nie przewidują żadnego pociągu do Moskwy, nie budziłem jej I tak zdąży jeszcze dowiedzieć się, co ją czeka. Widząc, jak była znużona, pomyślałem sobie, że trzeba byłoby nie mieć sumienia, aby ją w Białymstoku zostawić.

— Jakże więc pan sobie tę dalszą podróż wyobraża?

— Będziemy ją poprostu wieźli, dokąd się da. Być może, że gdzieś dalej trafi się okazja w odpowiednim kierunku.

— A cóż nato mówią pańscy koledzy?

— Są dla niej jak najlepiej usposobieni.

— Musi wam jednak bardzo przeszkadzać, gdyż macie miejsca tylko na cztery osoby.

— Jakoś dajemy sobie radę: pani Korsakowa śpi na mojem posłaniu, ja zaś obok na ziemi.

— Podziwiam pana dobroć i gotowość pomagania ludziom w niedoli. Żeby tylko nie miał pan z tego powodu jakich nieprzyjemności.

— Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Przedewszystkiem pani Korsakowa nie będzie zupełnie wychodzić z wagonu, w ten sposób nikt jej nie zobaczy. Posiłek sam jej zawsze przyniosę z restauracji.

— Najważniejsza rzecz, to żeby naczelnik Frank o tem się nie dowiedział. Znalazłby się w nader trudnej sytuacji; bo i zabroniłby nie chciał i pozwoliłby

nie mógł. A w ten sposób — czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal, — zawyrokował p. Leontjew.

Ponieważ pociąg miał odejść dopiero nazajutrz, wiele osób powychodziło do miasteczka na spacer. Ryszard powrócił do pustego wagonu. Miarowy oddech uśpionej był dowodem, jak smacznie spała. Wszedłszy na palcach, wziął książkę z półki i powrócił z nią na korytarz. Czytanie jednak mu nie szło. Raz wraz spoglądał w stronę przedziału. Minęła godzina. Wreszcie usłyszał szmer. Był to wskaźnik, że się obudziła. Zapukał i wszedł do środka. Stała właśnie schylona nad otwartą walizką.

— Jakże się pani czuje?

— Wypoczęłam, zawdzięczając panu.

— Może teraz chciałaby się pani umyć. Wskażę, gdzie jest umywalnia.

Gdy wyszła z przedziału, Ryszard kazał go posługaczowi uprzątnąć.

Po chwili powróciła bez śladów zmęczenia, uczesana i wyświeżona.

— Czy pani przypadkiem nie głodna?

— Niebardzo.

— Napewno jednak chętnie zje pani śniadanie i napije się herbaty.

— Herbatę piłam wczoraj.

— A obiad?

— Nic prócz herbaty nie można było dostać na stacji. Miałam jednak tabliczkę czekolady i ta musiała mi starczyć.

— Zaraz postaram się o śniadanie, gdyż z tego wnioskuję, że pani porządnie głodna. Czem mogę służyć, kawą, herbatą, jajami, czy wędliną?

— Prosiłabym o szklankę kawy i bułkę z masłem.

Za chwilę Ryszard przyniósł żądany posiłek na tacy.

Pani Nadieżda, wzruszona jego dobrocią, rzekła:

— Przepraszam pana bardzo za trudy; przecież doskonale sama mogłam iść do bufetu.

— Niestety, proszę pani, jest pani tutaj, jak w więzieniu. Nikt jej nie może zobaczyć, prócz mych kolegów. Groziłoby to nieobliczalnemi konsekwencjami. Zawsze w razie potrzeby jestem do dyspozycji.

— Muszę tymbardziej, wobec takich oświadczeń, udać się na dworzec i dowiedzieć, czy nie mam jakiej komunikacji z Moskwą.

— Już się o to pytałem. Stoimy przytem nie na głównym dworcu, gdzie jest bufet i poczekalnia, lecz pięć kilometrów od niego. Do miasta jest również 3 kilometry i nie radziłbym nigdzie wychodzić.

— Czuję się tem wszystkiem bardzo skrępowana. Zdaję sobie sprawę, ile pan ma ze mną kłopotu.

— W czasie wojny różnie się zdarza. Dzisiaj pani, jutro ja — każdego to może spotkać. Jakże byłoby to na świecie, gdyby ludzie nie pomagali sobie wzajemnie.

— Piękna to teza, nie przez każdego jednak stosowana.

— Ja osobiście jestem niezmiernie rad, że mogłem pani na coś się przydać.

Nie zdążyła mu odpowiedzieć, gdy w powietrzu dały się słyszeć dwa następujące po sobie huki. Na placyku koło koszar stała gromadka ludzi, z ciekawością patrząc na obłoki.

— Ocho, to widać Szwabi bombardują miasto ze swych aeroplanów — rzekł Ryszard.

Po chwili usłyszeli znów huki padających bomb, armatnich strzałów i systematyczne trzaskanie karabinów maszynowych.

— Teraz i nam może być ciepło. Jedni i drudzy nie próżnują.

Nie mógł spokojnie usiedzieć. Zostawiwszy panią Korsakową w wagonie, wybiegł na placyk, gdzie coraz więcej gromadziło się ludzi.

Na nieboskłonie w stronie miasta, tuż koło dworca głównego, ujrzał Ryszard trzy niemieckie aeroplany, zaatakowane przez rosyjską artylerję. Trwało to kilkanaście minut, wreszcie samoloty zawróciły. Gonił je ogień armatni; szrapnele pękały coraz wyżej, tworząc wokół siebie seledynowo-błękitny ogień.

Atak ten, jak się później okazało, skierowany był na wieżę ciśnień i stojący obok na dworcu pociąg sanitarny. Szczegóły wypadu ogłosiły wieczorem miejscowe pisma rosyjskie i żargonowe, bo wówczas tylko takie wychodziły w Białymstoku. Polskich gazet nie pozwalano drukować, a niemieckie wstrzymywały się z podobnemi wiadomościami. Ogłoszono pięć wypadków śmierci i dziewięć pokaleczeń cywilnej ludności.

Kiedy potem zebrali się w swym przedziale wszyscy koledzy wraz z panią Korsakową, Ryszard odezwał się:

— Nawet w nieszczęściu można być szczęśliwym.

— Gdzie widzisz to szczęście? — zapytał go jeden z kolegów.

— Bo gdy nas rano przestawiono tutaj z dworca głównego, to sarkaliście, że to daleko i niewygodnie chodzić do miasta. Tymczasem szczęśliwieśmy tu przeczekali strzały, ukryci przed bombami wśród krzewów i drzew; a przytem i powietrze mamy lepsze.

— Słyszałem, rzekł jeden z obecnych, że podobno niemieckie aeroplany codzień składają wizyty w okolicach dworca głównego, niema dnia, żeby nie było wypadków z ludźmi.

Zanim zapadł zupełny mrok, wszyscy podróżni wrócili do wagonów. Jedni zajęli się lekturą, drudzy zasiedli do preferansa, lub winta, inni wreszcie poszli na przechadzkę do pobliskiego lasku. Po upalnym dniu wieczór był ciepły. Ryszard z panią Nadieżdą wyruszyli na spacer. Mrok dawał pewne bezpieczeństwo, że jej nikt nie spostrzeże. Gdy niedaleko, w pobliżu plantu, ujrzeli drewniany budynek stacyjny kolejowego przystanku, a na nim napis „Kurjany", pani Korsakowa rzekła:

— Ach panie! Czy to nie jest przypadkiem majątek rotmistrza Kawelina?

— Nie wiem, proszę pani, nie znam tych stron.

— A czy nie możnaby dowiedzieć się na dworcu?

— Owszem, wstąpimy i zapytamy, jeśli sobie pani życzy. A czy zna pani owego pana?

— Jest to były kolega mego męża. Bywał u nas często w Petersburgu i zawsze zapraszał do Kurjan. Okazuje się, że świat jest bardzo mały; wszędzie można znaleźć przyjaciół. Nie uświadamiałam sobie, że Kurjany są w okolicach Białegostku.

— Wiele majątków dawnej polskiej szlachty przeszło w ręce rosyjskich „zasłużonych czynowników" Być może, że jest to ziemia jedna z wielu, jakie były skonfiskowane w czasie powstania.

— Rodzina Kawelinów to bardzo zacni ludzi. Wyobrażam sobie, że raczej kupili majątek z wolnej ręki, tak jak to uczynił minister spraw zagranicznych, Sazonow.

Widać było, że obeszło ją powiedzenie Ryszarda.

— Ja wiem, rzekła, że wy, Polacy nie możecie patrzeć na nas innemi oczyma. A jednak nie wszyscy zasługujemy na to, aby nas traktować równą miarą.

— Zdaję sobie z tego sprawę, co się jednak tyczy owego pana ministra, to kupił on olbrzymią posiadłość w Grodzieńszczyźnie za bardzo niewielką sumę. O tej tranzakcji różnie ludzie mówią...

— Mój Boże, jak mi to przykro słyszeć. Czy pan, doprawdy, ma nas wszystkich za nieuczciwych ludzi? Ja osobiście nie mogę znieść niczyjej krzywdy.

— Nie chciałem pani urazić, lecz ile razy przypomnę sobie to, co my, Polacy, przeżywamy, nie mogę spokojnie o tem myśleć.

— Rozumiem pana. Wszyscy ci Rosjanie, którzy przyjechali do Polski robić karjerę, są to najczęściej ludzie bez skrupułów. Rodzice moi, którzy byli właścicielami majątku w Saratowskiej guberni, byli ogromnie przeciwni polityce naszego rządu, krzywdzącego te obce narody, jakie wchodzą w skład Rosji. Wiedziałam o tem, że wam, Polakom, dzieje się krzywda już wtedy, gdy byłam małą dziewczynką. Proszę mi wierzyć, że w głębi Rosji macie wielu dla was życzliwych.

— Obcowałem często z Rosjanami, gdyż skończyłem szkołę kadetów. Byłbym niesprawiedliwy, gdybym powiedział, że wszyscy Rosjanie są źli; a jednak wśród nich różni są ludzie; statystyka wykazałaby, że tych dobrych nie jest zbyt wielu.

— Bo tutaj, widzi pan, zjeżdżają przeważnie sfery rządowe, wciągnięte w politykę, chciwe i żądne karjery. Ziemianie i kupcy nierzadko jawnie wypowiadają swój sprzeciw, jeśli chodzi o krzywdę bliźniego; zdarza się nieraz, że narażają się na konflikty z władzą. Niepodobna, żeby pan nie wiedział, iż najwięcej bojowców o wolność i swobodę ludu wywodzi się właśnie z nich. Wielu zostało zesłanych na Sachalin, Syberję, do rozmaitych wreszcie fortec. Lecz niewiele to pomaga. Na ich miejsce powstają nowe i liczniejsze zastępy. Proszę mi wierzyć, że niema w Rosji inteligentnej rodziny, wśród której nie znalazłoby się podobnych apostołów. Dlatego też każdy Polak, zesłany w głąb Rosji, jest otoczony prawdziwą sympatją i życzliwością.

— Słyszałem o tem i składam to na karb dobroci rosyjskiego narodu i pokrewieństwa, jakie nas, Słowian, łączy.

— Więc według pańskiej tezy wszyscy Słowianie mają szlachetną duszę?

— Tak! Jestem święcie przekonany, że wcześniej czy później narody słowiańskie porozumieją się ze sobą; połączy je wspólna potrzeba, aby stać na straży idei słowiańskiej i nie dać się wchłonąć innej rasie. Będzie to własny, dobrze zrozumiany interes.

— Byłoby bardzo szczęśliwie, gdyby się pańskie ideje spełniły.

Zbliżyli się do budynku stacyjnego. Zobaczywszy urzędnika kolejowego, pani Korsakowa zapytała:

— Czy mogłabym się dowiedzieć, do kogo należą Kurjany?

— Są one, proszę pani, własnością pułkownika Kawelina z lejbgwardji ułańskiego pułku, który stał w Warszawie.

— Czy pan Kawelin jest obecnie tutaj? — pytała dalej.

— Nie. Był tu zeszłego roku w lecie, lecz zaraz po wybuchu wojny, wyjechał.

Postanowili zawrócić, gdyż ciemno już było zupełnie; Ryszard przytem obawiał się, czy nie przeciąga się zbyt długo jego nieobecność.

Gdy zbliżyli się do pociągu nadkonduktor zameldował Wąwolnickiemu, iż otrzymał wiadomość z głównego dworca, że po północy przesunięci zostaną do

Białegostoku, skąd nad ranem odjadą w stronę Baranowicz.

Do północy gwarno było w przedziale; pani Nadieżda przyjmowała w pogawędce żywy udział, opowiadając ciekawe epizody, jakie przeżywała w ciągu ostatnich dwóch tygodni, podczas bytności na froncie u męża. Mówiła, iż narazie było tak spokojnie i cicho, że trudno było wprost wierzyć w istnienie wojny; miało się wrażenie, iż w namiotach i podziemnych skrytkach mieszka ćwiczebna drużyna. Aż nagle, niespodziewanie nastąpił atak i ledwo można było ujść z życiem.

Gdy w nocy pociąg przesuwano na dworzec główny, w przedziałach była cisza, gdyż wszyscy już spali. Ryszard tylko czuwał do świtu, aż doczekał się chwili, gdy pociąg ruszył w dalszą drogę. Wtedy dopiero zdrzemnął się.

Zbudził go jasny dzień i poczucie, że pociąg stoi. Była godzina siódma rano. Podszedł do okna i przekonał się, że rzeczywiście zatrzymali się wśród pięknego, zielonego lasu. Wąską drożyną jechały furmanki, a tuż przy drodze, około poukładanych, starych podkładów, siedział staruszek. Obok niego pasły się krowy.

Ryszard otworzył drzwi wagonu i zawołał:

— Czy daleko do stacji?

— Będzie ze trzy kilometry.

— A jak się ta stacja nazywa?

— Żednia, proszę pana.

Ryszard ubrał się i umył, a pociąg ciągle jeszcze stał w miejscu; wezwał więc nadkonduktora i od niego dowiedział się, że zostali zatrzymani, by oswobodzić linję dla przepuszczenia wojska. Należało wzmocnić front przeciw posuwającej się armji nieprzyjacielskiej. Przewidywano postój aż do wieczora.

Po śniadaniu więc, gdy już dochodziła dziesiąta, a promienie słońca tak rozgrzały wagony, że trudno było oddychać, Ryszard zaproponował wspólny spacer. Do lasu było zaledwie kilka kroków. Pachniał i nęcił zdaleka cieniem rozłożystych dębów i klonów cieszył chłodem wszelakiego listowia i aromatem rozkwitłych ziół. Koledzy Ryszarda otaczali panią Korsakową; opowiadano sobie różne ciekawe zdarzenia, żartowano i śmiano się wesoło. Na polanie natrafiono na jagody i maliny, Ryszard więc, przypomniawszy sobie chłopięce lata, uplótł z gałązek kilka zgrabnych koszyczków i wtedy wszyscy, jak dzieci, rzucili się do pracy; niewiele uzbierano jagód, lecz wesoły beztroski śmiech daleko rozbrzmiewał po lesie. Zapomniano o wojnie i smutkach; cały tragizm obecnej chwili rozwiał się gdzieś bez śladu. Taki to potężny wpływ wywiera na człowieka natura i bezpośrednie z nią zetknięcie.

Dzień ten miłe po sobie zostawił wrażenia; w południe powrócono na obiad, urozmaicony daniem ze świeżych jagód; na podwieczorek sąsiedni dróżnik dostarczył zsiadłego mleka z młodemi kartoflami; potem znów wszyscy poszli do lasu. Istna sielanka.

W taki to sposób wędrował pociąg na Poleskim

szlaku, zupełnie jakby był przeznaczony dla spacerowej turystyki. Zatrzymywano się na niektórych stacjach po kilka, a nieraz kilkanaście godzin. Podróżni mieli okazję zwiedzić poszczególne miasteczka, jakie napotykano po drodze. Jedne z ciekawszych jako kresowe, były: Wołkowysk, Słonim, Baranowicze. Często używano kąpieli w napotykanych rzekach i spacerowano dosyta. W nocy zaś, kiedy znużeni przechadzkami, spali snem kamiennym, pociąg posuwał się naprzód, zmierzając ku sławetnej Moskwie.

O obecności pani Nadieżdy prawie wszyscy wiedzieli, lecz pod wielkim sekretem. Ponieważ była miłej powierzchowności i posiadała łatwość towarzyskiego obycia, wszyscy więc odnosili się do niej z wielką sympatją.

Pewnego poranka stanęli w Mińsku, gdzie odstawiono ich pociąg na zapasowy tor towarowej stacji. Wezwano Wąwolnickiego do komendanta stacji, który oznajmił mu, że pociąg dalej wogóle nie odejdzie, gdyż wszyscy urzędnicy kolei Warszawsko — Wiedeńskiej mają tu osiąść na stałe. Dla biur i kolejowego zarządu przygotowano kwatery i zarządzono jaknajśpieszniejsze opuszczenie pociągu. Komendant tłumaczył swe rozporządzenie otrzymaną depeszą z Moskwy.

Wąwolnicki zwrócił się do naczelnika Leontjewa, ten znów porozumiał się z panem Frankiem, lecz interwencja ich obydwuch nie wiele w tej sprawie pomogła. Miejscowe władze zezwoliły tylko jeszcze

24 godziny zajmować wagony. Trzeba więc było jaknajśpieszniej starać się o możliwy dach nad głową, gdyż kwatery, przeznaczone przez komendę miasta, były przeważnie niewygodne, a często wprost niemożliwe do objęcia. Ryszard miał podwójny kłopot, gdyż prócz troski o mieszkanie, musiał ułatwić pani Korsakowej wyjazd do Moskwy. W tym właśnie celu poszedł ze swą przygodną towarzyszką do komendanta stacji, a przedstawiwszy mu całą sprawę, zdobył potrzebne zaświadczenie do kasy, umożliwiające nabycie biletu. Należało się śpieszyć, gdyż pociąg, który odchodził o drugiej po północy, miał ograniczoną ilość pasażerów.

Pomógłszy pani Nadieżdzie przenieść się na dworzec, udał się do miasta, by znaleźć sobie mieszkanie.

Żegnając się z panią Korsakow, obiecał przyjść w nocy na dworzec, gdyż przewidywany był wielki ścisk.

— Jakże mam panu dziękować, rzekła, podając mu rękę. Tyle dobrego od pana doznałam. Nie wiem, czy zdołam się kiedy wywdzięczyć; to pewne, że nie zapomnę nigdy.

— Nie zrobiłem nic takiego, co mogłoby zasłużyć na specjalną wdzięczność; spełniłem poprostu obowiązek człowieka.

— Być może, odrzekła, lecz na świecie, zwłaszcza teraz w wojennym zgiełku, dużo spotykamy ludzi, trudno jednak natrafić na „człowieka".

— Okrutne są prawa wojny: wykolejają ludzi, zdzierając z nich kulturę i ogładę, niekiedy przekre-

ślają człowieczeństwo; niezawsze jednak zwierzę ludzkie występuje na pierwszy plan.

— Dziękuję Panu Bogu, że te trudne dni mego życia przeszły w ten właśnie sposób; a wszystko zawdzięczam panu. Będę cierpliwie czekała na jego powrót.

— Postaram się jaknajszybciej załatwić swe interesy i przyjść do pani — powiedział odchodząc.

Idąc piechotą od dworca ku miastu, Ryszard ciekawie rozglądał się po szerokiej ulicy, zabudowanej z dwóch stron niesymetrycznemi, lecz obszernemi domami. Były one przeważnie murowane, gdzieniegdzie jednak stał drewniany dworek, a wszystko naszpikowane drobnemi sklepami i kramami. Na szyldach widniały komiczne napisy, oczywiście w języku rosyjskim, o mocnem litwackiem zabarwieniu. Na ulicy panował ożywiony ruch. Pomiędzy przechodniami Ryszard napotkał wielu znajomych urzędników kolejowych, którzy już przed paroma tygodniami zjechali do Mińska. Witał się też prawie z każdym i rozpytywał o warunki tutejszego życia. Najbardziej interesował się wolnymi pokojami, pragnąc się jaknajprędzej ulokować. Jeden z kolegów poradził mu, by zwrócił się do cukierni Strzałkowskiego, gdyż tam najwięcej zbiera się Polaków.

— Gdzie jest ta cukiernia?

— Na ulicy Zacharzewskiej, róg Gubernatorskiej. Łatwo pan pozna po ogromnej werandzie. Nasi robią tam ruch, jakiego — zdaję się — Mińsk jeszcze nie widział. Niekiedy zbiera się po kilkaset osób. Do-

szło do tego, że tutejszy policmajster postawił około cukierni stały posterunek.

— A poćóż taka opieka? czy zdarzały się awantury?

— Gdzietam, nasi zachowują się jaknajspokojniej w świecie; grają w szachy, domino, popijają mazagran, czy kawę i dzielą się wiadomościami, jakie skąpo nadchodzą z kraju. Jednakże policmajster, niejaki Curykow, jest podobno tego zdania, że Polacy są najniespokojniejszym elementem pod słońcem i trzeba ich mieć na oku.

— To jakieś głupie bydlę, — zawołał Ryszard.

Tamten roześmiał się i dodał:

— Jest on mądry w dostatecznym stopniu; zadekował się na tyłach armji, opływa w zbytkach i dostatku, zamiast iść na front.

— Zapewne ma protekcję.

— Nie, lecz jest mile u władzy widziany, gdyż uśmierza bunty „miatieżnikow" — to znaczy nas Polaków. Mińska gubernia słynie z ciągłych rosyjsko-polskich zatargów; prześladowanie kwitnie, gdyż w ten sposób najłatwiej zdobyć względy władzy. Samo się przez się rozumie, że na tutejsze urzędnicze stanowiska kierują łotrów, i kreatury z pod ciemnej gwiazdy.

— Niewesołe stosunki — zauważył z westchnieniem Ryszard, żegnając się z kolegą, gdyż czas upływał, a on jeszcze niemiał dachu nad głową.

Cukiernię Strzałkowskiego rzeczywiście nietrudno było odnaleźć. Na olbrzymiej, okolonej bluszczem

werandzie, zgromadziło się sporo osób. Dominował język polski. Gdy Ryszard się ukazał, ze wszystkich stron posypały się powitania znajomych. Zapytaniom — co słychać w Warszawie — nie było końca.

Wszyscy byli ciekawi, czy Niemcy są już w stolicy i czy zbombardowali miasto. Jakiś starszy jegomość wołał:

— Jeśli ci zbóje tak samo zajęli Warszawę, jak Kalisz, to dzięki Bogu, że oczy moje tego nie widzą, po raz drugi. Nie wiem czy mógłbym to przeżyć!

Ryszard opowiadał kolegom o wszystkiem co widział, lecz to nie utrwaliło obecnych w żadnem przekonaniu. Miejscowe pisma i nadchodzące gazety nie podawały narazie wiadomości, czy Niemcy zajęli już Warszawę. Opisywano zato szczegółowo staczane boje z ustępującą armją rosyjską i ciągłe ataki samolotów niemieckich, jakiemi nawiedzano stolicę. Chodziły słuchy, że bomby wyrządzając olbrzymie szkody, raniły w wielu razach cywilną ludność, a często pozbawiały życia.

Gdy obecnie dowiedzieli się o przybyciu pociągu z władzami kolejowemi, i zarządzeniu, by wszyscy zatrzymali się w Mińsku, pocieszono Ryszarda, że Mińsk jest dosyć obszerny i z łatwością pomieści niespodziewanych przybyszów.

Do rozmowy wtrącił się właściciel cukierni, Polak. Osiedlił się on już dawno tutaj. Do ziomków odnosił się przychylnie, gdyż ożywiali mu ruch w cukierni i dawali nieźle zarobić. Tęsknił przytem za Ojczyzną i chętnie przysłuchiwał się wieściom z kraju.

— A czy nie wiecie, panowie, o jakim wygodnym dla mnie pokoju, — spytał Ryszard.

— Na jednej z bram, obok domu, w którym mieszkam, widziałem dzisiaj rano wywieszoną kartę, — rzekł jeden z obecnych.

— Czy to daleko stąd i na jakiej ulicy?

— Górno-Lachowiecka. Jest to wprawdzie ze trzy kilometry od śródmieścia, lecz zato ulica czysta i zdrowe powietrze. Każdy dom z gankiem, otoczony ogródkiem, lub wiśniowym sadem. Właścicielami są przeważnie Polacy.

Ryszard natychmiast udał się na wskazane miejsce. Ponieważ pokoik był miły, umowa doszła do skutku. Właścicielką mieszkania była starsza osoba, wdowa, z dwiema dorodnemi córkami. Mimo prymitywnego umeblowania, obfitości much i os, Ryszard był zadowolony ze swej nowej siedziby.

Kiedy dnia tego późno w nocy powróciwszy z dworca do nowego locum położył się na spoczynek, długo we śnie majaczyła mu się twarz pani Nadieżdy. Widział jej duże załzawione oczy, jakiemi patrzała, gdy pociąg ruszył ze stacji. Niewiele godzin spędzili ze sobą, lecz były to dni ważkie, takie, o których się całe życie pamięta.

Rozdział III.

POBYT W MIŃSKU.

Mińsk gubernialny, stolica Białorusi, nosił na sobie wówczas wyraźne piętno rusyfikacji. Nie znaczy to, broń Boże, że mieszkali tam sami Rosjanie. W okolicach miasta pełno było majątków, z których moskiewskie rządy nie zdołały jeszcze wyzuć Polaków. Ciągłe jednak prześladowania, gdzie nie przebierano w środkach, teroryzowały mieszkańców tak dalece, że bali się własnego cienia. Akcja szpiegowska, rozwinięta szeroko, dawała się porządnie we znaki. Przyjmowali w niej czynny udział nietylko żandarmerja i policja, lecz prawie wszyscy wyżsi urzędnicy rosyjscy, ze swem duchowieństwem na czele. Nie krępowano się nawet zbytnio w swojej działalności, gdyż wierzono, że wszystko co polskie, powinno być w zarodku niszczone „w imia i sławu cara batiuszki i szirokoj obilnoj Rosiei".

W związku z tem na ulicach Mińska trudno było usłyszeć język polski, gdyż, jeśli ktoś niedoświad-

czony, lub czasem odważny, pozwolił sobie na podobny zbytek, mógł być pewien, że znajdzie się natychmiast pod opieką szpiega, urzędnika ówczesnej ochrany, tak zwanego „filona". Pan taki nie spuszczał swojej ofiary z oka, dopóki się znajdowała na terytorjum miasta.

Pod specjalną opieką i nadzorem znajdowało się duchowieństwo katolickie. Często się zdarzało, że księży osadzano w więzieniu, lub zsyłano do centralnych guberni rosyjskich. Prześladowano ich za krzewienie ducha patryjotycznego i przynależność do organizacji społecznych.

Chwilowy przebłysk wolności, jaki w te strony zawitał po rewolucji 1905 roku, był bardzo problematyczny i krótkotrwały. Kiedy polscy urzędnicy. w pierwszym etapie wojny światowej, w roku 1915 zostali tu wywiezieni, to nietylko, że nie usłyszeli w mieście ojczystej mowy, lecz nawet niebardzo serdecznie zostali przyjęci przez miejscowy element, składający się przeważnie z osiadłych czynowniczych rodzin i rozmaitych spekulantów politycznych, Szulców, Szmidtów i innych Müllerów, sprzysięgniętych pod hasłem „Michała Archanioła" do akcji „obrusienja" tej tradycyjnie polskiej ziemi. Rząd rosyjski sowicie ich wynagradzał.

Polacy, wywiezieni tutaj z kraju w 1915 roku, z natury jak zawsze impulsywni, a przytem o całe niebo kulturalniejsi i inteligentniejsi od miejscowej ludności, nietylko, że stworzyli swój odrębny światek, —

jeśli chodzi o życie towarzyskie — lecz w całe miasto tchnęli innego ducha.

Na ulicach i w lokalach publicznych zaczęła dominować mowa polska. Wobec tego właściciele sklepów i przemysłowcy, chcąc dostroić się do ogólnej potrzeby, usiłowali również używać naszego, ojczystego języka.

W ciągu paru tygodni, kiedy przybysze uspokoili się nieco po ewakuacyjnych przykrościach, pomyślano o rozrywkach; wystawiono więc parę polskich sztuczek scenicznych, a w niektórych restauracjach popisywali się na estradach polscy aktorzy i aktorki.

Pewnego wieczora Wąwolnicki zasiedział się w restauracji niejakiego Boruty. Nudząc się zagadnął gospodarza:

— Proszę mi powiedzieć, czy nie ma pan jakich nieprzyjemności od miejscowej władzy administracyjnej za wykonywanie polskich piosenek?

— Nie panie; otrzymałem pozwolenie.

— Czy od tego polakożercy policmajstra?

— Ależ panie on tu teraz niema nic do gadania, o wszystkiem obecnie decyduje naczelnik wojenny, który bywa u mnie codziennie na kolacji.

— A jakżesz się policmajster zachowuje?

— Siedzi cicho, jak mysz pod miotłą; boi się poprostu, żeby go nie wysłano na front — i dlatego wszyscy Rosjanie nazywają go teraz: „sapożnyj nabałdasznik".*)

---

*) Chwast przy trzewiku.

— No a cóż porabiają ci sławetni szwabi, Smidty, Szulce i inni, którzy przedtem tu w Mińsku bezapelacyjnie rządzili?

— Zaraz po wybuchu wojny rozwiali się gdzieś bez śladu; chodzą wieści, że uciekli do faterlandu.

Jednym z lokali, tłumnie odwiedzanym przez wygnańców, była mleczarnia „Ignatycze", utrzymywana przez Polaka. Ponieważ można było się w niej smacznie i tanio pożywić, zbierano się tam licznie. Wydawano tu po pareset obiadów i kolacji, aż wreszcie administracja musiała otworzyć filję na ulicy Zacharzewskiej.

Kiedyś, gdy Ryszard, siedząc tam pod cienistym kasztanem, zajadał znakomite zrazy z kaszą, podszedł do niego jeden z kolegów i zapytał:

— Powiedźcie mi, czy to prawda, żeście podobno mieli jakąś przykrość? Słyszałem, że chcieli was oddać pod sąd wojenny?

— A tak, to prawda.

— No i cóż?...

— No i nie oddali.

— Ale zaco?

— Widzicie było tak: ponieważ przed opuszczeniem Warszawy kilka miesięcy pełniłem służbę prawie bez odpoczynku, czułem się strasznie przepracowany i zmęczony, a nadomiar tego naznaczono mnie jako komendanta pociągu, którym przyjechałem do Mińska. Zwróciłem się więc do zastępcy naczelnika, pana Leontjewa, z prośbą o zwolnienie mnie z tej czynności, bym mógł choć w drodze sobie odpocząć.

On jednak nie zgodził się, udzielił mi natomiast 14-dniowego urlopu z warunkiem, że skorzystam z niego na miejscu.

Na tej też zasadzie, przyjechawszy do Mińska, udałem się do referenta wydziału ruchu, Agrafowa, prosząc o zwolnienie. Wiecie jaki to nieprzyjaciel Polaków, a przytem człowiek mało inteligentny; przyjął mnie dość niegrzecznie.

— Teraz tutaj ja rządzę, zaakcentował. Obecny naczelnik ruchu, Skopiczenko, niewiele będzie miał do powiedzenia.

— Ciekaw jestem, co też pan zarządzi? Zapytałem go ironicznie, obrzucając pogardliwym wzrokiem, gdyż ani swem stanowiskiem, ni rozumem, czy wykształceniem, nie mógł nikomu imponować; był to poprostu dawny pisarz wojskowy, a z pochodzenia — cham, urodzony w głębokiej Rosji. Tacy to przeważnie ludzie, a przytem polakożercy naznaczani byli na urzędy.

— Zarządzę mianowicie — rzekł ze złością, — żeby wysłano pana w głąb Rosji, na stanowisko naczelnika stacji, jak tylko się gdzieś podobne miejsce opróżni.

Nie odpowiedziałem ni słowa i, wściekły, wyszedłem z biura. Gdy opowiedziałem całe zajście kolegom, jeden z nich poradził mi, abym zaraz z tą sprawą udał się do naczelnika Skopiczenki. Inni jednak sądzili, że lepiej będzie narazie nie udawać się do nikogo, a później zwrócić się o pomoc do naczelnika Leontjewa. Przez kilka więc dni nie pokazywałem

się w zarządzie. Gdy po jakimś czasie poszedłem do cukierni, dowiedziałem się od kolegów, iż, wraz z kilkoma innymi pracownikami kolejowemi, zostałem delegowany do stacji Żabinka, gdzie poprzedni urzędnicy zostali ranieni i zabici podczas ataków niemieckich samolotów. Miałem w owej Żabińce sprawować stanowisko naczelnika stacji.

Nie widząc potrzeby, ani przyczyny narażania życia, czując się przytem zmęczony i niezdrowy, położyłem się do łóżka. Gdy zjawił się woźny z nakazem natychmiastowego wyjazdu, zażądałem przysłania kolejowego lekarza.

Ucieszyłem się gdy przybył, gdyż okazało się, iż jest to zacny i szlachetny doktór Wartałowski, którego już przedtem znałem.

Zbadał mnie szczegółowo, a skonstatowawszy silne zdenerwowanie i stan podgorączkowy, zapisał lekarstwo, polecając parodniowy odpoczynek w łóżku. Wychodząc zaś szepnął:

— Dobrześ pan zrobił; poco niepotrzebnie narażać życie. Po upływie czterech dni zdrowie pańskie się poprawi. Przez ten czas wyślą kogo innego.

— A czy pan doktór będzie łaskaw wydać mi odpowiednie zaświadczenie?

— Napiszę do nich oficjalne zawiadomienie o pańskiej chorobie.

Na trzeci jednak dzień władze rosyjskie, nie zważając na orzeczenie lekarza, Polaka, przysłały doktora Rosjanina, a ten, zbadawszy mnie, pokręcił głową i poszedł, nie dawszy żadnych wyjaśnień.

Piątego dnia, nie mogąc już wytrzymać w łóżku, wybierałem się właśnie do miasta, gdy wpadł jeden z moich kolegów.

— Czy wiecie, zawołał, że jesteście oddani pod sąd wojenny?

— Za co? — spytałem zdumiony.

— Za nieposłuszeństwo władzy wojskowej i sabotaż.

Wiadomość ta ogromnie mnie zdenerwowała, wyszedłem więc czemprędzej na ulicę, chcąc ochłonąć choć trochę na świeżem powietrzu. Spotkałem kilku kolegów i od nich dowiedziałem się, że naczelnik Skopiczenko został pośpiesznie wezwany na Murman, gdzie otrzymał nowe stanowisko, i ma tam wyjechać tejże nocy. Postanowiłem zatem natychmiast pójść do pana Leontjewa, aby przedstawić mu całą sprawę. Bardzo więc byłem zadowolony, gdy on sam drzwi mi otworzył i zaprosiwszy na herbatę, cierpliwie całej sprawy wysłuchał.

— Od dzisiaj obejmuję służbę po panu Skopiczence, który wyjeżdża, rzekł. Niechaj pan jutro zgłosi się do mnie do biura, a tam całą sprawę rozpatrzę.

Spytałem tedy, czy nie powinienem się już dzisiaj zameldować.

— Broń Boże — odpowiedział. — Proszę przyjść jutro rano do mego gabinetu.

Na drugi dzień, gdy punktualnie zjawiłem się w biurze, naczelnik, ujrzawszy mnie, wezwał do gabinetu referenta Agrafowa, by poinformować się w mej sprawie. Tamten rzekł:

— Pan Wąwolnicki został oddany pod sąd wojenny za niespełnienie rozkazu. Miał wyjechać, by objąć stanowisko na jednej ze stacji, wbrew jednak rozporządzeniu, pozostał tutaj.

— A czy wiadomem panu było, że to ja właśnie udzieliłem mu czternastodniowego urlopu?

— Owszem, wspominał o tem, lecz sądziliśmy, że to jest wykręt z jego strony.

— Dlaczego jednak nie spytano mnie o zdanie?

Wtedy tamten, jąkając się, odparł:

— Bo... tak rozporządził naczelnik Skopiczenko.

— A może pan Skopiczenko nie wiedział o mojem rozporządzeniu?

— A czy orzeczenie doktora Wartałowskiego było panu Skopiczence wiadome?

— Tak, o tem wiedział.

— Więc dlaczegóż oddano pana Wąwolnickiego pod sąd wojenny?

— Ponieważ posłany do niego lekarz wojskowy stwierdził, że stan zdrowia chorego nie jest wcale groźny.

Tu nie mogłem wytrzymać i wtrąciłem się do rozmowy:

— Lekarz wojskowy był u mnie w cztery dni po wizycie doktora kolejowego; czułem się wtedy znacznie lepiej.

— Proszę mi dać całą sprawę do przejrzenia, rzekł naczelnik Leontjew.

Po chwili przyniesiono papiery, przygotowane, aby je wysłać do naczelnika wojennej komunikacji

wraz z odezwą, żądającą oddania mnie pod sąd wojenny, na zasadzie przytoczonych trzech paragrafów, przewidujących karę do półtora roku więzienia. Brakowało tylko podpisu.

Lecz pan Leontjew z nim się nie kwapił; przeczytał uważnie wszystkie załączniki i powiedział, drąc papiery:

— Ależ cała ta sprawa niema najmniejszego sensu. Narazilibyśmy się tylko na wstyd, gdyż trudno się w niej dopatrzeć jakiegokolwiek przestępstwa. Proszę bez mej wiedzy pana Wąwolnickiego nigdzie nie delegować.

— I tak się cała sprawa skończyła, rzekł śmiejąc się Ryszard.

— Z tego wniosek, zauważył kolega, że naczelnik Leontjew to porządny chłop.

— Tak. I wśród Moskali są przyzwoici ludzie.

W ciągu kilkunastu następnych dni, Ryszard prowadził dosyć jednostajny tryb życia: korespondował z żoną, chodził na spacery w okolice parku, słuchał wojskowej muzyki, a od czasu do czasu spędzał wieczór z kolegami w jakiejkolwiek restauracji. Wśród jednak tych zwykłych zajęć i beztrosko mijających godzin, dręczyła go ciągle niepokojąca myśl, co też dzieje się w kraju i Warszawie. Wiedział, że Niemcy rozgościli się tam nadobre, ciemiężąc i prześladując i tak już nieszczęśliwą ludność. Donosiły o tem gazety, nadchodzące z Moskwy i Piotrogrodu, czy wreszcie z neutralnej Szwecji.

Wiadomości te gnębiły wychodźców; martwiono się o rodziny, pozostałe wkraju. Zdarzały się jednostki, które tak dalece nie umiały zapanować nad sobą, iż popadały w stan nerwowego rozstroju. Taki właśnie los spotkał jednego z nadkonduktorów, Joachimowskiego, który nie mógł przeżyć tych klęsk i kataklizmów wojennych, jakie na nowo spadły na nasz naród, a otrzymawszy wiadomość o wzięciu przez Niemców Warszawy, dostał nagłego obłędu i w ciężkich męczarniach zakończył życie. Wielu też, starszych wiekiem, wywiezionych do Rosji nie przeżyło tułaczki i niedoczekawszy się wolnej Polski, tam na wygnaniu w ogromnej tęsknocie i żalu zakończyli swe życie.

Po paru tygodniach pobytu w Mińsku, zarząd kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, a właściwie już tylko jego firma, otrzymał polecenie wyjazdu do Moskwy. Zpośród urzędników, którzy przyjechali z Warszawy, została teraz w Mińsku niewielka ilość, gdyż innych delegowano do różnych miejscowości. Owa niewielka grupa miała właśnie wyjechać do Moskwy. Między innymi znajdował się Ryszard Wąwolnicki. Gdy pomyślał, że los ustrzegł go od wyjazdu do Żabinki, czuł się bardzo zadowolony, tembardziej, iż, jak mu doniesiono, urzędnik, który pojechał w jego zastępstwie. był ciężko raniony w obie nogi odłamkami bomby. Chodziły słuchy, że był to renegat, nieprzychylnie usposobiony dla Polaków, mimo to jednak, koledzy, którzy się o tem dowiedzieli, współczuli mu serdecznie.

Rozdział IV.

WYJAZD DO MOSKWY.

Kiedy nadeszła chwila wyjazdu do Moskwy, zaczęto pośpiesznie pakować akta i meble poszczególnych biur.

Ryszard, wraz z kilkoma kolegami, otrzymawszy wagon, tak zwaną „ciepłuszkę", zabrał rzeczy i zapas prowiantów na drogę, wyruszył w podróż.

Szlak ten od Mińska do Moskwy nie jest ciekawy, zwłaszcza w okresie jesieni po zbiorach, niczem nie przykuwa wzroku. Pola jednostajne, lasy przeważnie brzozowe, grunta piaszczyste, wioski i osiedla biedne, chałupy niskie, nierzadko kurne chaty, prawie bez dachów i brak zadrzewienia. Gdzieniegdzie mijało się dwór, którego murowany budynek widniał zdaleka. Od czasu do czasu można było dostrzec na horyzoncie małą cerkiewkę, choć często murowaną, jednak przeważnie pozbawioną wokół zieleni.

Szary ten krajobraz nasuwał na myśl nasze wiejskie ustronia, te wsie pełne poezji w każdej porze

roku, czy to na wiosnę, kiedy wszystko żyje i pokrywa się pięknym kwieciem na tle cudownego, zielonego szmaragdu listowia, czy w jesieni, kiedy w promieniach słońca złocą się liście drzew i ścierniska. Ileż poezji ma w sobie wiejski pastuch, który z fujarką przy ustach spogląda na rozsypane po polach stado. Jak pięknie wyglądają z daleka nasze skromne strzeliste kościołki, otoczone kępami drzew.

Owa różnica krajobrazu działała na wychodźców dziwnie przygnębiająco i nie pozwalała zapomnieć, iż każdy przejechany kilometr oddala ich coraz bardziej od kraju.

Zbliżali się bardzo wolno do celu; na niektórych stacjach odczepiano wagon, aby po kilku godzinach przyłączyć do któregoś z pociągów.

Jechali wtedy, przyczepieni na końcu, odczuwając szarpania i wstrząsy. Nic sobie jednak z tego nie robili; nie nużyło ich również wolne tempo podróży, nie mieli się przecież do czego spieszyć, nikt na nich u celu podróży nie czekał.

Piątego dnia wreszcie, dobrze już pod wieczór, przyjechali do Moskwy. Kiedy przybyli na Aleksandrowski dworzec, deszcz lał jak z cebra, a zaciągnięte chmurami niebo nie wróżyło zmiany.

Nikt z przyjezdnych nie znał miasta, nie wiedzieli też, gdzie się dalej ruszyć. Dopiero po zasięgnięciu informacji u portjera, który okazał się również wyewakuowanym z Polski kolejarzem, umieścili się w hoteliku na ulicy Twerskiej, gdzie, oczywiście,

ani o wygodzie, ni o porządku nie można było marzyć. Narazie chodziło o to tylko, aby wypocząć po uciążliwej podróży, a potem poszukać sobie odpowiedniego mieszkania.

W ciągu paru następnych dni deszcz nie pozwalał wychylać się poza obręb hotelu, chyba tylko do herbaciarni na śniadania, lub restauracji na obiady.

Gdy doczekano się wreszcie słońca, zaczęły się poszukiwania na sąsiednich ulicach odpowiedniego locum. Ponaklejane na bramach kartki były dowodem, że mieszkań jest pod dostatkiem, oczywiście pojedyńczych pokoi.

Ryszard Wąwolnicki wynajął sobie jeden z nich, w dzielnicy zwanej „na Gruzinach", przy ulicy Tiszyńskiej i zamieszkał tam z jednym z kolegów i jego synem, studentem. Nie było tam komfortu, ni wygód; cudowna pogoda i mili sąsiedzi — wszystko to ułatwiało wegetację w owem obcem, wielkiem mieście, które jednak każdego mogło zainteresować swą oryginalnością.

Ryszard, zameldowawszy się w swej dyrekcji, nie miał narazie żadnych obowiązków, postanowił więc zwiedzić dawną stolicę carów i obejrzeć wszystko co było godne widzenia.

Biura dyrekcji kolejowej mieściły się na „Preczystience" Niedaleko stamtąd wznosiła się wspaniała cerkiew „Chram Spasitiela", słynna nietylko swą wielkością, lecz i dziełami sztuki z kości słoniowej i perłowej masy, prześlicznej mozajki i malowideł a przedewszystkiem pięknego obrazu, pędzla Sie-

miradzkiego, przedstawiającego Chrystusa. Świątynia ta zbudowana na wzgórku, otoczona placem wygląda imponująco, zwłaszcza w dni słoneczne, gdy promienie słońca, złocąc kopuły, zdawały się wzniecać lazurowe ognie, a blask których rzucał przedziwne refleksy na zieleń rozrosłych obok drzew.

Wrażenie jednak piękna psuje pomnik cara Aleksandra III, postawiony wśród kwietników tuż obok świątyni. Siedząca postać tego przedostatniego samodzierżcy, ze spiżu, ma pospolite rysy twarzy, przypominające przeciętnego „feldfebla" rosyjskiej armji.

Moskwa ma około 60 kilometrów w obwodzie. Oryginalność miasta polega właściwie na braku jakiejkolwiek jednolitości stylu; ulice naogół dość szerokie. Domy niektóre mają wygląd willowy, jakby przeniesione z zachodnich miast Europy, inne znów przypominają wschód; wśród wielkich trzy. lub czteropiętrowych kamienic, o charakterze koszarowym, można spotkać małe parterowe domki murowane, a często i drewniane, zamieszkałe przez biedaków. Ów właśnie bezład psuje całą symetrję i obniża wygląd estetyczny tego, przeszło, dwumiljonowego miasta.

Podobną mieszaninę można spotkać nietylko w dalszych dzielnicach, jak na Tagance, Preśni, Solance, Gruzinach i t. p., lecz i w śródmieściu, mianowicie na ulicach: Twerskiej, Dmitrówce, Artyleryjskiej i innych.

Sklepy i magazyny przedstawiały się również bardzo różnorodnie: jedne o wspaniałych wystawach, eleganckich frontach, z portjerami w liberjach, stojącymi u wejść, — a tuż obok inne cuchnące i brudne, najczęściej sklepiki spożywcze.

Na uwagę zasługiwał olbrzymi magazyn angielski, Mir-Mirelis; sklep ten posiadał wszelkiego rodzaju oddziały i przed wojną miał miljonowe obroty

Przyjrzawszy się miastu, trudno było właściwie orzec, do kogo ono należy; czy jest siedliskiem bogaczy i dorobkiewiczów, czy panuje w nim nędza proletarjatu.

Muzea i galerje obrazów stały wówczas w Moskwie na wysokim artystycznym poziomie, zwłaszcza galerja „Trietiakowska", „Dom Romanowych" i „Pałac Skulptury" ze znakomitemi osobliwościami w dziedzinie rzeźby.

Doskonałe teatry, z wspaniałą wystawą i artystyczną grą, zwłaszcza w stylowych sztukach komedjowych i dramatycznych, najlepiej mogły świadczyć, że w tem, pełnem chaosu mieście, gościł duch wysokiej kultury, poezji i piękna, splecionego przedziwnie i z biedą, z prostactwem i z ciemnotą.

Ogólną uwagę zwracała ogromna ilość studentów i studentek, uczęszczających do wielu miejscowych wyższych uczelni. Wszyscy oni odnosili się nad wyraz życzliwie do rzesz polskich, które wojna światowa rzuciła na bruk Moskwy. Inni mieszkańcy nie objawiali wielkiej sympatji. Zdarzało się nawet, że

proletarjat i drobni przekupnie, uważając masowy przypływ Polaków, jako przyczynę drożyzny, zajmowali przeciw nim wręcz wrogie stanowisko. Mimo, iż inteligencja łagodziła wszelkie niewłaściwe ekscesy, doszło do tego, że w czasie Wielkiejnocy 1916 roku tłum przy pomocy policji wybierał się jakoby urządzić rzeź. Huligani byli już podobno zorganizowani i podzieleni na okręgi. Cała ta niecna akcja miała się rozegrać w nocy z Wielkiej Soboty na niedzielę. Obiecywano, że zginą wszyscy, nie wyłączając niewiast i dzieci. W tym wypadku obronę na siebie wzięła rosyjska inteligencja, a przeważnie młodzież akademicka, przeprowadzając ją nadzwyczaj skrupulatnie i mozolnie nie szczędząc swej pracy. Oczywiście najwięcej trzeba było pilnować na bocznych ulicach i peryferjach, gdzie gnieździł się rozmaitej kategorji moskiewski proletarjat, bardzo łatwy do użycia we wszelkiej brudnej robocie szczególnie jeśli był przez agitatorów zamroczony alkoholem.

Zdarzało się, że pogotowie obronne trwało bezustannie w dzień i w nocy, nieraz w ciągu trzech dni. Patrolowano z bronią w ręku w bramach i na ulicy. Policja zachowywała się najczęściej neutralnie; niekiedy jednak okazywała wyraźną niechęć mimo iż ówczesny moskiewski „Gradonaczalnik" niejaki generał Szebeko, wyraźnie ową milicję zaaprobował. Czasami funkcjonarjusze policji przeszkadzali akademikom w sprawowaniu ich obywatelskiej czynności, lecz tamci zdołali zapobiec rzezi

i uniknąć powtórzenia wypadków, jakie miały miejsce w noc św. Bartłomieja we Francji.

Dawni mieszkańcy Moskwy, którzy znali stosunek policji do ludności — twierdzili, że policjanci wśród takich zamieszek najobfitsze zbierali plony. W ich więc interesie leżało, żeby nie przeciwdziałać tej dzikiej akcji.

Owe trzy noce świąteczne dały Polakom dużo emocji. Chociaż studenci niestrudzenie spełniali swe dyżury, a studentki obchodziły pokolei wszystkie polskie rodziny, uspakajając, informując o stanie rzeczy i zalecając niepokazywanie się wieczorem na ulicy, nikt prawie oka nie zmrużył, a w wielu mieszkaniach paliły się przy świętych obrazkach świece. Zbierano się również na wspólne modły kładąc się na spoczynek dopiero o świcie.

Po trzech dniach, kiedy już wszystko jako tako się uspokoiło, a steroryzowani wygnańcy zaczęli powoli przychodzić do normalnego stanu, Ryszard wybrał się na Tagankę, by tam odwiedzić znajomych. Gdy, szukając jakiegoś zaułka, zwrócił się do stojącego przed bramą staruszka i wdał się z nim w rozmowę, ten spytał go:

— Pan chyba nietutejszy?

— Tutejszy, lecz z innej rosyjskiej miejscowości odrzekł Ryszard, bojąc się przyznać, że jest „bieżencem", jak nazywano wygnańców.

— Tak, widać po panu, że jest pan Rosjaninem. Poznałem to — zauważył starzec.

— Już drugi rok tutaj mieszkam, dodał Ryszard

Chciał przytem wdać się ze starym w rozmowę, więc poczęstował go dobrym papierosem.

— Jak też wam przeszły święta?

— Dosyć spokojnie, chociaż te djabły studenty nie dały nawet człowiekowi wyjść na ulicę. Rozpędzali rewolwerami, grożąc, że w razie nieposłuszeństwa, będą strzelać.

— Cóż na to mówiła policja?

— Przez całe święta nie było żadnego z nich widać.

— A wiecie wy o tem, że chcieli Polaków wyrzynać? — spytał Ryszard.

— Jakżebym miał nie wiedzieć; przecież tu na Tagance pełno tego psiarstwa mieszka.

— Dlaczego tak na nich mówicie? Czy wam co złego zrobili?

— Jakto co złego? Cała ta wojna to przez nich; oni i wojnę zrobili i nas i Niemców do niej wciągnęli.

— Któż to wam tak powiedział?

— Wszyscy to mówią; ja sam też wiem dobrze, że to hołota mać i... chcą cały świat zawojować i naszą świętą Rosję zabrać. A tymczasem tyle przez nich naszych dzieci zginęło na wojnie, a gdzie tylko przyjadą, to zaraz robią drożyznę. To, panie, przeklęty naród, — dowodził prostak, napompowany przez agitatorów.

— Moi kochani — rzekł Ryszard, — widzę żeście strasznie w błąd wprowadzeni.

Przekonywał go dość długo, naogół jednak bezskutecznie.

— Ależ, panie, zawołał w pewnym momencie, przecież te Polaki są tej samej religji, co Niemcy, to znaczy nie wierzą tak w Boga, jak my.

— Mylicie się moi drodzy; Polacy wyznają religję bardzo zbliżoną do prawosławnej i w Boga wierzą; są przytem tak samo, jak Rosjanie, z pochodzenia Słowianami; przecież nawet mówią podobnym językiem. To Niemcy właśnie wyciągają rękę po Rosję, a potem chcą zawładnąć jeśli nie całym światem, to przynajmniej Europą. Dlatego też studenci nie chcieli pozwolić, aby niewinnym ludziom stała się krzywda. Byłby to dla Rosjan straszny wstyd.

— Czegóżby się mieli wstydzić?

— Czyż tego nie wiecie, że rząd rosyjski wygnał Polaków z ich kraju, kazał im się tu czasowo osiedlić, a teraz miałby pozwolić ich wyrznąć?

Ryszard odszedł, zostawiając go niebardzo przekonanego. Całe dowodzenie starca wskazywało, jak nieżyczliwie dla Polaków usposobiony był tłum i jak niewiele brakowało, aby doszło do obiecanej rzezi.

W kilka dni potem Ryszard uzyskał kilkodniowy urlop; wyjechał więc do Połtawy, gdzie mieszkała jego żona, wyewakuowana już przedtem z Polski.

Pracowała, jak wiele kobiet, społecznie, należąc do jednego z komitetów polskich.

Wąwolnicki bardzo kochał swą żonę, kilka więc dni spędzone przy jej boku, podziałały kojąco na nerwy i usposobiły odporniej do nowych przeżyć jakie go czekały na tułaczce.

Kiedy wyjeżdżał do Moskwy, aby tam stawić się do dyspozycji swoich władz kolejowych, żona spytała:

— Czy nic nie wiesz, co zamierzają z tobą zrobić? Przecież napewno nie dadzą ci długo siedzieć bezczynnie w Moskwie.

— Zapewne wyślą mnie na jakąś odległą stację, abym tam pracował; tak zrobili z wieloma moimi kolegami.

-- Na jakie stanowisko mogą cię delegować?

— To będzie zależne od zapotrzebowania; sądzę jednak, że na naczelne, gdyż do takiej kategorji urzędników jestem zaliczony; przytem naczelnik Leontjew, który obecnie zarządza naszym wydziałem, napewno nie da mi zrobić krzywdy. To dobry człowiek.

— Bardzobym chciała, rzekła, żebyś mógł przestać pracować na kolei. Wielu mężczyzn stara się obecnie obejmować stanowiska w instytucjach humanitarnych, czy wreszcie komunalnych. Gdyby ci się udało zamieszkać w Moskwie, przyjechałabym do ciebie, gdyż mimo wygód, jakiemi jestem otoczona, dziwnie źle się czuję; nie mogę pozbyć się wrażenia, że czeka mnie jakieś nieszczęście.

— Wiem, że ostatnie wojenne wypadki mocno nadszarpały nasze nerwy; panuj jednak nad sobą — rzekł Ryszard, tuląc ją serdecznie — a ja ze swej strony dołożę wszelkich starań abyśmy mogli znów być razem.

Przykra była chwila pożegnania. Cokolwiek bądź mija, zostawia zawsze za sobą żal, że się już skończyło. Przeżywali przytem czasy tak niepewne, że trudno było przewidzieć, kiedy się znów zobaczą

Po powrocie do Moskwy Wąwolnicki udał się niezwłocznie do naczelnika Leontjewa i, po dłuższej z nim konferencji, uzyskał zgodę, by wstrzymać delegowanie go na posadę. Nie wiedząc, jak długo uda się pozostać w Moskwie, natychmiast przedsięwziął wszelkie możliwe kroki, aby zmienić swe dotychczasowe zajęcie. Odwiedzał przeróżne instytucje, zarówno społeczne, jak komunalne, nie mając jednak, ani znajomości, ani stosunków, nie mógł znaleźć nic odpowiedniego.

Udało mu się wreszcie zasięgnąć informacji, że na czele jednej z większych instytucji, noszącej miano „Ziem-Gorod", stoi książę Lwow, który dosyć przychylnie odnosi się do Polaków i daje im posady uważając ich za element zdolny i uczciwy.

Tam też pewnego dnia znalazł się Ryszard w poczekalni i zaraz natknął się na kolegów. Jeden z nich wskazał mu wywieszone karty, że wszystkie posady zajęte i dodał:

— Proszę się temi napisami nie przejmować. Należy tylko znaleźć do księcia odpowiednią protekcję, a napewno jakaś posada się znajdzie.

— Trudno to będzie, gdyż jestem tu obcy.

— Dam wam na to radę. Mieszka tu od dawnych lat w Moskwie pewien ustosunkowany Polak, niejaki Aleksander Lednicki, mecenas. Jest to długo-

letni prezes tutejszego Towarzystwa Dobroczynności, znajdującego się w domu polskim na Milutyńskiej ulicy.

— Przypominam sobie, rzekł Ryszard, że niejaki Lednicki był członkiem Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Polskich w Warszawie.

— Pewnie to będzie ten sam, gdyż znany jest także i tutaj nietylko z pracy społecznej, lecz i literackiej.

— A czy pan zgłaszał się już do niego, spytał Ryszard.

— Jeszcze nie. Właśnie przyszedłem tutaj zasięgnąć pewnych informacji. Bardzobym chciał dostać się do owego „Ziem-Grodu" i przez nich być delegowanym do Charkowa, gdyż tam wyjechała moja rodzina. Mam zamiar więc udać się do pana Lednickiego, który mieszka na ulicy Krzywonikolskiej pod nr. ósmym z prośbą o protekcję. Wiem napewno, że tam każdy Polak jest serdecznie przyjęty i nie bywa wypuszczony bez pociechy.

— W takim razie i mnie nie pozostaje nic innego do zrobienia, jak udać się do tego opatrznościowego człowieka.

— Słyszałem, że pan Lednicki ma rozległe stosunki, wielki zasób chęci i dobrego serca i wszystkim przychodzi z pomocą. Jednych lokuje w bankach, innych w instytucjach rządowych, społecznych, czy samorządowych, a nawet opowiadali mi fakty, że niejednokrotnie potrafił matce, lub żonie wycofać syna, czy męża z frontu i postarał się za-

dekować go na tyłach w jakimś szpitalu, czy magazynach, gdzie nietylko śmierć nie grozi, lecz jeszcze ma przyzwoite utrzymanie dla swej rodziny.

— A więc dobrze! Wybiorę się do pana Lednickiego jutro — rzekł Ryszard.

— Ja zaś, żeby nie odkładać, idę do niego dzisiaj — odpowiedział kolega.

Wyszli razem i pożegnali się na ulicy.

Rozdział V.

WIZYTA U MECENASA LEDNICKIEGO.

Ryszard postanowił nazajutrz udać się do mecenasa Lednickiego i prosić go o pomoc w znalezieniu pracy. Przypomniał sobie, że nazwisko to figurowało w spisie członków Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Warszawskich, widać więc było z tego, że mecenas, mimo iż oddawna mieszkał w Moskwie, nie tracił łączności ze swym krajem.

Drugiego więc dnia, już o dziesiątej rano dzwonił na Kriwo-Nikolskiej ulicy do pałacyku pana Lednickiego. Otworzył mu służący o pucołowatej twarzy i mazurskim akcentem zapytał:

— Co pan sobie życzy?

Wąwolnickiego mile uderzył dźwięk polskiej mowy; zdawał się wróżyć powodzenie.

— Czy zastałem mecenasa? — zapytał.

— Tak proszę pana, jest w domu; jutro dopiero wyjeżdża do Niżniego Nowogrodu.

— A czy można się z nim widzieć?

— Nasz pan każdego przyjmuje. Muszę tylko wiedzieć w jakiej pan sprawie, bo jeśli sądowej, to proszę do tej obok poczekalni. Tam zapisze pana adwokat, pan Goldman; jeśli zaś to sprawa wygnańcza lub wojenna, to będzie pan łaskaw przejść do poczekalni na prawo, a tam zapisze go pan Langiewicz, lub pan Oglanicki-Poczobut, sekretarze naszego pana, który już niedługo przyjdzie do swego gabinetu i zacznie interesantów przyjmować.

— Ja mam interes w sprawie wygnańczej, powiedział Ryszard i udał się do poczekalni we wskazanym kierunku.

W obszernej, ładnie umeblowanej sali, siedziało już kilkanaście osób, oczekując audjencji. Rozmawiano po polsku przyciszonym głosem.

Ryszard, skłoniwszy się obecnym, usiadł przy bocznym stoliku i począł oglądać polskie pisma, wychodzące wówczas w Moskwie i Petersburgu.

Jedno z ciekawszych było wydawane w Moskwie— „Echo", gazeta postępowa, subsydjowana przez mecenasa Lednickiego pod redakcją F. Kierskiego; poza tem endecki organ „Gazeta Polska", redagowana przez A. Sadzewicza. Oba te pisma spełniały zgodnie swe publiczno-dziennikarskie zadanie, broniąc interesów rzeszy wygnańczej, nikogo nie prowokując, nie rozsiewając nienawiści partyjnej i chroniąc od zaprzepaszczenia na obczyźnie polskie ideały narodowe.

Zarówno jeden dziennik, jak i drugi, cieszyły się popularnością wśród Polaków.

Gdy po jakimś czasie zjechał do Moskwy Władysław Buchner, który był zmuszony do wyjazdu z Warszawy, i zaczął redagować w Moskwie swoją ogólnie znaną „Muchę", to czekano z niecierpliwością końca tygodnia, kiedy się to sympatyczne pismo pojawi.

Chwytano się każdej okazji, stwarzającej nastrój Ojczyzny. Były też w Moskwie zakątki, które pozwalały zapomnieć, że to nie Polska i nie Warszawa. Jakże często zbierano się w kawiarni na Dmitrówce, lub Łubiance, w cukierni Langnera. Panował tam przeważnie ruch i nie słyszano innego języka prócz polskiego. Tam można było dowiedzieć się ciekawych nowin z kraju i choć na chwilę zapomnieć o szarem wygnańczem życiu.

Po jakimś czasie wszedł młody urzędnik i zaczął pokolei zapisywać nazwiska obecnych. Zbliżywszy się do Ryszarda, zapytał:

— A pan w jakiej sprawie?

— Jestem wygnańcem z Warszawy. Jako urzędnik kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, mam być wysłany na posadę w głąb Rosji. Zależy mi bardzo na tem, bym mógł pracować w innej instytucji i uniknąć dalszej tułaczki.

— Wszystko to przedstawię panu mecenasowi proszę tylko o podanie pańskiego służbowego stanowiska.

Gdy odszedł, zebrani skracali sobie czas rozmową. Ryszard nie znał nikogo i dlatego czas mu się dłużył. Wreszcie wszedł na salę starszy mężczyzna,

lat około 50-ciu, wysokiego wzrostu, średniej tuszy i bardzo miłej powierzchowności. Był to oczekiwany przez wszystkich mecenas Lednicki; podchodził kolejno do zebranych, z każdym rozmawiał, czyniąc sobie odpowiednie notatki, lub wydając polecenia. Zbliżywszy się do Wąwolnickiego, rzekł:

— Słucham pana.

Ryszard, przedstawiwszy się, wyłuszczył swą prośbę, dodając, iż żona jego mieszka w Połtawie i że bardzoby chciał się z nią połączyć.

Mecenas wysłuchawszy uważnie, polecił to wszystko napisać w formie listu i zgłosić się w ciągu dziesięciu, lub czternastu dni po odpowiedź.

Wizyta ta, mimo iż narazie nie dała żadnych pozytywnych rezultatów, napełniła Ryszarda otuchą że wszystko zmieni się na lepsze.

Gdy wrócił do domu, napisał do żony list, pełen optymistycznych horoskopów na przyszłość.

W dwa tygodnie później, kiedy Ryszard zgłosił się do mecenasa Lednickiego, znany już nam służący, Jacenty, życzliwy widocznie dla swych ziomków, rzekł:

— Dobrze, że pan przyszedł dzisiaj, gdyż jutro nasz pan wyjeżdża do Petersburga.

— A czy na długo?

— Na trzy do czterech dni; nasz pan ma tam kancelarję adwokacką i kilku swych pracowników; zawsze jeździ przynajmniej dwa razy na miesiąc.

— Kto mu wtedy tutaj załatwia sprawy?

— Ma tu pełno pomocników. Każdy dział, czy to kryminalny, cywilny, administracyjny, czy polityczny prowadzi inny kierownik, który również ma adwokatów do pomocy. Nasz pan tylko wszystkiem zarządza.

— Więc p. Lednicki osobiście nie staje w żadnych sprawach?

— Zdarza się to bardzo rzadko i tylko w ważnych wypadkach. Jeśli jednak chodzi o Polaków i ich sprawy polityczne, wtedy zawsze nasz pan sam broni i to najczęściej bezpłatnie.

— Niechże więc pan Jacenty będzie łaskaw mnie zameldować.

— Pan mecenas się pana spodziewa.

Mówiąc to, wskazał Ryszardowi najbliższe drzwi. Był to niewielki, elegancki pokój, przeznaczony na poczekalnię.

— A może lepiej zaczekać w ogólnej sali?

— Tam nasz pan przyjmuje tylko tych, do których sam wychodzi. Komu jednak naznaczy wizytę, ten czeka tutaj, zanim pan nie poprosi do swego gabinetu.

W kilka chwil później, podczas gdy Ryszard zajęty był oglądaniem wiszących na ścianach sztychów, wszedł Jacenty i rzekł:

— Pan prezes prosi pana do siebie.

W obszernym, stylowo urządzonym gabinecie, przy wielkiem biurku, założonem papierami, pogrążony w pracy, siedział mecenas Lednicki. Ujrzawszy

Wąwolnickiego, odłożył akta na bok i, wyjąwszy z pod przycisku list przez niego pisany, umieścił go przed sobą. Wskazawszy Ryszardowi krzesło, powiedział:

— Proszę, niech pan siada; porozmawiamy o pańskiej sprawie.

Podczas, gdy mecenas znaczył coś ołówkiem w liście, który miał przed sobą, Ryszard przyglądał mu się bacznie. Na schylonej twarzy malowały się dobroć i rozum.

Wąwolnicki nabierał coraz większej otuchy. Gdy mecenas spytał, dlaczego unika wyjazdu na posadę w głąb Rosji, odpowiedział:

— Nie chciałbym oddalać się z Moskwy, aby nie stracić kontaktu z ziomkami. Pragnę przytem skorzystać z pierwszej sposobności, jaka się nadarzy, by wrócić do kraju. Bardzoby mi to dogadzało, gdybym mógł pracować w organizacjach polskich, a szczególnie w Komitecie pod kierownictwem pana prezesa.

— A w jaki sposób uregulował pan swe sprawy z zarządem kolei Warszawsko-Wiedeńskiej?

— Jestem narazie kandydatem na posadę kolejową, gdziekolwiek ona się nadarzy; każda jednak instytucja, pracująca dla potrzeb wojny i związana z interesami wojny, mogłaby zażądać oddelegowania mnie do siebie.

— Według pańskiego zdania, na jakie stanowisko pan się nadaje tu w naszym Komitecie? Zapewne

pan już wie, jaką mamy administrację i całą gospodarkę?

— Tak, panie prezesie, mniejwięcej wtajemniczyłem się w to i sądzę, że nie zabraknie mi energji, aby móc poprowadzić samodzielnie którykolwiek z działów.

— Ja również odniosłem wrażenie, — rzekł mecenas, — że nadaje się pan na kierownicze stanowisko, lecz niestety żadna narazie w tym rodzaju nie wakuje posada. Będzie pan musiał jakiś czas poczekać.

— Mam obecnie skromną pensyjkę, ale doskonale starcza na moje potrzeby. Poczekam więc cierpliwie.

— Sądzę, że to nie potrwa długo. Gdy już będę miał dla pana coś pewnego, wtedy dopiero zajmiemy się oddelegowaniem go z kolei. Proszę się znów zgłosić za dwa tygodnie.

Ryszard podniósł się i rzekł:

— Jakże mam okazać wdzięczność za te słowa otuchy? Dzięki panu mecenasowi, nie czuję się tak obco i bezdomnie. Proszę mi wierzyć, że swoją osobą nie zrobię nigdy zawodu.

— Zebrałem już o panu referencje i do tego dobrą, lecz nie tyle na nią zwracam uwagi, ile na własną intuicję, która mnie dotychczas nigdy nie zawiodła. O ileby zdarzyło się wcześniej dla pana odpowiednie zajęcie, natychmiast go zawiadomię.

W radosnym nastroju wyszedł Ryszard na ulicę. Poczucie, że w tem wielkiem mieście nie jest już niepotrzebnym nikomu intruzem, nadzieja, że będzie pracować wśród swoich i myśl, że są na świecie jeszcze ludzie zacni i uczynni — wszystko to uspasabiało go życzliwie, nawet do wrogów. Powtarzał sobie w duchu, że przecież wojna się kiedyś skończy i życie popłynie jakimś innym, równiejszym torem.

— Mówiono ogólnie, że mecenas Lednicki nikomu nie odmawia pomocy, zapewne więc i tym razem załatwi wszystko pomyślnie; będzie można zamieszkać razem z żoną i łatwiej w ten sposób przetrwać czas przymusowego pobytu w Rosji — myślał sobie, idąc ulicą.

Pewnego dnia wezwano Wąwolnickiego do zarządu kolei Wiedeńskiej i zawiadomiono, iż jest delegowany do Archangielska na stanowisko rewizora w wydziale przeładunków amunicji z okrętów do wagonów i wysyłki ich na front. Koledzy winszowali mu, gdyż była to dobra posada; poza normalną pensją i djetami, otrzymywał jeszcze dodatkowo zapłatę z ministerstwa wojny.

Ryszard jednak, mając na względzie obietnicę mecenasa Lednickiego, pod pretekstem choroby, nie przyjął nominacji. Los chciał przytem, że zachorował naprawdę i to do tego obłożnie. Gdy po kilku tygodniach wstał z łóżka i jako rekonwalescent był wezwany na komisję lekarską, orzeknięto, iż jest narazie niezdatny do służby i na tej podstawie zwolniono go z posady na kolei.

Mimo, iż znaczyło to, że został pozbawiony stałych dochodów, po raz pierwszy od chwili rozpoczęcia wojny poczuł się nieomal szczęśliwy; świadomość, że nie jest skrępowany obowiązkami służbowemi, ani związany z rządem moskiewskim — to właśnie cieszyło go najbardziej. Miał narazie kilkaset rubli oszczędności, co, mimo wzrastającej drożyzny, mogło być przez czas jakiś deską ratunku.

Kilkakrotnie składał wizyty mecenasowi Lednickiemu, lecz, jak dotąd, odchodził z niczem. Poczciwy Jacenty, za każdym razem gdy mu podawał palto, nie omieszkał szepnąć:

— Niech pan będzie łaskaw czekać cierpliwie. Nie było jeszcze wypadku, żeby nasz pan komu cokolwiek przyobiecał i nie dotrzymał przyrzeczenia.

Ryszard czekał cierpliwie. Tylu przecież ludzi widział w poczekalniach mecenasa i podobno żaden z nich nie odszedł bez pomocy materjalnej, czy moralnej. O żonę narazie był spokojny, gdyż byt miała zabezpieczony. Sam mógł zmniejszyć sobie wydatki do minimum i jeszcze jakiś czas przetrwać. Gdy jednak po ciężkiej chorobie, zmizerowany i już z niewielkim zapasem gotówki wstał z łóżka, wówczas dopiero opanował go pewien niepokój. Dlatego też, jak tylko mógł już wyjść na ulicę, udał się do mecenasa Lednickiego.

Gdy Jacenty ujrzał go w westibulu, aż krzyknął zdziwiony:

— Jakże pan mizernie wygląda! Dlaczegóż to tak pan się u nas nie pokazywał?

— Przeleżałem kilka tygodni w łóżku; dzisiaj po raz pierwszy wyszedłem na ulicę.

— Doskonale, że pan przyszedł, gdyż nasz pan jutro wyjeżdża do Petersburga i dopiero za kilka dni wróci. W tej chwili pana zamelduję.

Niedługo poproszono Wąwolnickiego do gabinetu i mecenas przywitał go słowami:

— Widzę, że przykrzy się panu bez zajęcia; mam jednak nadzieję, że już niedługo będę miał coś odpowiedniego dla pana.

— Wstyd, mi, doprawdy, — rzekł Ryszard, — że się panu tak naprzykrzam, lecz powoli wyczerpują się moje skromne zasoby materjalne, a przytem byłem ciężko chory — i to zapewne wpłynęło najbardziej na stan depresji duchowej, w jakiej się znajduję.

Mecenas spojrzał uważnie na twarz mówiącego.

— Rzeczywiście źle pan wygląda.

— Chorowałem poważnie. Dzięki doktorowi Wartałowskiemu czuję się już jako tako.

— Niechże więc pan podreparuje swoje zdrowie. Najlepiej byłoby wyjechać na parę tygodni do sanatorjum. Ja tymczasem przygotuję dla pana odpowiednie stanowisko.

— Bardzo będę rad, lecz nie wyjadę, niestety, nie mam odpowiednich środków. Chciałem na święta pojechać do Połtawy, aby zobaczyć się z żoną, lecz wobec tego, że obecnie niemam już prawa korzystania z ulgowych biletów, będę musiał sobie i tego odmówić.

— Będę się starał, aby jaknajprędzej ulżyć pana doli; proszę się uzbroić jeszcze w nieco wytrwałości.

— Muszę czekać cierpliwie; jedno tylko mnie dręczy, czy wystarczy mi zasobów pieniężnych, zanim zacznę zarabiać.

— Rozumiem w zupełności pańskie położenie. Jestem również zdania, że musi pan koniecznie podratować swe zdrowie, — rzekł mecenas i podając Ryszardowi kilka storublowych papierków, dodał:

— Proszę to przyjąć odemnie w charakterze pożyczki i wyjechać, jak radziłem.

Wąwolnicki zasępił się. Teraz dopiero uprzytomnił sobie, że nie powinien był mówić tak szczerze o swoich troskach materjalnych. Czuł, że palą go policzki i uczucie upokorzenia dławi w krtani.

— Panie prezesie,—zawołał,—zwierzając mu swoje kłopoty — nie to miałem na myśli. Lękam się rzeczywiście, co ze mną będzie dalej, jeślibym nie otrzymał stałego zajęcia; narazie jednak mój portfel nie jest pusty, mam jeszcze paręset rubli. Gdybym nawet nie miał już grosza, to jeszcze wachałbym się przyjąć podobny datek.

— Ależ, panie, jest to zwyczajna pożyczka, którą mi pan przy pierwszej sposobności zwróci, — rzekł mecenas, podchodząc do Ryszarda i kładąc mu swe ręce na ramionach. — Dzisiaj mam pieniądze mogę niemi służyć memu rodakowi; kto wie czy kiedyś nie znajdę się w podobnem do pana położeniu. Musimy sobie nawzajem pomagać, tembardziej, ż obydwaj jesteśmy na obczyźnie.

— Nigdy nie zapomnę wielkiego serca i życzliwości, jakiej tu doznałem; pieniędzy jednak przyjąć nie mogę.

— Boję się, czy pan jest za mną zupełnie szczery; bo jeśli to tylko skrępowanie, to, doprawdy, nie powinno mieć miejsca.

Ryszard wtedy z uśmiechem wyjął z kieszeni portfel i pokazał jego zawartość, w którym było paręset rubli.

Rozmawiali jeszcze czas jakiś, nie poruszając już sprawy pieniężnej.

Spokojny i pełen dobrych myśli, wracał dnia tego Ryszard do domu. Po drodze wstąpił do kościoła na Milutyńskiej ulicy i modlił się gorąco, dziękując Bogu, za przywrócenie zdrowia i opiekę.

Zbliżyło się Boże Narodzenie. W Moskwie grudzień jest zazwyczaj zimny; mrozy dochodzą do 30 stopni. Na jezdniach w ciągu całej zimy nie uprząta się śniegu. Leży on, zbity pojazdami, czekając kwietniowego słońca. Nadaje to miastu specjalny charakter; przez długie miesiące ucho przyzwyczaja się do dźwięków dzwonków, które, brzęcząc przy uprzęży, zachęcają do sanny.

Ryszard jednak przeważnie chodził piechotą. Skromne jego zasoby topniały z dniem każdym, powiększając ogólną duchową depresję. Mimo, iż starał się o swojem położeniu nie myśleć, żal i tęsknota za normalnym biegiem życia nie dawały mu spokoju. Był przecież zdrów i młody, a jednak chwilami

czuł się tak nieszczęśliwy, jakby go cały świat opuścił. Nie pomagało uczęszczanie do czytelni Domu Polskiego, ani odwiedzanie kawiarni, gdzie schodzili się na pogawędkę wygnańcy; nie uspakajały prawie codziennie pisane listy do żony, ni odpowiedzi, jakie od niej otrzymywał. Dzień każdy zdawał się wiać pustką i beznadziejnością. Teraz właśnie, kiedy zbliżały się święta, świadomość, że z powodu braku pieniędzy nie może jechać do Połtawy, była mu nieznośnie przykrą.

Chwilami zaszywał się w swym pokoju, broniąc doń komukolwiek dostępu, to znów uciekał do ludzi, by zobaczyć życzliwe, uśmiechnięte twarze i choć na chwilę zapomnieć o swem sieroctwie lub zdławić dojmującą nostalgję, która w tym czasie nie dawała mu spokoju.

Nadszedł wreszcie dzień wigilijny. Na ulicach panował wzmożony ruch. Gdy Ryszard przed południem wyszedł na miasto, spotkał wielu swych kolegów, którzy, mimo, iż zdala najczęściej od rodzin, zdawali się być pełni otuchy.

Wszędzie wyczuwało się niepowszedni nastrój. Tu i tam zatrzymywały się grupki znajomych; umawiano się na dzisiejszy wieczór. Każdy pragnął spędzić go wśród najbliższych, lub choćby obcych, aby tylko nie dać dostępu tęsknocie, by zapomnieć o smutnej najczęściej rzeczywistości.

Chociaż 30-stopniowy mróz dawał się porządnie we znaki, Ryszard dość długo błądził po ulicach bez wyraźnego celu. Zjadłszy wreszcie skromny obiad

w studenckiej kuchni, powlókł się około czwartej do domu.

W pokoju zastał kolegę, Fleszyńskiego, który zaraz na wstępie zapytał go:

— Gdzie dzisiaj spędzisz wieczór?

— Mam zamiar nie wychodzić z domu.

I, jakby chcąc zadokumentować, iż nie zmieni zdania, zdjąwszy płaszcz, rozsiadł się wygodnie na fotelu.

— Jakto, nikt cię ze znajomych nie zaprosił?

— Chwała Bogu, nie.

— I nie wybierasz się nawet do żadnej jadłodajni?

— Nie jestem głodny, dopiero co byłem na obiedzie.

— No, ale tak dla tradycji...

— Mój kochany, — rzekł podniecony Ryszard, — takich knajpiarskich tradycyj mamy pełno przez okrągły Boży rok.

— Jestem zaproszony do niejakich państwa Zielińskich. Znam ich od lat kilkunastu z Warszawy. Pójdź ze mną, a będą ci napewno radzi.

— Nie mogę iść do zupełnie obcych ludzi, których nie znam i którzy mnie nie prosili. Jestem przytem tak minorowo nastrojony, że wolę być sam w domu.

— Tembardziej powinieneś iść między ludzi.

— Poco? Żeby im psuć nastrój?

Tamten przestał wreszcie nalegać. Pożegnawszy się serdecznie, wyszedł.

Dopiero teraz Ryszard poczuł się naprawdę sam. Nie wiedział, jak długo pozostał bez ruchu; nie zdawał sobie sprawy, gdzie jest i o czem myśli. Gdy jednak kostniałemi dłońmi dotknął rozpalonej głowy, poczuł dreszcze, które nim wstrząsnęły. Czuł się chory; nie było to jednak niedomaganie fizyczne; szło ono gdzieś z głębi duszy, przepojonej żalem i tęsknotą, rodziło się z bezczynu, w jakim zamknęło go twarde życie. Mimo, iż czuł w całem ciele przenikliwy chłód, paliło mu się coś w piersiach i przyspieszonym rytmem łomotało serce. Porwał się i gorączkowemi krokami zaczął przemierzać pokój. Pragnął biec gdzieś przed siebie, by uciec od smutku i udręki, a może nawet od świata, czy własnych rozważań.

— Bo kimże my jesteśmy, — myślał, — odwieczni tułacze! W ciągu kilku pokoleń przemierzyliśmy bezmierne syberyjskie przestrzenie, turmy Nerczyńska i Petropawłoska. Oddawaliśmy tam zawsze najlepszą cząstkę każdego naszego pokolenia.

— A dzisiaj? Zaplątani w cudzą wojnę i w cudze sprawy, rozdzieleni we wrogich sobie obozach. Jakże często w dziejach naszych los kazał się nam bić za innych.

Zmęczony i zziębnięty, położył się na swem polowem łóżku. Czuł teraz podwójny chłód; zaczęła go gnębić samotność. Pobiegł myślą do ukochanej Warszawy i utonął we wspomnieniach, jak to było przed rokiem. Ileż dałby za to, aby móc choć na chwilę spojrzeć na tak dobrze znane ulice.

Nieraz czytał i słyszał, jak Niemcy uciskają ludrość, jak utrudniają codzienne już i tak ciężkie życie. Może niejedni dzisiaj tam przymierają głodem. Czuł, że gdyby się teraz wśród nich mógł znaleźć, byłby zupełnie szczęśliwy. Nietylko ludzie stwarzają nastrój w spokoju i radości; ojczysta ziemia usypia w człowieku poczucie niemocy i zwątpienie.

Przez zamarznięte okna, świecił jasno księżyc. Promienie jego iskrzyły się wśród dziwacznych deseni. Ryszard wpatrywał się w osrebrzony świat baśni, zaklęty na szybach — i zapomniał na chwilę o wszystkiem, co go tak dręczyło. Usiłował zasnąć, skulił się na łóżku, przykrył szczelnie kocem, lecz nic nie pomagało. Przewracał się z boku na bok, a sen nie przychodził.

Zapalił więc lampę i zdjął z półki pierwszą lepszą książkę. Wodził oczami po wierszach i stronach, nie rozumiejąc co czyta. Wreszcie oprzytomniał. Spostrzegł, że zatrzymał się na 35 stronie, a nie umiałby powtórzyć ani jednego zdania. Spojrzał na tytuł i ze zdumieniem przeczytał: „Rodzina Połanieckich"; była to jedna z tych niewielu książek, które zabrał ze sobą z Warszawy. Czytał ją wiele razy i zawsze sprawiała mu przyjemność. Zżył się z jej postaciami i znał je tak dobrze. Czemuż więc dziś były mu zupełnie obce?!

Zniechęcony, zgasił lampę, lecz znów napłynęła do serca tęsknota. Usiłował się uspokoić i pocieszyć.

— Przecież, — myślał, — prędzej czy później wszystko to skończyć się musi. Czyż nie dosyć Bóg zesłał klęsk i cierpień? Czyliż nie przerwie się łańcuch, w jaki nas trzej wrogowie zamknęli, gdzie przez tyle dziesiątków lat tryumfował Moskal, Austryjak i Prusak, usiłując zgubić nasz naród. Wiemy jednak od wieków, że największe potęgi padały w kataklizmach dziejowych; a teraz jest wojna! Wiele się zmienić może... My, Polacy, musimy z niej wyjść zwycięsko, gdyż duch patrjotyczny żyje w naszych sercach. Byle tylko można już coś czynić, byle tylko owe zmiany przyspieszyć!

Porwał się z łóżka i nieubrany, począł nerwowo chodzić po pokoju. Gdzieś z głębi pamięci nadpłynęły dawno niesłyszane słowa:

Witaj jutrzenko swobody,
za tobą zbawienia słońce!"

— Kto to powiedział i kiedy?

Kiedyś, gdy był małym chłopcem, z zapałem uczył się „Ody do młodości", a Mickiewicza poprostu ubóstwiał. Z przykrością stwierdził, że pamięta tylko te dwa wiersze. Powtórzył je głośno. To dodało mu otuchy. — Nie możemy tracić nadziei, — myślał dalej! — Ten dzień oczekiwany musi nastać niebawem.

Nie spostrzegł nawet jak skrzypnęły drzwi i stanął w nich kolega Fleszyński.

— Bój się Boga, Rysiek, — zawołał. — Cóż ty najlepszego wyrabiasz! Jest już godzina druga po północy, a ty maszerujesz przy świetle księżyca

i to do tego w bieliźnie. Byłem najpewniejszy, że śpisz już na drugi bok. Szkoda wielka, żeś nie poszedł z nami, byłbyś się choć trochę rozerwał.

Ryszard usiadł na łóżku.

— Nie mogę spać, — powiedział cicho, — jakby się tłumacząc.

— Bardzo żałuję, że zostawiłem cię samego. Trzeba było cię koniecznie namówić.

Zapalono lampę. Ryszard miał wypieki na twarzy i cały dygotał z zimna. Czuł się znużony, jak po ciężkiej, fizycznej pracy. Otulony i okryty, czem tylko się dało, zasnął wreszcie i spał już spokojnie do rana.

Tak przeszła najsmutniejsza wigilja ze wszystkich, jakie w życiu pamiętał.

W parę dni po świętach, przyszedł tak długo oczekiwany list od mecenasa Lednickiego, wzywający Ryszarda do siebie.

Kiedy na drugi dzień, siedział w dobrze sobie znanym gabinecie i gdy spojrzał na twarz życzliwie usposobionego człowieka, nabrał otuchy, że bliska jest chwila, w której los zmieni mu wszystko na lepsze.

— Chciałem panu polecić załatwienie pewnej sprawy — rzekł mecenas. — Pięćdziesiąt stąd kilometrów, leży wielka wieś Grebniewo. Mieszka tam przeszło sto rodzin polskich wygnańców. Ludzie ci pochodzą przeważnie z Kongresówki, zdaje się — z ziemi Podlaskiej. Mają, podobno, dosyć wygodnie

urządzony pobyt, a zamożni miejscowi gospodarze dosyć życzliwie się do nich odnoszą. Potrzeby jednak kulturalne i duchowe nie są zupełnie brane pod uwagę. Najważniejszem niedomaganiem jest brak polskiej szkoły dla dzieci; muszą one uczęszczać do ogólnej szkółki moskiewskiej, co nie jest ani pożyteczne, a tem mniej celowe. Chciałem więc prosić pana, żeby, zanim go uplacujemy na odpowiednie stanowisko w Komitecie, był łaskaw pojechać do Grebniewa i zasięgnąć informacyj, jak się ta cała sprawa przedstawia. Być może, że będzie można posłać tam nauczycielkę, o ile znajdzie się odpowiedni lokal na szkołę. Zajmie to panu kilka dni czasu, gdyż trzeba będzie wszystkie dzieci zarejestrować i za pomocą odpowiednich pogadanek, sprawdzić ich poziom umysłowy. We wszystkich tych czynnościach dopomoże panu doktór Hryniewski, który w Grebniewie prowadzi sanatorjum dla rekonwalescentów. Może pan odrazu do niego zajechać, gdyż sam obiecał wszystko w tej sprawie ułatwić.

— Czy pan mecenas da mi list polecający — i kiedy mam się udać w drogę?

— Dobrzeby było wyjechać pojutrze rano z Moskwy. Należy dojechać koleją do stacji Szczołkowo. Przyjedzie pan tam około godziny dziesiątej, a na dworcu będą na niego czekać sanie, przysłane przez doktora, o którym wspomniałem. Jest to zacny i szlachetny człowiek, chce serdecznie pomóc biednym wygnańcom i jest do nich jak najżyczliwiej usposobiony.

— Zastosuję się do wszystkiego i spełnię jak należy. Po powrocie dam panu prezesowi szczegółowe sprawozdanie.

— Zobaczymy się tam na miejscu osobiście, gdyż również wybieram się do Grebniewa.

Na tem skończyła się audjencja. Ryszard czuł się zadowolony, gdyż wstępował niejako w czynności polskiego komitetu.

Kiedy po dwóch dniach jechał na Moskiewsko-Kurski dworzec, było mroźno i słonecznie.

W Szczołkowie na niewielkiej stacji, o drewnianym, parterowym budynku w koszarowym stylu, panował ruch dosyć ożywiony, jak zresztą na wszystkich stacjach w centralnych gubernjach, dość dobrze uprzemysłowionych i handlowych, gdzie każdą wieś zamieszkuje wielu rękodzielników.

Okolice Szczołkowa, zamieszkałe były przeważnie przez tkaczy, którzy na swych własnych warsztatach wykonywali naogół dość precyzyjne tkaniny.

Z drugiej strony stacyjnego budynku stało kilkadziesiąt sań różnorodnego kształtu. Niektóre zaprzężone w pojedynkę, inne w trójkę, a wszystkie zaopatrzone całą masą dzwonków, które przy każdym ruchu koni odzywały się dźwięcznie. Woźnice w typowych, fałdowanych w pasie szubach, zachwalali głośno swoje pojazdy.

Ryszard rozglądał się wokoło, chcąc dojrzeć owe prywatne, po niego przysłane sanie. Wtem zbliżył się chłop w olbrzymiej, baraniej czapie, czerwonym, wełnianym na szyi szalu, którego końce sięgały pa-

sa. Rozstawił szeroko nogi, chronione od mrozu przez wielkie, filcowe buciska, i zapytał:

— Wy Barin, do Grebniewa?

Zbliżyli się do zgrabnych, granatowych sanek, zaprzęgniętych w wypasionego gniadosza. Woźnica, usadowiwszy Ryszarda, otulił mu troskliwie nogi kożuchem, skoczył na kozioł i krzyknął na konia, który ochoczo ruszył z miejsca.

Gdy wyjechali w szczere pole, mróz zaczął dokuczać Ryszardowi, gdyż niewielki kołnierz bekieszy nie mógł go szczelnie osłonić.

— Jak daleko do Grebniewa i czy długo będziemy jechać? — spytał woźnicy.

— Piętnaście wiorst, Barin. Za pół godziny będziemy na miejscu. Hej, Waśka! — krzyknął na konia, — a gdy ten zaczął prychać, zawołał: „zdorowo, małyj!"

Ryszarda zastanowił ten oryginalny djalog, więc spytał:

— Jak widzę, nie używacie bata?

— Nie, panie, jemu starczy dobre słowo.

— I nawet nie macie bicza na postrach?

— Nie trzeba; on wszystko, co mówię, rozumie. Latem, jak dokuczają mu muchy, mam koło lejc skórzany troczek, lecz w zimie i to niepotrzebne.

Tu woźnica znów zwrócił się do Waśki i coś mu długo tłumaczył o owsie i domu.

Ryszard tymczasem oglądał okolicę, zasypaną śniegiem.

Przejeżdżali właśnie przez sosnowy lasek; zielone kiściaste gałęzie uginały się pod ciężarem śniegu, a promienie słońca skrzyły się na nich miljonem gwiazd.

Pomimo dokuczliwego zimna, świat wydawał się Ryszardowi piękny.

Niedługo ujrzał widniejące zdala, otulone śniegiem osiedle, rozłożone zacisznie u stóp wzgórza. Na niem stał dwór, okolony wysokim, murowanym parkanem. Olbrzymią wjazdową bramę podpierały dwie wielkie kolumny. Między niemi umieszczono okazałą płaskorzeźbę, wyobrażającą 3 orły w koronach, z flagami nad nimi. Zapytał więc woźnicę:

— Jak się nazywa ta miejscowość?

— To jest właśnie Grebniewo.

— A skąd się wzięły orły nad wjazdową bramą?

— A to, Barin, pamiątka po Napoleonie, który tu mieszkał przez kilka miesięcy, jak szedł pod Moskwę. W ciągu tego czasu poprzerabiał co tylko mógł we dworze na swój ład.

— A czy Grebniewo — to miasteczko, i ile ma mieszkańców?

— Nie,to jest sioło, a ludzi w niem mieszka około 5 tysięcy. U pana doktora w sanatorjum też często bywa do pięciuset osób. Teraz w zimie jest więcej, niż trzysta.

Wjechali w olbrzymi dziedziniec, pośrodku którego rysował się zawiany śniegiem klomb, a poza nim wznosił się renesansowy, trzypiętrowy budynek, z przylegającemi z dwu stron oficynami. Wszystko

ło malowane na kolor perłowy, przypominało do złudzenia pałac wersalski.

Wielkopańska ta siedziba przywodziła na pamięć czasy feodalne.

Za pałacem wznosiły się wysokie, osypane śniegiem drzewa, obok zaś podjazdu rosły kępami obecnie nagie krzewy; na wiosnę jednak musiały pięknie rozkwitać.

W holu stał portjer, który wskazał Ryszardowi szatnię, poczem powiódł go na pierwsze piętro, gdzie mieściła się kancelarja doktora Hryniewskiego.

Oboje doktorostwo serdecznie przyjęli Ryszarda; wskazano mu obszerny, elegancko umeblowany pokój, a o drugiej poproszono do sali na obiad. Tu poznał kilkanaście osób z polskiego towarzystwa, a pomiędzy nimi dwóch młodych sympatycznych księży, pochodzących z Królestwa.

Poza temi inni pensjonarjusze byli to przeważnie Rosjanie, częściowo zaś Gruzini, kilku Francuzów i Francuzek, paru Anglików i Szwedów.

Utrzymanie w pensjonacie nie przypominało w niczem, że to czas wojenny; pięć razy w ciągu dnia dawano posiłki. Dzień rozpoczynał się od 8-ej rano i trwał do wpół do dwunastej. Czas między jednem jedzeniem a drugiem urozmaicano najróżnorodniejszemi sportami, jako to: narty, łyżwy, spacery i rozmaite zabawy na świeżem powietrzu. Po obiedzie pozostawano w salonach; fortepian, gra w karty, czy loteryjkę, a po kolacji tańce — oto był obraz tamtejszego życia.

Towarzystwo zebrało się przemiłe, a wszyscy inteligenci. Rolę gospodarzy bez zarzutu grali oboje doktorostwo i ich asystentka lekarka, stale tu urzędująca.

Ryszard odrazu poczuł się innym człowiekiem: roześmiani beztrosko ludzie, wykwint, balsamiczne powietrze i doskonałe życie, — wszystko to odrazu wpłynęło kojąco na jego samopoczucie. Nie zapomniał jednakże, w jakim celu tutaj przyjechał i na drugi dzień, gdy tylko spotkał doktora Hryniewskiego, zapytał.

— Kiedy będę mógł prosić pana doktora o wskazówki, tyczące się mej misji odnośnie naszych mieszkańców, znajdujących się tutaj w Grebniewie?

— Na to mamy jeszcze dość czasu. Za kilka dni przyjeżdża pan Lednicki na odpoczynek, a wówczas dopiero o tem pogadamy.

— A czy tymczasem nie można byłoby się z nimi zobaczyć i nieco zapoznać?

— Narazie jest to niemożliwe, gdyż najpierw muszę porozumieć się z tutejszym starostą, który jest ich urzędowym opiekunem.

Niech pan sobie tymczasem odpoczywa. Słyszałem, że podobno przechodził pan ciężką chorobę. Proszę korzystać z okazji, aby odreparować zdrowie.

W kilka dni mecenas Lednicki przyjechał do sanatorjum na odpoczynek. Wkrótce się okazało, że wysłanie Ryszarda do Grebniewa było tylko wybiegiem. Poprostu mecenas chciał mu w ten sposób do-

pomóc, aby mógł dojść do zupełnego zdrowia. Trudno było nie przyjąć tak serdecznie wyciągniętej z pomocą ręki, — Ryszard więc pozostał w pensjonacie w ciągu paru tygodni.

Kilkakrotnie odwiedzał miejscowych wygnańców, którym tutaj powodziło się znacznie lepiej, niż w innych miejscowościach.

Gdy wrócił do Moskwy, czuł się odrodzony moralnie i fizycznie.

Rozdział VI.

ORGANIZACJE POLSKIE W MOSKWIE.

Podczas swej bytności w Grebniewie Ryszard dowiedział się, że w Moskwie jeszcze na wiele lat przed wojną zorganizowało się Polskie Towarzystwo Dobroczynności, które miało na celu niesienie pomocy Polakom, znajdującym się w dużej ilości na bruku moskiewskim i często w bardzo krytycznem położeniu. Towarzystwo nietylko przychodziło im z pomocą materjalną, lecz starało się wyrywać zdolniejsze jednostki ze skrajnej nędzy i dawało im możność zarobku w rzemiośle, czy handlu. Zdarzało się, że niejeden z wyratowanych dorabiał się potem wcale niezłej fortuny.

Na czele całej organizacji stał Aleksander Lednicki, który jako prezes, we wszystkich poczynaniach brał czynny udział.

Zczasem z Towarzystwa tego wyłoniły się inne stowarzyszenia polskie, jak „Sokół", „Dom Polski", „Lutnia", a wszystkie o wysokim poziomie kultural-

nym i pracujące wydatnie, by pomóc kolonji polskiej na obczyźnie.

W roku 1914-ym, po wybuchu wojny światowej, zastępy Polaków, jako emigrantów i wygnańców z zajętych przez wojnę terytorjów, zaczęły się zwiększać. Towarzystwo miało wielkie zadanie, któremu trudno było sprostać; cały aparat nawet technicznie nie był przygotowany do tak wielkich świadczeń i — mimo wielkiej ofiarności ze strony członków, brak było odpowiednich funduszów, jakich wymagała nawet doraźna pomoc dla zgłaszających się. Zdarzało się, że do drzwi instytucji pukało dziennie po kilkaset osób.

Aby więc zasilić kasę, opodatkowano ponownie Polaków, którzy oddawna mieszkali w Moskwie, gdyż normalne składki członków były zbyt szczupłe. Ponieważ zaś dawniej osiadła w Moskwie polska inteligencja, byli to przeważnie ludzie na dobrych stanowiskach, a przytem ofiarni, serdecznie odczuwający niedolę wygnańców, opodatkowano się chętnie, mniejwięcej od 10-u do 100-u rubli na miesiąc, co w owych czasach stanowiło dosyć pokaźną sumę.

W roku zaś 1915-ym, kiedy coraz większy był napływ Polaków, tak że i te sumy nie mogły wystarczyć, prezes Lednicki, dzięki swym stosunkom i umiejętnym staraniom, otrzymał od rządu rosyjskiego pomoc materjalną, a z dawnego Towarzystwa Dobroczynności wyłonił się „Polski Komitet Pomocy ofiarom wojny".

Ryszarda niezmiernie interesowała cała ta akcja. Zawsze ciągnęło go coś nieprzeparcie do pracy społecznej, pragnął więc zasięgnąć jak najbardziej szczegółowych wiadomości, w jaki sposób skromne narazie Towarzystwo rozrosło się w olbrzymią i wydajną instytucję. Pewnego więc dnia zagadnął doktora Hryniewskiego:

— Panie doktorze, pragnąłbym zapoznać się z historją powstania Polskiego Komitetu. Jest to niezmiernie ciekawe i pouczające, w jaki sposób i czyim wysiłkiem zdolna jest powstać podobnie wydajna i olbrzymia placówka.

— W tej sprawie najlepiej pana poinformują najbardziej czynni członkowie instytucji, choćby inżynierowie Henryk Gałecki, lub Bronisław Okulicz.

— Czy ci panowie mieszkają w Moskwie?

— Tak. Mają biuro techniczne na ulicy Miaśnickiej.

Wróciwszy do Moskwy, zgłosił się Ryszard pewnego dnia pod wskazanym adresem, gdzie zastał obydwóch panów, o których mu chodziło.

Gdy przedstawił, z czem przychodzi, inżynier Okulicz, niedowierzający swym ziomkom, zwłaszcza jeśli pochodzili z Królestwa rzekł:

— Jakie są przyczyny zainteresowania się pana naszem Towarzystwem?

Wtedy Ryszard wyjaśnił, iż jest wygnańcem z Warszawy i bardzo interesuje się tutejszą kolonją polską i akcją społeczną w stosunku do niej podjętą.

— Wracam właśnie z Grebniewa, dodał, gdzie doktór Hryniewski polecił mi w tej sprawie zwrócić się do pana. Mam pewną słabość do pióra i dlatego też prowadzę dziennik, notując w nim specjalnie to wszystko, co kiedyś może posłużyć do historji naszego tułactwa.

— To znaczy, że pan chce o tem pisać, czy też zdawać komuś raport — odezwał się inżynier Okulicz.

— Nie panie; narazie chowam skrzętnie wszelkie notatki. Kiedyś zato w przyszłości może Pan Bóg pozwoli mi zrobić z tego jaki użytek. Napewno jednak nie będzie to nic złego.

Do rozmowy wtrącił się inżynier Gałecki:

— Sądzę, że nic nie stoi na przeszkodzie, by panu Wąwolnickiemu udzielić informacji jakich sobie życzy. Dzisiaj właśnie mam nieco więcej czasu i mogę spełnić jego prośbę.

Wąwolnicki opowiedział obydwum panom o tem, ile mu dobrego zrobił mecenas Lednicki, nadmienił przytem, że mając obecnie czas nie zajęty pracą zawodową, chce uzupełnić notatki, które go tak bardzo obchodzą.

Kiedy po chwili inżynier Okulicz, pożegnawszy się, wyszedł, obaj panowie zasiedli przy biurku i inżynier Gałecki spytał:

— Nie wiem co najbardziej interesuje szanownego pana. Może lepiej będzie, jeśli odpowiem na jego pytania.

— Pozwoli więc pan zapytać, kiedy powstały owe polskie organizacje i czy rząd rosyjski chętnie na nie pozwolił?

— Przed rokiem 1905 mogły tu w Rosji egzystować stowarzyszenia polskie, mające wyłącznie charakter dobroczynny, lub klubowy. Zawiązały się więc w Moskwie dwa stowarzyszenia: „Rzymsko-Katolickie Towarzystwo Dobroczynności", obsługujące nietylko Polaków, lecz również katolików innej narodowości, z wyjątkiem Francuzów i Belgijczyków, którzy mają swoje w tym zakresie organizacje. Prezesem tej instytucji był, jak panu wiadomo, mecenas Aleksander Lednicki. Drugie stowarzyszenie powstało pod nazwą: „Lutnia". Ma ono charakter ściśle towarzyski. Prezesem „Lutni" przed wojną był Józef Chohedlingier i A. Kolnarski, w czasie zaś wojny światowej książę Maciej Radziwiłł.

Po rewolucji zaś rosyjskiej, t. j. po roku 1905 mogły powstawać stowarzyszenia kulturalno - oświatowe, zawodowe i inne, więc też był założony w 1907 „Dom Polski", który miał za zadanie łączyć wszystkie warstwy społeczeństwa Polskiego, zamieszkałego w Moskwie i jej okolicach, a przedewszystkiem podniesienie kultury niższych warstw. Zarząd „Domu Polskiego" był wybrany z ludzi nietylko ofiarnych, lecz nieszczędzących swego czasu i pracy, a stojących przytem na wysokim poziomie wiedzy kulturalnej i ducha patrjotycznego. W „Domu" tym były stale urządzane odczyty, obchody narodowe, pogadanki, koncerty, przedstawienia amatorskie, wieczo-

rynki towarzyskie, zwane „perkalikowemi", wycieczki, majówki i inne imprezy o charakterze demokratycznym, mającym na celu połączenie rozmaitych stron, zamieszkałych przez Polaków.

— A któż stał na czele „Domu Polskiego", spytał Wąwolnicki, i kto przyjmował aktywny udział w tak rozległej pracy?

— Początkowo po założeniu „Domu Polskiego" był prezesem Wacław Purski, jeden z najpracowitszych i najruchliwszych członków naszej organizacji. Potem, w trakcie wojny, wobec objęcia przez pana Purskiego w Komitecie Polskim stanowiska przewodniczącego komisji finansowej, czyli skarbnika, co zabierało mu bardzo dużo czasu i nie dało możności zajmować się „Domem Polskim", na prezesa tegoż domu został wybrany Ludwik Darowski, który obecnie pełni obowiązki w Komitecie Polskim i przewodniczy oddziałem, oddanym sprawom Polaków obcopoddanych, to znaczy jeńców, lub tych, którzy przybyli z zaboru pruskiego i austryjackiego.

Sekcje „Domu Polskiego", jak oświatowa i inne były oddane pod kierownictwo odpowiednich członków specjalistów; a więc niejaki Wojciech Świętosławski zarządza wyższemi kursami o charakterze uniwersyteckim, na które dosyć dużo uczęszcza młodzieży.

Sekcję dramatyczną z dobrymi amatorami i doskonałym wynikiem, pracowicie prowadzi Leonard Wolski. Sekcję koncertowo - muzyczną powierzono doktorowi Stefanowi Horoszewskiemu, a oddział ze-

brań towarzyskich — pani Hryniewieckiej. Dział najważniejszy, bo kulturalno - oświatowy, oddano Juljanowi Klukowskiemu. Ma on za zadanie organizowanie prelekcji i odczytów, jak również wszelkiego rodzaju pogadanek o charakterze historyczno-społecznym, lub wogóle naukowym.

W każdej sekcji pracuje odpowiednia ilość członków, a ich owocna praca, daje znakomite rezultaty.

Niezależnie od „Domu Polskiego" powstał pod przewodnictwem pani Marji Lednickiej „Związek Pań", o charakterze towarzysko - społecznym. Prócz powyżej wymienionych, istnieje sekcja Techników, zasługująca z tego względu na uwagę, gdyż łączy ona Polaków inżynierów i techników, pracujących w obrębie przemysłowego okręgu moskiewskiego, tworząc z siebie autonomiczną organizację na tym terenie.

Z tej to właśnie sekcji w 1917 roku wyłonił się samodzielny „Związek Techników Polaków w Rosji", który w tymże 1917 roku w miesiącu wrześniu, na ogólnym zjeździe Polaków - techników w Moskwie z całej Rosji, zgromadził kilkaset osób. Przewodniczącym sekcji Techników był Artur Scheunert.

Następnie w 1907 roku zawiązało się stowarzyszenie gimnastyczne „Sokół", do którego podczas wojny światowej, licząc z hufcami harcerzy, należało około 700 osób obojga płci. Komendantem „Sokoła" był inżynier Kazimierz Wejchert. Stowarzyszenie to miało na celu wyrabianie hartu ducha i ciała i zapobiegało wynaradawianiu się.

Należy jeszcze wymienić organizację „Bratniej Pomocy", zrzeszającej w Moskwie Polaków — studentów wyższych zakładów naukowych.

Wszystkie te sekcje i stowarzyszenia powstały samoistnie po 1905 roku i zbierały się w gmachu Bibljoteki Polskiej, ufundowanej przy Towarzystwie Dobroczynności, z zapisu ś. p. jenerała Alfonsa Szaniawskiego*).

— Uprzejmie panu inżynierowi dziękuję za tak cenne informacje, — rzekł Ryszard — chciałem się jednak jeszcze coś dowiedzieć o powstaniu Komitetu Polskiego Pomocy Ofiarom Wojny. Interesuje mnie niepomiernie zakres jego pracy.

— Jest to placówka, która się wyłoniła na terenie Towarzystwa Dobroczynności, przy udziale innych stowarzyszeń polskich.

Kiedy w sierpniu 1915 roku Niemcy zajęli terytorjum Kongresówki, olbrzymie rzesze Polaków napłynęły do Rosji centralnej. Duży ich odsetek znalazł się w Moskwie. Pozatem nadsyłano tutaj transporty Polaków — jeńców, zabieranych na różnorodnych frontach, więźniów politycznych, oraz rannych. Wtedy to Moskwa stała się po raz pierwszy terenem, na którym zgromadziło się tak wielu Polaków ze wszystkich trzech zaborów. Najczęściej znajdowali się

*) Ś. p. jenerał Szaniawski, Polak, jeszcze przed wojną znany był na bruku moskiewskim, jako ofiarodawca, który oprócz bibljoteki ufundował uniwersytet ludowy z wykładami w rozmaitych językach. Na gmachu zaś bibljoteki polecił umieścić napis: „Wiedza — to potęga".

w skrajnej nędzy materjalnej, przybici cierpieniami fizycznemi i moralnemi. Wówczas to, dzięki staraniom członków kolonji polskiej, udało się usankcjonować u rządu rosyjskiego „Polski Komitet" w Moskwie. Powstał on, jak nadmieniałem, w roku 1915-ym i uzyskał subsydja rządowe. W owym czasie liczba osób, zgłaszających się o pomoc do Komitetu dosięgła 200 tysięcy.

— Czy otrzymali oni pomoc doraźną, czy też stałą opiekę?

— Zdarzało się bardzo rzadko, żeby to była pomoc doraźna; w tym chyba wypadku, jeśli zgłaszający znajdował się w Moskwie przejazdem, poszukując przypuśćmy zaginionej rodziny. Przeważnie jednak udzielano pomocy stałej, pod postacią mieszkania, utrzymania, czy wreszcie stałej pracy. Jeśli chodzi o dzieci wychodźców, umieszczano je w szkole, lub oddawano do burs, czy warsztatów, wreszcie maleńkie kierowano do ochron. Chorych umieszczano w szpitalach.

— I temu wszystkiemu Komitet Polski podołał?— spytał Ryszard ze zdziwieniem.

— O tak, zagospodarowaliśmy się tutaj dość dobrze, mamy całe osady i kolonje; robimy wszystko co można, aby tylko ulżyć naszym ziomkom w niedoli, — rzekł inżynier Gałecki, z odcieniem dumy w głosie. — Jeśli szczegóły interesują pana, mogę mu niemi służyć. A więc zarząd Komitetu podzielono na 25 wydziałów, z których każdy zajmuje się odrębnemi sprawami.

— A czy na czele wydziałów stoją dawni członkowie organizacji polskiej, czy nowozaangażowani z pośród przybyłych tu wygnańców?

— Połowę stanowisk w Komitecie Polskim zajmują przeważnie oddawna osiedli tutaj Polacy, należący przedtem do Towarzystwa Dobroczynności. Tłumaczy się to tem, iż są to przeważnie ludzie materjalnie dobrze sytuowani, mogą więc pracować honorowo, a w większości wypadków wspomagać Towarzystwo wysokiemi składkami. Ponieważ jednak organizacja nasza zatacza coraz szersze kręgi, zmuszeni byliśmy niektóre stanowiska obsadzić siłami fachowemi, wybierając je z pośród licznych wygnańców. Pomocniczy personel został również zaangażowany z tego samego źródła. W ten sposób kilkaset osób otrzymało pracę dość dobrze płatną i to do tego, zajęci w polskich instytucjach, nie czują się tak zdala od Ojczyzny.

— Czy nie byłby pan łaskaw podyktować mi nazwiska tych osób, które zajmują w Komitecie wybitniejsze stanowiska i pracą swoją zasługują na powszechne uznanie?

— Z największą chęcią, tembardziej, że są to naogół ludzie nastawieni do sprawy bardzo społecznie i z całem oddaniem. A więc na czele Głównego Zarządu Komitetu stoi znany ze swej wielkiej ofiarności i pracy, prezes, Aleksander Lednicki, wiceprezesem jest ogólnie poważany tu p. Józef Ewert, skarbnikiem i przewodniczącym Wydziału Finansowego— Wacław Purski; po całych dniach przesiaduje on

w biurze Komitetu, nie szczędząc często własnej gotówki, jeśli zachodzi tego potrzeba. Na sekretarza naznaczono długoletniego członka Towarzystwa Dobroczynności adwokata Antoniego Bellier. Inne sekcje są obsadzone w następujący sposób: Szkolna — Wacław Liebert; Szpitalnictwa — inżynier Franciszek Kontrym i doktór Gryszkiewicz; informacyjno-rejestracyjny — ja właśnie prowadzę przy pomocy inżyniera - architekta Teofila Wiśniowskiego; następnie Wydział Kolonji Polskich — inżynier Bronisław Okulicz; inwalidów — Antoni Majzel i główna opiekunka, Elżbieta Kiewnarska; dział schronisk — Marjan Raczyński; Sekcja Zapomóg (pomoc doraźna) — Marja Byszewska; Opieka Nad Więźniami Politycznemi — Bronisława Wyszkowska; Opieka Nad Polakami — Obcopoddanymi — Ludwik Darowski; Wydział Ochron — baron Zdzisław Hejdel z pomocą zasłużonych współpracowniczek, z pomiędzy których wielce zasłużyła się siostra Rychlińska, zarządzająca ochroną dla starszych inteligentnych dziewcząt, zagnanych tu zawieruchą wojenną. Jeńców i Rannych — Juljan Klukowski i Elżbieta Hułanicka; ogólną opiekę nad Schroniskami Miejskiemi ma w swej pieczy Janina Podgórska (obecnie p. Jurkiewiczowa); taniemi kuchniami zarządza —Witold Gliński i Małgorzata Gałecka; wydział opieki nad zabytkami porwadzi doktór Marjan Morelowski; rejestracją wywiezionych z Kongresówki dzwonów zajmuje się ksiądz Zyskar; wreszcie opiekunką Polaków, administracyjnie zesłanych, którzy nie mają

prawa zamieszkiwania w Moskwie, jest inżynierowa Cywińska, a przewodniczącym Komisji Rewizyjnej— Hilary Nakonieczny, jeden z najstarszych członków Komitetu. Wymieniłem panu tych najważniejszych, nie można jednak pominąć takich nazwisk, jak pani Bronisławowa Okuliczowa, dr. Hryniewski, Bolesław Karczewski i wielu, wielu innych.

— Wnoszę z tego, co słyszę, że jest to precyzyjnie zorganizowany cały departament, rzekł Ryszard.

— Najlepszym dowodem uznania naszej pracy jest projekt zorganizowania zjazdu przedstawicieli wszystkich organizacji polskich.

— Chciałbym się jeszcze dowiedzieć, jak się przedstawia sprawa kolonji, schronisk, domów wychowawczych i t. p. instytucji.

— Co się tyczy schronisk, mamy ich kilkanaście, a mieszczą one kilka tysięcy wygnańców. W Marynie — Roszczy jest kilka ochronek dla dzieci i doskonale prowadzony dziecięcy szpital chirurgiczny. Wspanialej jednak się przedstawia kolonja Komitetu polskiego, założona w Izmałowskim zwierzyńcu, w odległości 18-u wiorst od Moskwy, tam bowiem w miejscowości letniskowej w eleganckich willach, położonych wśród lasu, urządzono całe siedlisko dla naszych wychodźców, a więc: ochronki dla 700 dzieci i żłobki dla niemowląt; warsztaty: kowalski, stolarski, stelmarski, szewski, krawiecki i introligatorski dla stu chłopców, — przytułek dla Polaków — inwalidów, których ilość dochodzi obecnie do 200-u osób. Pozatem mamy tam szkołę początkową dla 100

dzieci w wieku szkolnym, szpital dla chorych na 80 łóżek, szpitalik dla dzieci, chorych na trachomę, dwuch stałych lekarzy i aptekę, pozatem schronisko, mogące pomieścić przeszło 4000 osób. Obecnie znalazło tam przytułek 3000 wygnańców Polaków z Kongresówki i Litwy i tysiąc Białorusinów, przeważnie z powiatu Wołkowyskiego i dalszego Polesia. Na czele tego odziału stoi zarządzający, człowiek sprężysty, pracowity i uczciwy. Prowadzi on gospodarstwo, złożone z 50-ciu krów, które dostarczają mleka dla dzieci i chorych, — 25-u koni, potrzebnych do pracy w obrębie całego gospodarstwa — i nieco ziemi ornej. Kolonja jest doskonale zaaprowizowana i świetnie prowadzona, daje więc wszelkie możliwe udogodnienia zamieszkałym tam wygnańcom. Do całości urządzono prymitywny, lecz bardzo miły kościołek, obsługiwany przez księdza Buczysa, a potem, gdy został on powołany na katedrę profesorską do Piotrogrodu — przez księdza Władysława Frąckiewicza, wywiezionego przez rząd rosyjski z Kongresówki. Kościołek ten jest tak miły, że często odwiedzają go Polacy, mieszkający w Moskwie. Ponieważ wiele osób odwiedza wygnańców, a ci pracują najczęściej w Moskwie, aby więc udogodnić komunikację, puszczono w ruch między Izmałowskim zwierzyńcem, a stolicą konną karetkę, coś w rodzaju omnibusu. Kursuje on w pewnych określonych godzinach ze Zwierzyńca do rogatki Siemionowskiej, skąd dalej można już jechać tramwajem. Zadziwiający jest przytem ład i porządek, jaki spotyka się tam.

— Otuchą napełnia mnie to wszystko, co usłyszałem. Myślę, że Pan Bóg pozwoli nam kiedyś doczekać chwili, kiedy spotkamy się w wolnej Ojczyźnie i tam będziemy mogli wspólnie dla Niej pracować, rzekł Ryszard.

Nie przypuszczali obydwaj, że ich życzenia mają się już niedługo ucieleśnić.

Odbiegając od akcji powieści, należy tu niektóre dane uzupełnić.

Zamierzony zjazd delegatów polskich instytucji w Rosji odbył się rzeczywiście, nosząc miano: „Rada Zjazdu polskich Organizacji w Rosji". Zjednoczył on w pracy Polaków i pozwolił im wytyczyć kierunek prac zmierzających do udoskonalenia głównej opieki nad wygnańcami, ich majątkami i wszelkiemi zabytkami, wywiezionemi przez rząd rosyjski z Kongresówki. Prócz cennych zabytków, miano w opiece wszelki inwentarz, zakupiony tu dla potrzeb wygnańców, nieraz w stanie luksusowym, jak np. wszelkie untensylja i narzędzia szpitalne, cenne rekwizyty i dekoracje teatralne, które nabyto i zrobiono pod nadzorem dyrektora Szyfmana i artystów: Stabrowskiego i Drabika. Skolekcjonowano nawet w Wydziale informacyjnym wszelkie pisma i wydawnictwa, traktujące o wojnie i wygnańcach polskich, jakie wydawano w tym czasie na terenie Rosji i Mocarstw Europejskich. Zarejestrowano i złożono w Kursku 12.000 dzwonów kościelnych.

wywiezionych z Polski. Miały one wrócić kiedyś do wolnej Ojczyzny, lecz sprzeciwili się temu bolszewicy.

Zjazd ten był reprezentowany przez znanych ówczesnych działaczy polskich, znajdujących się wówczas na terytorjum Rosji, a stojących na czele wszelkich zrzeszeń i organizacyj polskich. Centralny więc Komitet Obywatelski reprezentowali: Władysław Grabski, Jerzy Zdziechowski i ś. p. Marjan Lutosławski*). W imieniu obwodu Pietrogradzkiego—generał Aleksander Babiański, Władysław Szczerba-Rawicz i ś. p. ksiądz prałat Konstanty Butkiewicz**).

Od Moskiewskiego Komitetu Polskiego i Towarzystwa Dobroczynności — Ludwik Darowski, Wacław Purski i Kazimierz Wejchert. Na ogólnym zjeździe przewodniczył mecenas Aleksander Lednicki.

Dla całokształtu należy nadmienić, jak szeroki zakres działania miał Komitet Polski w Moskwie. Wiedzą o tem ci, którzy korzystali z jego dobrodziejstw i w najcięższej chwili otrzymywali obfitą pomoc, zarówno materjalną jak i moralną. Zresztą przytoczone sumy, jaką operowano gotówką, mówią same za siebie.

Otrzymano gotówką od Mnisterstwa Spraw Wewnętrznych 5,761,884 rb., od Tatjanowskiego Komitetu 3,745,808 rb., z opodatkowania się członków Komitetu i zebranych ofiar (fundusz własny) 836,691

*) W 1918 roku rozstrzelany przez Bolszewików.

*) W 1923 roku stracony przez Bolszewików.

rb., od rozmaitych organizacyj rosyjskich, za wpisy w szkołach i utrzymanie w bursach, wpłynęło — 4,435,906 rb., na potrzeby więc Komitetu w zakresie wszekich świadczeń, wydano razem 14,780,289 rb.

Zaznaczyć należy, że ruble liczono w parytecie dolara, czyli mniej więcej około dwóch rubli za jednego dolara. Nic też dziwnego, że z tak olbrzymiego funduszu mogło czerpać zasiłek 250 tysięcy polskich wygnańców.

Wielki ten rozmach tak dobrze zagospodarowanej placówki, zahamowany został w 1917 roku, kiedy to władze bolszewickie objęły rządy w Rosji. Wygnańcy nasi zostali pozbawieni pomocy i zdani na łaskę ciężkiego losu aż do roku 1918, to znaczy do chwili, kiedy nastąpił masowy powrót do Polski.

Najtragiczniej przedstawiała się sprawa małych dzieci, którym rodzice nie mogli dostarczyć odpowiedniej opieki; z powodu zamknięcia ochron pozbawiono maleństwa ciepłej strawy, odzieży, a często dachu nad głową. Wtedy to członkowie rozwiązanego przez bolszewików Komitetu, zdołali ocalić 40 tysięcy rubli i zorganizować skuteczną pomoc. Sprawę oddano obrotnemu i ruchliwemu Kazimierzowi Wejchertowi, który 600 dzieci wywiózł na Krym do Jejska, częściowo do Kijowa. Tam wynajęto odpowiednie pomieszczenia, zakupiono i zmagazynowano prowianty i opał, gdyż zarówno jedno jak i drugie z dnia na dzień drożało.

Gdy wyczerpano fundusze, to szczodry opiekun wyłożył swoją osobistą gotówkę, a poza tem wszczął

akcję przygodnych składek pomiędzy tamtejszymi mieszkańcami, z których najbardziej ofiarni okazali się koloniści niemieccy. Urządzano przytem różnorodne imprezy i przedstawienia, sprzedawano wreszcie dziecięce wyroby rękodzielnicze. Akcja ta sprawiła, iż pożyteczna placówka przetrwała do 28.IX 1918 roku, to znaczy do chwili, gdy pierwszy transport dzieci odesłano do Warszawy. Rada Opiekuńcza rozmieściła je częściowo w Warszawie, bądź w Lublinie, gdzie po nie mogli zgłaszać się rodzice lub krewni.

Inżynierowi Kazimierzowi Wejchertowi, z pochodzenia Poznańczykowi, który pokonał tak trudne zadanie, gdyż kilkaset polskich dzieci wprost utrzymał przy życiu i wrócił je Ojczyźnie, — od całego społeczeństwa polskiego należy się wielkie uznanie.

Rozdział VII.

NIESPODZIEWANY CIOS.

W niedługim czasie Ryszard Wąwolnicki został wezwany do mecenasa Lednickiego i, po daniu mu odpowiedniej instrukcji, naznaczono go na jedno ze stanowisk w Komitecie Polskim. Stanowisko to wymagało wielkiej pracy, taktu i umiłowania swego narodu, który po wygnaniu z rodzinnych pieleszy, przetrwawszy wędrówki i niedostatki, często deprawowany przez moskiewską czarną sotnię i kiełkujący już wówczas komunizm, odnosił się niejednokrotnie do przedstawicieli Komitetu niezbyt życzliwie. Należało mieć duży zasób cierpliwości i współczucia dla tych biednych tułaczy, najczęściej wyzutych z mienia, wygnanych z Ojczyzny, w skrajnej nędzy i bez żadnych widoków na przyszłość. Wąwolnicki jednak potrafił znosić przykrości i zdobyć się na wyrozumiałość, jeśli tego było potrzeba.

Takiem to właśnie postępowaniem umiał zjednać sobie ogólny szacunek i posłuszeństwo u parotysiącz-

nego tłumu, z którym miał do czynienia. Nazywano go „Nasz kochany pan", a Białorusini, zetknąwszy się z jego w stosunku do nich sprawiedliwością, mówili: „Nasz dorogoj batko", co nawet z uznaniem zaaprobował naznaczony im ojciec duchowny, protorej Bielecki, tłumacząc owym biedakom, że Ryszard Wąwolnicki swoją humanitarnością, sprawiedliwością i złotem sercem zupełnie sobie zasłużył na to miano.

Mecenas Lednicki był również z niego zadowolony, gdyż baczną zwracał uwagę, by nikomu, kogo zarejestrowano w podwładnym mu Komitecie, nie działa się żadna krzywda, i aby Broń Boże nie uprawiano na terenie instytucji żadnej polityki, czy to zawodowej, czy religijnej; uważał, że wszyscy wygnańcy są jednakowo nieszczęśliwi i bez względu na narodowość, powinni być traktowani narówni.

Wąwolnicki pracował z poczuciem wewnętrznego zadowolenia, mimo, iż obowiązków miał dużo i do tego bardzo różnorodnych; musiał troszczyć się o należyte zaaprowizowanie 4 tysięcy ludzi, ich potrzeby oświatowe i kulturalne, wreszcie materjalne, polegające na lokowaniu bezrobotnych w fabrykach, czy innych instytucjach i to o ile możności polskich, żeby nie zatracili swej odrębności narodowej. Praca jednak nie nużyła go, gdyż czuł, że wypełnia cząstkę doniosłego posłannictwa i tworzy w ten sposób maleńką, lecz trwałą cegiełkę w podwalinach ukochanej Ojczyzny.

Jedno tylko dręczyło go i nie dawało spokoju: pra-

gnął oto połączyć się jaknajprędzej ze swą żoną, do której tęsknił ogromnie. Stały jednak po temu dwie sprawy na przeszkodzie: jedna, że żona Ryszarda tak była lubiana przez chorych i administrację szpitala w Połtawie, gdzie pracowała, iż nie chciano jej poprostu wypuścić; druga — że przyzwyczajona do pracy, nie mogła pogodzić się z myślą, że pozostanie bez zajęcia, a Ryszard narazie nie mógł się dla niej o inne postarać. Postanowili czekać jeszcze czas jakiś, aż wszystko ułoży się pomyślnie, tembardziej, że Ryszard miał przyrzeczoną odpowiednią dla niej posadę.

Tak minęło niepostrzeżenie kilka miesięcy, pełnych trudu i pracy, aż pewnego dnia otrzymał z Połtawy depeszę, wzywającą go do chorej żony.

Spadło to na niego tak raptownie i przejęło do głębi. Najbliższym pociągiem pospieszył do Połtawy. W drodze niepokój dręczył go do tego stopnia, że nie mogąc w miejscu usiedzieć, przez cały czas chodził po korytarzu. Lęk o życie jedynej mu drogiej osoby i wyrzuty, że był od niej tak zdala, nie dawały mu spokoju.

Gdy przyjechał do Połtawy i udał się do mieszkania, zajmowanego przez żonę, oznajmiono mu, że stan chorej o tyle się pogorszył, iż musiano ją przewieźć do szpitala. Przerażony i niespokojny udał się natychmiast do naczelnego szpitalnego lekarza, doktora Smirnowa, chcąc jaknajprędzej zobaczyć się z chorą.

Tutaj dowiedział się, że stan chorej jest bardzo ciężki.

— Czemuż, zawołał, nie zawiadomiono mnie wcześniej!

— Żona nie chciała pana niepokoić; nie można było przytem narazie postawić djagnozy. Gdy jednak zorjentowałem się, że to tyfus, w tej chwili pana zawiadomiłem. Chora nic o tem nie wie, gdyż jest nieprzytomna. Dziś, lub jutro spodziewamy się przesilenia.

— Ratujcie ją, doktorze! Jest jedynym celem mego życia, jedynym przyjacielem! Gdyby odeszła, nie będę miał dla kogo żyć.

— Drogi panie, — rzekł lekarz, — biorąc go serdecznie za ręce, my ją tu wszyscy kochamy. Była tak niestrudzona na swem stanowisku, wyręczała innych w niesieniu pomocy chorym. Robimy, co w naszej mocy, by ją tylko ratować, tembardziej, że zaraziła się tu u nas, doglądając chorych mimo, iż nie leżało to nawet w sferze jej obowiązków. Lekarz i siostra obecnie u niej dyżurują. Co dwie godziny mam komunikat o stanie jej gorączki.

— Czy teraz jest nieprzytomna?

— Niedawno miała 39,4, więc oczywiście była w malignie. Jak jest w tej chwili, spytam zaraz przez telefon.

Za chwilę ze słuchawką przy uchu powtarzał Ryszardowi to, co mu mówiono:

— Obecnie śpi z przerwami... jest w gorączce... chwilami traci przytomność.

Położył słuchawkę, zmarszczył czoło i zamyślił się.

— Może pan przyjdzie za parę godzin, — rzekł wreszcie. — Przez ten czas może się co zmieni na lepsze.

— Doktorze, — błagał Ryszard, — pozwól mi na nią spojrzeć.

— Dobrze. Wobec tego pójdziemy razem na chwilę, gdyż lepiej nie przerywać jej snu, który zawsze wzmacnia osłabiony organizm.

Idąc mijali obsadzone krzewami podwórze. Pachniało wiosną; słońce, przeświecając przez młode liście kasztanów, słało na trawniki misterne szmaragdowe desenie.

Ryszard szedł machinalnie za doktorem. W oczach miał mrok, nie słyszał świergotu ptaków, pochłonięty myślą o chorej i o tem, jaką ją ujrzy.

Zatrzymali się w długim korytarzu. Doktór Smirnow zapytał młodego lekarza o stan chorej. Rozmawiali półgłosem.

— Nie traćmy nadziei, jeśli serce wytrzyma, wszystko będzie dobrze. Jeszcze kryzys nie minął. Obecnie śpi, wejdziemy do pokoju, lecz dobrzeby było, żeby jej nie zbudzić.

Chora spała. Gdy Ryszard spojrzał na wychudłe, spoczywające na kołdrze ręce, nie miał wrażenia, że należą do niej — do jego żony. Wsuniętej w głąb poduszek twarzy nie mógł dojrzeć; przesłaniał ją worek z lodem, leżący na czole i ciemne pasma rozrzuconych włosów.

Obok na krześle siedziała pielęgniarka; zobaczywszy wchodzących wstała i dała znak palcem, że należy zachować ciszę.

— Co chwila majaczy i gorączka nie spada, — szepnęła do lekarza.

Ryszard zbliżył się do łóżka i stanął, patrząc na swą ukochaną. Jakże się zmieniła.

Teraz dostrzegł rozpalone policzki i zapadnięte głęboko oczy. Nie mógł się z tem pogodzić, że jest tak blisko, a jednak przedzielają go od niej zapory nie do przebycia.

Zatargał nim żal, skurcz chwycił krtań jak w kleszcze. Chora wyczuła widocznie utkwione w siebie oczy, gdyż poczęła majaczyć; poruszała przytem bezładnie dłońmi. Wtedy on nie mógł opanować jęku i łez.

Doktór Smirnow ujął go mocno za ramię i wyprowadził na korytarz.

— Nie możemy jej przeszkadzać — rzekł. — Sen może być dla niej ratunkiem. Najlepiej byłoby, gdyby pan odszedł stąd. Proszę przyjść około piątej po południu; do tej pory wiele się może zmienić na lepsze.

Ryszard błądził po mieście bez celu. Nie wiedział, ile to trwało godzin; nie odczuwał głodu i zmęczenia. Jedna jedyna myśl przesłaniała wszystko: co będzie, jeśli ją utraci. Najbardziej dokuczliwe było poczucie niemocy; kazano mu oto odejść, podczas gdy ona walczyła ze śmiercią. Na nic się zdała w tej chwili głęboka miłość.

Przebiegł pamięcią wszystkie chwile, które spędzili razem. Jakże byli szczęśliwi! Przypomniał sobie, ile przezwyciężyła trudności, zanim została jego żoną. Gdyby nie wojna! Zniszczyła jego szczęście rodzinne, zabrała mienie, a teraz sięgnęła po nią. Czuł w sobie dość siły, by walczyć z przeciwnościami losu, lecz jakże zwyciężyć śmierć?

Chociaż daleko było jeszcze do piątej, zaczął biec szybko w stronę szpitala. Zdawało mu się, że go woła, że potrzebuje jego pomocy.

Kiedy wreszcie znalazł się w pokoju chorej, kiedy spojrzały na niego jej wielkie, zamglone gorączką oczy, otucha wstąpiła mu w serce. Zaco miałby go Bóg karać. Przecież jeszcze wszystko może być dobrze: minie wojna, powrócą do Polski. — Mam dosyć energji — pomyślał, aby zapracować na nas dwoje.

Chora zdawała się uśmiechać. Błyszczące źrenice utkwiła w twarz nachylonego nad nią Ryszarda, usta szeptały coś niewyraźnego. Raptem zaczęła jęczeć niespokojnie i poruszać głową. Doktór i pielęgniarka pochylili się nad chorą. Ryszard czuł się jak intruz; nie umiał pomóc, ni poradzić. Tamci zresztą zdawali się zapomnieć o jego istnieniu.

Usiadł więc z boku i nie mogąc pohamować żalu, zaniósł się spazmatycznym płaczem. W pewnej chwili podszedł do niego doktór i rzekł:

— Musi pan wypocząć i uspokoić się. Dzisiaj jest dzień przełomowy; w jednej chwili może nastąpić poprawa. Radziłbym iść do domu, położyć się trochę.

Ryszard czuł rzeczywiście znużenie. Spojrzał na żonę, spała teraz spokojnie. Zdawać się mogło, że niebezpieczeństwo minęło. Podniósł się więc i wyszedł.

Nie pamiętał, w jaki sposób znalazł się w pokoju, w którym żona jego mieszkała tyle miesięcy. Pełno w nim było drobiazgów, które przypominały dawne dobre lata. Wzrok jego zatrzymał się na fotografji, na której byli oboje uśmiechnięci i szczęśliwi.

— Niemożliwe, aby stało się nieszczęście — pomyślał, kładąc się do łóżka.

Zmęczony drogą, podniecony wrażeniami, spał mocno do rana.

Nazajutrz, gdy o 8-ej zgłosił się do szpitala, doktór Smirnow, wziąwszy go za rękę, powiedział:

— Chora przestała już cierpieć.

— Jakto, doktorze? — zawołał, nierozumiejąc.

— Bóg powołał ją do siebie, — a spostrzegłszy, że Ryszard zachwiał się, ujął go pod rękę i posadził obok siebie.

— Rozumiem pańską boleść — rzekł. — Wszyscyśmy ją tutaj kochali. Była to szlachetna i czysta dusza.

Ryszard milczał. Nie słyszał zresztą, co do niego mówiono. Ani jedno słowo nie docierało do świadomości zdrętwiałego z rozpaczy mózgu.

Rozdział VIII.

RYSZARD PRZY PRACY SPOŁECZNEJ.

Gdy po pogrzebie wrócił do Moskwy, wiosna rozkwitła już w całej pełni.

W miastach centralnej Rosji niema pory przejściowej; w ciągu paru dni palące promienie kwietniowego słońca zdolne są roztopić grubą warstwę śniegu, jaka leży na chodnikach i jezdni. Pierwszy okres owej przemiany jest dla mieszkańców dość przykry, gdyż miasto wygląda jak zalane wodą, która płynąc potokami po ulicach, zmywa doszczętnie ślady zimy. Trwa to jednak na szczęście niezbyt długo, bo gdy spłynie woda i słońce wszystko osuszy, a w ciągu jednej doby zazielenią się drzewa, wprost wierzyć się nie chce, że przełom nastąpił tak szybko i że tak niedawno surowa tu panowała zima.

Lecz Ryszard nie dostrzegł tej zmiany, jak również nigdy potem w życiu nie mógł odtworzyć w pamięci dni, które bezpośrednio nastąpiły po śmierci żony.

Zato wszystkie chwile pogrzebu utrwaliły się w mózgu na długo.

Nieraz potem budził się w nocy, gdyż zdawało mu się, że widzi liczny tłum przyjaciół, idący za trumną, słyszy serdeczne przemówienia i odgłos grudek ziemi, które, padając głucho, wrastały w mogiłę.

Mijały miesiące. Ryszarda pochłonął wir pracy, której się oddał z całą zapamiętałością, jakby pragnąc w niej znaleźć ratunek przed poczuciem samotności i żalu za ukochaną.

Obowiązki na niego włożone nie były łatwe; stykał się z ludźmi, których los zepchnął nietylko w nędzę materjalną, lecz czasem i moralną. Wojna bowiem i przymusowa tułaczka, brak pracy — wszystko to deprawowało ludzi. Wąwolnicki jednak odnosił się do wszystkich serdecznie i z wyrozumiałością; pragnął izolować ich od zepsucia i zgnilizny, a często wyciągnąć z przepaści, co mu się niejednokrotnie udawało.

Nieraz myślał, czy doczeka chwili, kiedy ukończy się wojna. Lecz nie o siebie mu chodziło. Nie czynił żadnych planów na przyszłość i myśl o życiu w zacisznym własnym domu nie miała dlań obecnie żadnego uroku. Bo z kimże miał dzielić radość i uśmiechy? Chodziło mu o tych wszystkich, którzy tułali się, gnani wojną w tęsknocie i nędzy.

Nic jednak nie wróżyło, by koniec wojny mógł się zbliżyć. Z kraju dochodziły skąpe wiadomości, aż wreszcie przyszła wiadomość, że daleko w Szwaj-

carji umarł Henryk Sienkiewicz, pisarz wielki i szlachetny, który wsławił imię Polski w całym świecie.

Polski Komitet w Moskwie uczcił jego pamięć, zakupując żałobne nabożeństwo w kościele przy Milutyńskiej ulicy i urządzając uroczystą akademję w sali politechniki, gdzie zgromadziło się parę tysięcy Polaków. W uroczystości wziął udział świetny zespół śpiewaczy „Harfa" pod dyrekcją znanego kompozytora prof. Lachmana.

W tym samym mniejwięcej czasie zmarł cesarz Franciszek Józef, który rządził Austrją przez długie lata, trzymając zlepek narodów, z jakich się składała, w swem ręku. Rodzina Habsburgów przez wiele lat tuczyła się krzywdą ciemiężonych. Cesarz był dobrym dyplomatą; potrafił zmusić do posłuszeństwa i uległości wielotysięczny tłum swych poddanych. Gdy podczas wojny dokonał żywota, było do przewidzenia, że sztucznie utworzone państwo rozpadnie się przy lada okazji.

Życie wygnańców w Moskwie naogół było bardzo ciężkie. Poza niewielką garstką szczęśliwców, którym udało się wywalczyć sobie niezależny byt, ogół biedował, zdobywając z trudem każdy nieomal kawałek chleba. Ponieważ rząd zmniejszał stopniowo subsydja, dawane instytucjom społecznym, one też musiały zacieśniać dobroczynną dłoń, aby dla wszystkich starczyło. Na tem tle powstawały często nieporozumienia między wychodźcami, a Komitetem. Czy biedny jednak, czy bogaty, szczęśliwy, czy dot-

knięty niedolą — każdy pragnął jednego: powrócić jaknajprędzej do kraju.

Rok 1917 zastał społeczeństwo rosyjskie rozgoryczone i zniecierpliwione długotrwałą wojną. Coraz częstsze pobory do wojska, które powoływały mężczyzn nawet 50-letnich, ciągle przegrywane walki, miljony trupów i kalek, — wszystko to bez rezultatu i końca, straszna wreszcie drożyzna i ogólny brak produktów — sprzyjały budzącej się anarchji. Ludność poprostu cierpiała głód, tembardziej, że wydawano po ćwierć funta chleba za kartkami, co nie wystarczało; brak przytem cukru i innych artykułów pierwszej potrzeby wyprowadzał zrozpaczonych z równowagi.

Wtedy to fala szpiegostwa rozpanoszyła się w całej Rosji i sięgając aż sfer ministerjalnych, deprawowała inteligencję i psuła wzajemne zaufanie.

Na dworze carskim hołdowano fałszywemu misiycyzmowi, ulegając wpływom syberyjskiego koniokrada i analfabety, Gryszki Rasputina; stosunki dworskie podkopywały wiarę w potęgę caratu, odsłaniając bezsilność władzy i złą wolę jego żony, Teutonki. Nienawiść do tronu wzrastała w zatrważającym stopniu, zarówno w sferach inteligencji i wśród proletarjatu. Wreszcie ferment przedostał się do armji, powodując upadek tronu.

Do rządzenia Rosją, tym rozległym krajem blisko 200-miljonowej ludności, znalazło się dużo chętnych, lecz niestety, nie było nikogo, ktoby umiał ująć ster, zwłaszcza w chwili, gdy wojna zdziesiątkowała i zde-

prawowała ludność, wśród której panoszył się głód i analfabetyzm. Nic więc dziwnego, że żaden Kiereński, Korniłow, Denikin i tym podobni nie mogli nic począć i opanować złego.

Społeczeństwo rosyjskie opanowała rządza niszczenia wszystkiego co dawne. Zaczęło się szerzyć bezprawie i chaos.

Kiedy wreszcie Niemcy przesłali w zaplombowanym wagonie dwóch apostołów w postaci Lenina i Trockiego, rozgorzała rewolucja, polała się bratnia krew w całej Rosji. Potem nastąpił nikczemny pokój Brzeski, który poprzedził utrwalenie się na ziemiach Rosji nowej „czerwonej władzy". W ogólnej nienawiści i walce padły tysiące ludzi. Dokonano przytem jednego: uwolniono zmęczony naród od ciężkiej dynastji Romanowych, osławionej takimi satrapami, jak Iwan Groźny, Piotr Wielki, Katarzyna II, Mikołaj I i inni, pod batogami których cierpiały miljony.

Polacy, którzy podczas rewolucji i przewrotu bolszewickiego znaleźli się na ziemiach rosyjskich, poza znikomemi jednostkami, żadnego udziału w rewolucji, ani w związanych z nią sprawach politycznych, nie przyjmowali, starając się tylko o jaknajszybszy powrót do kraju. Lecz tu właśnie natrafili na wielkie przeszkody ze strony ówczesnego bolszewickiego rządu, który pomimo, że nie miał czem aprowizować własnych obywateli, nie zezwalał na wyjazd Polaków, stosując do nich wszelkie najprzykrzejsze rozporządzenia, równające się nieraz cięż-

kim torturom. Nie pomagały protesty, wnoszone do Komitetu, tembardziej, że w skład ich, o ile wchodzili Polacy, byli to zwolennicy nowego bolszewickiego rządu; wyrzekali się oni poprostu swej narodowej przynależności i, jak tylko mogli, prześladowali swych nieszczęśliwych ziomków. Położenie więc wówczas wygnańców było katastrofalne, gdyż Komitet rosyjski, w którym częściej można byłoby spotkać współczucie i serce, odsyłał Polaków do ówczesnego polskiego Komitetu bolszewickiego na Powarską ulicę, gdzie urzędował sławetny komisarz „towariszcz Leszczyński". Tam każdy, kto się opowiedział, że jest Polakiem, tęskni do kraju i prosi o jaknajszybszy powrót, mógł się spodziewać tylko największych przykrości, gdyż poczytywano go za kontrrewolucjonistę. Prawdziwe polskie organizacje, jakie wtedy powstawały, chcąc przyjść z pomocą wygnańcom, trafiały również na sprzeciw i wszelkie wyrafinowane szykany ze strony owego bolszewickiego komitetu. Nic więc dziwnego, że całe rzesze zdezorjentowanych biedaków o głodzie i chłodzie oczekiwały powrotu do Polski.

Gdy wreszcie nastały czasy, kiedy można było wracać do Polski, bolszewicy wysyłali raz na tydzień jeden specjalny pociąg, zapełniony wygnańcami. Jechali wyniszczeni, obdarci, ogołoceni doszczętnie przez władzę bolszewickie. Zabierano im wszystko, cokolwiek miało jakąś pozytywną wartość i nie zważając na mróz, wysyłano w łachmanach, bez chleba na kilkotygodniową podróż. Trwa-

ła ona tak długo, ponieważ odbywała się etapami. Pociąg zwykle dochodził tylko do Smoleńska, a tam inny komitet bolszewicki na nowo znęcał się nad bezbronnymi, i dopiero po kilku tygodniach wysyłał ich do Orszy, gdzie była granica niemieckiej okupacji. Nie na tem jednak koniec; straszna rozpacz ogarniała nieszczęśliwych, gdyż Niemcy czynili ogromne wstręty. Bardzo trudno było i tu uzyskać zezwolenie na przejazd przez granicę. To właśnie spowodowało, że kilka tysięcy ludzi obozowało na gołych polach, budując sobie rozmaite lepianki z chróstu, lub kopiąc jamy w ziemi. Aż choroby i mór — nieodstępni towarzysze niedoli — zmuszały biedaków do urządzenia około tego obozowiska cmentarza, który i dzisiaj z paruset mogiłami tam się znajduje, jako milczący świadek naszej krzyżowej drogi.

Kiedy bolszewicy rozwiązali Polski Komitet w Moskwie, wygnańcy, którzy nie mieli żadnych zasobów materjalnych i pracy zarobkowej, żyli w ogromnej nędzy, zdani na łaskę losu. Drożyzna wzrastała z dnia na dzień; funt razowego chleba, o ile go można było dostać, kosztował 25 rubli. Żytniego nie wypiekano. Ludzie rozmaitemi namiastkami usiłowali zaspokoić głód; dochodziło do tego, że jedli gotowane łupiny od kartofli. Wystarczyło, chodząc po ulicach, przyjrzeć się uważnie przechodniom: zapadnięte policzki, wgłębione gdzieś pod czaszką oczy, wychudłe sylwetki mówiły, jaki tryb życia prowadzą ci ludzie. Trzymiljonowe miasto, po kilku miesiącach panowa-

nia „apostołów", obiecujących, iż nadejdzie dzień wyzwolenia i dobrobytu, — wyglądało jak po przejściu kataklizmu.

Ludzie bali się własnego cienia. Każdy szedł ulicą, opuściwszy wzrok ku ziemi. Rozmowy w miejscach publicznych prowadzono najczęściej szeptem, oglądając się na wszystkie strony; obawiano się szpiegów, którzy czychali na każdym kroku, by tępić kontrrewolucjonistów.

Po zwinięciu Polskiego Komitetu w Moskwie, Ryszard utracił zajmowane tam stanowisko. Dzięki jednak swej sprężystości i zamiłowaniu do pracy, oraz stosunkom, jakie go łączyły z członkami dawnego Komitetu, udało mu się otrzymać zajęcie w jednej z największych fabryk amerykańskich, znajdujących się pod Moskwą. Praca na nowem stanowisku była trudna i odpowiedzialna, lecz zabezpieczała od głodu i nędzy. W związku z posadą, którą zajmował, musiał przenieść się 50 kilometrów poza Moskwę; często jednak odwiedzał stolicę.

Pewnego razu, gdy przyjechał do Moskwy i przechodził przez Łubiankę, spostrzegł na trotuarze panią w grubej żałobie; zwróciła jego uwagę, gdyż ruchy i cała postać przypominały mu kogoś znajomego. Gdy mijając ją, przyjrzał się wymizerowanej, pożółkłej twarzy, poznał pułkownikową Nadieżdę Korsakową, którą kiedyś z Małkini przywiózł do Mińska. Przystanął więc na chodniku i niepewny, czy się nie myli, uchylił kapelusza.

— Czyż to byłaby ona? — pomyślał. — Czy możliwe, żeby w ciągu trzech lat tak bardzo się zmieniła?

Podeszła ku niemu i wtedy dojrzał, że zamiast ciemnych wijących się włosów, jest prawie zupełnie siwa. To utrwaliło go jeszcze bardziej w przekonaniu, że się myli.

— Pan mnie nie poznaje? Jestem Nadieżda Iwanówna Korsakowa, ta, której pan kiedyś w podróży tyle wyświadczył grzeczności.

Więc jednak to była ona. Uścisnął podaną rękę i rzekł:

— Tak, teraz poznałem panią.

— Musiałam się bardzo zmienić.

— Po kim pani nosi żałobę?

— Jakże wiele przeżyłam przez te ostatnie trzy lata. Ci zbóje zabili mi męża, więżąc go przedtem tu na Łubiance i straszne zadając katusze. Ach panie, co on wycierpiał! Są to ludzie bezwzględni, pozbawieni serca, nie mają źdźbła ludzkości w swej duszy. Myślę o nich zawsze, jak o bydlętach i to tych, które mają najniższe instynkty.

Nie mogła powstrzymać łez. Ryszard pragnął ją uspokoić.

— Tak—powiedział—rewolucja to straszna rzecz i ciężki los panią spotkał. Towarzyszą jej okrutne niespodzianki, gdyż wszystko dzieje się nagle, z krzywdą często najniewinniejszych ludzi. Rewolucjoniści, zmierzając do swego celu, nie przebierają w środkach.

— Czyż muszą jednak przeprowadzać swoje idee kosztem Bogu ducha winnych ofiar?

— Niestety, to zwykła kolej rzeczy. Wszystko co dzieje się drogą nie ewolucji, a w rewolucyjnem tempie, wykuwa się, jak rozpalone w ogniu żelazo; bo gdyby pozwolono mu ostygnąć, nic z niego wykuć nie byłoby można. Od wieków tak było. Weźmy naprzykład Francję, ile ofiar poniosła w końcu 18 stulecia.

— Trudno w czemkolwiek porównać Francję, — kraj kultury i postępu — z tutejszą, bezmyślną i chamską czernią, która wznieciła anarchję.

— A jednak, bez względu co się dzieje tam, czy gdzieindziej, każda zmiana ustroju musi kosztować wiele krwi; tembardziej, jeśli monarchja ma stać się republiką. Przytem tu w Rosji samowładztwo, które trwało od wieków z jednej strony, analfabetyzm zaś i troskliwie hodowana ciemnota — z drugiej — wszystko to może sprawić, że nie strumienie krwi popłyną, a morze. Gdybyśmy zdolni byli wczuć się w psychologję uciśnionego narodu, możebyśmy nawet przestali się dziwić.

— Czyżby pan hołdował całej tej sprawie? Rozumiem jedno, że w tym zamęcie nikt z pana bliskich nie ucierpiał, nie poniósł pan żadnej ofiary, i dlatego zapewne trudno mu zrozumieć, czy odczuć moją niedolę.

— Zgadzam się, że straszne pani przeżyła chwile, ale mimo to muszę hołdować temu, co jest dobre dla ludzkości, nie bacząc na to, w jakim stopniu doga-

dza jednostce. Wyrwanie całej Rosji ze szponów despotycznej monarchji — to sprawa wielkiej wagi.

— Jeśli nawet ów monarchistyczny ustrój nie był dla społeczeństwa dogodny, to czyż nie można było go zmienić bez krwi i ofiar?

— Nie pani, nie można.

— Trudno mi to zrozumieć.

Dochodzili właśnie do Rożdiestwieńskiego bulwaru. Ryszard wskazał stojącą ławkę i zaproponował:

— Może siądziemy tu, bo pewnie pani zmęczona. Porozmawiamy sobie na ten ciekawy temat, który interesuję nietylko Rosję, ale i cały świat. Otóż, widzi pani, przy ustroju monarchistycznym, udział w rządzeniu przyjmuje tylko uprzywilejowana i nieliczna klasa, której materjalnie powodzi się bardzo dobrze. Niektórzy dygnitarze wprost opływają w dostatkach i zbytku, roboczy zaś stan cierpi naogół nędzę, a w Rosji trzymany był do tego w ciemnocie. Rewolucja nietylko dąży do wolności i swobody, lecz sprawiedliwego podziału zysków i ogólnej demokratyzacji. Zawiść i mściwość — to ogólnie znane zjawisko; ci maluczcy, uciskani przez tyle wieków, święcą tryumf pokonywania możnych, nic też dziwnego, że w czasie rewolucji panoszy się niesprawiedliwość i przemoc.

— Znam nie od dziś bolączki mojej Ojczyzny, które, jak widzę, interesują również i pana; sądziłam jednak, że naród rosyjski, składający się w trzech czwartych z chłopów-rolników, jest zadowolony ze

swej doli i zupełnie spokojny. Muszę przyznać, że rewolucja zaskoczyła mnie poprostu.

— Ci chłopi, to przeważnie małorolni, posiadający zaledwie parę mórg jałowego gruntu, żyjący w nędzy. Oni to właśnie stanowią element najbardziej podatny do objawów niezadowolenia. Obywatelstwo natomiast ziemskie posiada wielkie obszary.

— Wielu gospodarzy wiejskich ma po 30, a nieraz po 50 dziesięcin ziemi. Nie ponoszą oni wydatków na najemnika, bo zazwyczaj sami uprawiają rolę, nie mają żadnych tęsknot w kierunku kultury, żyją w dobrobycie, więc chyba nie mają powodów do niezadowolenia?

— Ma pani słuszność. „Kułaki" *) być może, że nie pragną zmian, lecz w porównaniu z małorolnymi, jest ich znikoma mniejszość.

— A czy pan również jest zdania, że rzemieślnik i robotnik fabryczny jest w Rosji źle sytuowany?

— Niestety, tak. Z wyjątkiem paru fabryk, reszta sromotnie krzywdziła robotnika — i tu może właśnie leży przyczyna całej rewolucji.

— Proszę mi więc wytłumaczyć, dlaczego wśród anarchistów znajduje się tak wielu pracowników umysłowych i urzędników?

— Wszędzie ta sama historja. W porównaniu z płacą w innych krajach europejskich, urzędnik rosyjski był nędznie uposażony; pomagał sobie, jak wiemy, łapówkami. Rosja znana jest z łapownictwa

*) Chłopi-obszarnicy.

na całym świecie. Być może, że wśród rewolucjonistów znaleźli się i tacy, którzy mają dość korupcji i despotyzmu.

— W wielu wypadkach muszę panu przyznać słuszność. Zagadnienia społeczne Rosji obchodzą mnie żywo; przecież to moja Ojczyzna. Skąd jednak pan, Polak, orjentuje się tak dobrze w tych zawiłych problemach?

— Życie naszego narodu związane jest przemocą z wami, a przytem ostatnie trzy lata, które tu przeżyłem, pozwoliły mi podpatrzeć sprawy różnych warstw. Nauczyłem się przez ten czas wiele.

— No i sądząc z pana powiedzeń, aprobuje pan cały ten przewrót, jaki tu nastąpił.

— Tego nie mówiłem, twierdzę jednak, że wcześniej, czy później byłoby się to stało. Należy się jedynie dziwić, że nie zdarzyło się to już przed stu laty.

— Nie rozumiem...

— Cierpliwość wyzyskiwanego ludu trwała i tak dość długo, a przecież w 200-miljonowej masie rosyjskiego narodu 85% — to chłopi. Taka miljonowa potęga musiała wcześniej, czy później dążyć do zrzucenia pęt.

— Więc pan uważa, że męki i śmierć mego męża to rzecz naturalna i właściwa?

— Mąż pani padł ofiarą swych reakcyjno-monarchistycznych przekonań. Podobny los spotkał wielu innych.

— W jakim celu mieli oddawać życie? Czyż nie można było zostawić ich w spokoju?

— Niestety, rewolucjoniści musieli zdziesiątkować swych przeciwników, by ich w ten sposób unieszkodliwić.

— Że jednak mego męża nie dało się ocalić!...

— Byłby bezpieczny, gdyby się wypowiedział za nowym ustrojem i stanął do pracy w szeregach.

— To było niemożliwe. Pułkownik, należący do armji carskiej, nie mógł zdradzić idei swych zapatrywań. Żal mi go bardzo! Był dobry i szlachetny nietylko dla mnie, ale i dla wszystkich.

— Należy się pocieszyć, że zginął, broniąc swoich przekonań. Tak zwykle schodzą ze stanowiska ludzie szlachetni. Cześć jego pamięci. Nowe pokolenie inne będzie miało nastawienie życiowe i hołdować będzie innym bogom. Zwolennikom dawnego regime'u trudno się z tem pogodzić, lecz niema na to rady. Pani, osoba jeszcze młoda i pełna sił, nie powinna rozpaczać, lecz wziąwszy się za bary z losem, zacząć inne życie w nowych warunkach. Dobrze byłoby znaleźć jakieś zajęcie. Co też pani umie, co mogłoby ułatwić zdobycie kawałka chleba?

— Niczego mnie naprawdę nie nauczono. Rodzice moi nie wyobrażali sobie ani na chwilę, że będę zmuszona kiedykolwiek pracować zarobkowo.

— Tak, rodzice nasi źle nas przygotowywali do życia. Może jednak uda się na to coś zaradzić. Będę się starał pomóc pani w miarę możności.

— Skończyłam gimnazjum w Saratowie, a w Moskwie szkołę muzyczną. Miałam kiedyś opinję dobrej pianistki, ale nie wiem czy może się to na co przydać.

— Napewno się przyda. Każdy rząd, jakiby nie był, musi być zwolennikiem kształcenia dzieci. Złożymy więc deklarację w odpowiednim komisarjacie, oni napewno wyznaczą pani miejsce nauczycielki.

— Lęk mnie chwyta na myśl, że mam się do nich o cokolwiek zwracać. Taka jestem przybita ostatniemi przeżyciami. Przecież to mordercy mego męża. A przytem samo chodzenie, rozmowy z nimi, składanie próśb — nie wiem, czy będę do tego zdolna.

— Co tylko będę mógł, chętnie pani ułatwię. Zgóry mogę obiecać, że będziemy chodzić razem. Znam już ich systemy i wiem, jak gdzie należy rozmawiać. Musi jednak pani zdobyć się na siłę woli i potrzebną energję; bez tego ani rusz. Narazie zapiszę sobie pani adres; chciałbym również wiedzieć, jakie ma pani środki materjalne?

— Pan, jak zawsze, jest bardzo dobry. Stwierdza się powiedzenie, że ludzie dobrzy i inteligentni mogą żyć w przyjaźni, choćby mieli zgoła rozbieżne na różne sprawy poglądy. Tak właśnie dzieje się z nami. Mieszkam obecnie u ciotki. Jest to starsza osoba, wdowa po jednym z wyższych urzędników. Nie opływamy w dostatku, dodała z uśmiechem, aby pokryć wyraz bólu i troski. Z czterech pokoi i kuchni zostawiono nam tylko ciemne małe pomieszczenie,

gdzie dawniej mieszkała służąca. Pozbawili również staruszkę emerytury, a ponieważ i ja nie posiadam żadnego kapitału, sprawa nie przedstawia się wesoło; poprostu wyprzedajemy na „Sucharewce" ubranie, bieliznę, lub takie, czy inne sprzęty.

Ryszard zasępił się. Nie było wcale tak łatwo rozplątać ten splot niepowodzeń.

— Nie dobrze się składa — rzekł — że nie mieszkam w mieście; utrudnia to nieco sprawę. Niedługo przyjadę znów do Moskwy, to odwiedzę panią i omówimy bliżej szczegóły. Teraz muszę się pożegnać.

— Więc pan nie mieszka w Moskwie? W tej chwili dopiero zorjentowałam się, jak bardzo jestem roztargniona i pochłonięta swoją niedolą, bo oto nawet nie zainteresowałam się, co pan porabia i gdzie przebywa. Jakże często wspominałam mężowi o mojej podróży do Mińska i o całym szeregu przysług, jakie mi pan wyświadczył.

Wyciągnęła do Ryszarda rękę:

— Z żalem żegnam pana; nastraja mnie pan optymistycznie do życia. Gdy mam blisko siebie kogoś tak dobrego, kto w każdym wypadku umie dać radę i pomoc, zaczynam wierzyć, że od chwili, kiedy pana spotkałam, wszystko zmieni się w życiu mojem na lepsze.

Ryszard zawahał się chwilę, wreszcie rzekł:

— Pojadę następnym pociągiem, a przedtem odprowadzę panią do domu..

Ciemny maleńki pokoik, w którym obie panie mieszkały, sprawiał smutne wrażenie. Zaledwie kil-

ka cennych gracików świadczyło, że niegdyś prowadziły inny tryb życia. Każdy z czterech pokojów, które doniedawna same zamieszkiwały, zajęty był przez inną rodzinę. Mieszkały tam trzy rodziny rosyjskie i dwie żydowskie. O ile ci pierwsi na każdym kroku zatruwali obydwom paniom życie, o tyle Żydzi — o ironjo losu — zachowywali się spokojnie, a nawet życzliwie, nierzadko oddając dwóm nieszczęśliwym kobietom drobne przysługi. Ciotka pani Nadieżdy była to siedemdziesięcioletnia staruszka. Mimo przygnębienia i nieszczęść, jakie ją spotkały, wyglądała dość pogodnie, każdy przytem z jej zachowania mógł łatwo poznać prawdziwą, pełną godności damę.

Ryszard nie bawił tam długo; było mu przykro patrzeć na niedolę dwóch kobiet tembardziej, że narazie nic im nie mógł dopomóc.

Rozdział IX.

RYSZARD W ROLI PROTEKTORA U BOLSZEWICKICH SIEPACZY.

Wyszedłszy od pani Korsakowej Ryszard kroczył powoli Kałanczewską ulicą, zmierzając na dworzec Kazański, skąd odjeżdżał do domu.

Słońce zalewało żarem ulice, drzewa cieszyły oko zielenią, tylko ludzie zmęczeni i posępni snuli się wzdłuż murów bez uśmiechu.

Wąwolnicki szedł zamyślony. Zastanawiał się nad znikomością doczesnych wygód i majętności. Jakże doskonale rozumiał stan psychiczny tych dwóch kobiet, które przed chwilą pożegnał. Nie zaznały przecież dotąd nigdy biedy ani niedostatku; życie płynęło im wśród przyjemnych zdarzeń, nie wiedziały co to głód, czy zimno, czy brak odzieży. Znały te rzeczy zdaleka i były im obce jak bajka, której w żadnym wypadku przeżyć nie można. Aż oto przyszła rewolucja i wywróciła dawny porządek na nice: pogrzebała majątki, zmiotła z powierzchni niepotrzebnych

ludzi, zniszczyła tradycje i przyzwyczajenia. Cóż jest więc warte bogactwo, gdy nikt niema pewności o ciągłości jego? Czyż to nie najlepiej znamionuje bezsilność każdego człowieka wobec wyroków Najwyższych? Czy winy naprzykład cara były współmierne z losem jaki go spotkał? W co obrócił się przepych i otaczająca go sława? Nic więcej nie jest wart człowiek, który urodził się w pałacu, od tego, którego matka zległa w barłogu. Zarówno jeden jak i drugi są drobnym pyłkiem wszechświata. Jedno tylko bogactwo jest naprawdę coś warte: to bogactwo ducha, bogactwo wielkich i szlachetnych uczynków. Skarby te trwają długo, a niektóre z nich — wiecznie, jako pomnik, którego czas nigdy nie kruszy.

Ryszard wlókł się wśród ulic, nie zwracając na nikogo uwagi. Utonął w myślach i byłby prawdopodobnie nie prędko doszedł do stacji, gdyby nie słowa, jakie niespodziewanie rozległy mu się nad uchem:

— Stoj! Pokazywaj dokumienty!

Oprzytomniał. Otaczało go czterech pijanych marynarzy. Jeden z nich chwycił go mocno za ramię i zawołał:

— Słyszysz ty, burżuj!

Mówiąc to, podsunął Ryszardowi pod sam nos grubą i brudną pięść.

Wąwolnicki znał już psychologję rosyjskiej czerni. Wiedział dobrze, że pewność siebie i opanowa-

nie, może wyratować z największej opresji; zawołał więc po rosyjsku tym samym tonem co i oni:

— Jak śmiesz mnie zaczepiać! Zwrócę się natychmiast do milicjanta.

— A kto ty taki? — spytano już nieco mniej pewnym głosem.

— Mogę ci dowieść, rzekł Ryszard, że jestem spokojny człowiek, a kto wie nawet, czy nie komisarz?

— Przecież nie robimy ci nic złego, — powiedzieli zgodnym chórem. — Chcieliśmy poprostu sprawdzić dokumenty.

Widać było, że pragnęli się usprawiedliwić.

W tej chwili przypomniał sobie, iż ma w portfelu zaświadczenie Fabrycznego Związku Metalurgicznego, stwierdzające, że jest „majstrem oddziału". Wydane było w dodatku na mocno czerwonej karcie, czem mógł ich nietylko uspokoić, lecz nawet zaimponować. Powiedział więc zuchwale:

— Papiery, to ja pokażę, ale ty trzymaj pięść przy sobie!

Napróżno jednak przewracał w portfelu. Wtem oko jego zatrzymało się na czerwonej kopercie, podał ją więc z tryumfem. Dopiero gdy ją mieli w swych rękach i wyciągnęli z środka papierek, Ryszard zdrętwiał, była to bowiem recepta na krople do oczu. Zanurzył więc rękę ponownie w przegródki, lecz ci, zobaczywszy na recepcie maszynowe pismo, uspokoili się w zupełności.

— Nu, ładno, ładno, daj papierosa!

— Nie mam przy sobie gdyż nie palę.

— To my ci damy, a zapalisz?

Ryszard mimo wstrętu, zarówno do nich jak i do papierosów, bąknąwszy podziękowanie, włożył przysmak do ust i spokojnie zapalił, gdy mu podali ognia.

— Ty, Pietka — rzekł jeden z nich — to swój człowiek, daj mu całą paczkę.

Po chwili wsunięto Ryszardowi niespodziewany upominek do kieszeni i wyciągnięto na pożegnanie ręce.

Ryszard szedł teraz spiesznie na dworzec. Poprzedni nastrój smutku rozwiał się w zamęcie świeżo przeżytej przygody. Na myśl, że ma w kieszeni zrabowane prawdopodobnie w jakimś sklepie papierosy, nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

Jadąc pociągiem, zaczął w dalszym ciągu rozmyślać nad położeniem pani Korsakowej i jej ciotki. Bardzo im współczuł. Były tak bezradne i nieszczęśliwe.

— Nie mam innych obowiązków — pomyślał — muszę im w jakiś sposób dopomóc, aby mogły uczciwie na chleb zapracować. Inaczej czeka je śmierć głodowa, z chwilą, gdy wyprzedadzą się do reszty.

Postanowił dopiąć swego i wynaleźć źródło utrzymania dla pani Nadieżdy. Już zgóry czuł przyjemność na myśl, że tym dwóm, opuszczonym Rosjankom, poda życzliwą rękę, manifestując w ludzki sposób, jak Polak potrafi płacić za krzywdy, wyrządzone jego narodowi.

Jego czynności w fabryce, gdzie pracował, związane były z częstymi wyjazdami do Moskwy. Wyo-

brażał sobie, że tam najłatwiej będzie mógł znaleźć potrzebną protekcję. Miał zamiar jednak skorzystać z okazji również i w miasteczku, gdzie obecnie przebywał. W tym celu udał się pewnego wieczoru do komisarza Własowa. Był to porucznik dawnej, carskiej armji, człowiek dość inteligentny, który, zdaje się, tylko dla chleba przyjął obecną posadę, udając rubasznego chama i zajadłego bolszewika. Interesy fabryki wymagały, aby utrzymywać z nim kontakt. Ryszard miał nawet przeznaczoną pewną sumę pieniędzy, by w razie potrzeby ugościć Własowa należycie. Lubił on dobry koniak i przy kieliszku skłonny był czynić różne ustępstwa. Ryszard dobrze znał jego słabostki. Tym razem postanowił je wykorzystać, aby pomóc pani Nadieżdie.

Pewnego dnia uzbrojony w butelkę koniaku i ćwiartkę kawioru, zadzwonił do parterowego domku. W pokoju na stole syczał samowar, a na białym obrusie widniało pszenne pieczywo i masło. Były to na owe czasy przysmaki nielada, dostępne jedynie dla wybranych.

— Mam do was prośbę Ryszardzie Kajetanowiczu — rzekła pani domu.

— Chętnie uczynię, co będzie w mojej mocy, tembardziej, że i ja ze swej strony przyszedłem do pani męża z interesem. Czy jest w domu?

— Goli się w sypialni — odrzekła. — W ciągu całego dnia ma tyle spraw do załatwienia, że nie może zająć się sobą. Za chwilę przyjdzie tutaj; siądźmy tymczasem do herbaty.

Za chwilę zjawił się pan domu, życzliwie uśmiechnięty, ubrany w sukienną bluzę oficerską, pozbawioną jednak odznak.

Kiedy Ryszard postawił na stole butelkę i puszkę z kawiorem, Własow rozpromienił się na dobre.

— Dalibóg, kawior i francuski koniak — zawołał. — Lidja, dawaj prędzej korkociąg i kieliszki, bo nie wytrzymam! Bóg wam zapłać — zwrócił się znów do Ryszarda. — Półtora roku nie piłem koniaku, a od samogonki, którą ciągle pić muszę ochrypłem i pali mnie zgaga.

— To poco to świństwo bezustannie pijesz, — odezwała się żona, ustawiając na stole talerze i kieliszki.

— A cóż mam pić, kiedy wódki nie mogę dostać, a tak na sucho nie umiem jeść obiadu, ani kolacji.

Gdy wszyscy troje zasiedli do stołu, Lidja Własowa przedstawiła swą prośbę. Chodziło mianowicie o to, aby Ryszard sprzedał jej drewnianych obrzynków, zdatnych do palenia w piecu.

— Z największą chęcią — rzekł — każę wam jutro przysłać dziesięć fur.

Gdy chciała natychmiast uregulować rachunek, dodał:

— Sprzedajemy to za grosze naszym robotnikom. Wam napewno fabryka bardzo chętnie przyśle bezpłatnie. Lecz ja również mam prośbę, a nawet dwie: po pierwsze chciałbym możliwie przyspieszyć otrzymanie dwunastu pozwoleń na broń palną, potrzebną dla fabrycznej milicji; druga sprawa jest inna —

i raczej osobista: chodzi o zdobycie stanowiska nauczycielki ludowej dla pewnej inteligentnej i wykształconej osoby. Pan ma rozległe stosunki wśród komisarzy, dlatego się do niego zwracam. Zależy mi bardzo na tem, by opuszczonej i nieszczęśliwej kobiecie przyjść z pomocą.

— Rozumiem; pewnie młoda i przystojna — uśmiechnął się Własow.

— Nie stara i nie brzydka, ale tym razem nie o to chodzi.

— On wszystkich sądzi po sobie — odrzekła żona. Już ja będę w tym, żeby dopomógł.

— A któż to jest ta znajoma?

— Polegając na waszej uczciwości, powiem wam szczerze; jest to wdowa po straconym przez czrezwyczajkę pułkowniku.

— Jakże się nazywa?

— Nadieżda Korsakowa. Mąż jej był naczelnikiem sztabu jednego z korpusów, a przytem cieszył się opinją bardzo szlachetnego człowieka.

— Tak, znałem go kiedyś — rzekł Własow — był dowódcą bataljonu, gdzie ja służyłem jako junkier. Sprawiedliwy zwierzchnik, ale wielki arystokrata, poddany i wierny carowi. To zapewne była przyczyna, że go stracili.

— Przypuszczam — nadmienił Ryszard — że bez względu na zapatrywania polityczne, przyzna pan iż żona jego nic nie jest winna i nie powinna cierpieć nędzy.

— Zapewne; jeśliby chciała jednak zająć stanowisko nauczycielki, musi się wyzbyć arystokratycznych zapatrywań.

— Ponieważ jest inteligentna, będzie więc umiała napewno zastosować się do wymagań chwili.

— Zajmij się, Kola, tą sprawą — wtrąciła Lidja.— Nie wiadomo co nam się może kiedy przydażyć. To strasznie jest żyć na świecie, jeśli nikt z bliźnich nie chce podać życzliwej dłoni.

— Nie uchylam się od pomocy. Uważam to nawet za słuszne, że stanowiska oświatowe zajmą osoby wykształcone, nie jakieś niedowarzone półinteligentki, jak to się teraz często praktykuje. Pani Korsakowa jednak będzie musiała zataić swoje pochodzenie, żeby nie budzić nienawiści. Prześladują oni „burżujów" poprostu przez zazdrość i chamstwo.

— Omówię z nią dokładnie tą sprawę. A może pan by mi doradził, do kogo mam się w tej kwestji osobiście skierować? — spytał Ryszard.

— Jutro będę w Moskwie, to zwrócę się do naszego komitetu, prosząc o naznaczenie nauczycielki, a właściwie kierowniczki tutejszej szkoły. W jakim wieku jest pani Korsakowa?

— Ma około 30-stu lat. Chciałbym jej dopomóc, aby mogła zapomnieć przy pracy o strasznych przeżyciach, jakie ją dotknęły.

— Cieszyłabym się bardzo, żeby tu zamieszkała. Tak prawdę mówiąc to nie mam odpowiedniego towarzystwa; jeśli chodzi o fabrykę, to albo prostacy, albo cudzoziemcy — dodała Własowa.

— No dobrze, już dobrze, rzekł mąż. Będę się starał wszystko jaknajlepiej załatwić; ale w razie pomyślnych wyników, to wy, Ryszardzie Kajetanowiczu, będziecie za tą panią odpowiedzialni. Co się tyczy pozwolenia na broń, pisałem już o tem do wojennego komisarza Moskiewskiego obwodu i gdy tylko nadejdzie odpowiedź, zaraz wam potrzebne papiery przyślę.

Było już dosyć późno, gdy Ryszard wrócił do domu. Zaraz położył się do łóżka, gdyż nazajutrz punktualnie musiał się stawić do pracy; w fabryce amerykańskiej obowiązywał ogromny rygor i każdy musiał się do niego stosować.

Gdy Ryszard zdawał relację dyrektorowi, że zaświadczenia na broń dla milicji fabrycznej są poniekąd zapewnione, ten rzekł, uśmiechając się:

— No mister Wąwolnicki, pan umie jakoś z nimi załatwiać interesa, bo przyznaję, że już nie spodziewałem się, żeby nam dali owe zezwolenie. Przecież innym fabrykom Moskiewskiego okręgu kategorycznie odmówili.

Ryszard zdawał sobie sprawę, że posiadanie broni stanowi o bezpieczeństwie całej fabryki, gdyż od przewrotu bolszewickiego nie było właściwie ani warty, ani milicji i instytucja narażona była na napady miejscowych huliganów, których jeszcze bolszewicy nie zdążyli powystrzelać.

— Wiem o tem, że to sprawa istnienia i lękałem się, iż wojskowy Okręg Moskiewski nie odniesie się

przychylnie; narazie dopiero nasz komisarz rejonowy zwrócił się do nich z przychylnym wnioskiem.

— Najważniejsze więc zostało pokonane; reszta to tylko czcza formalność. Najczęściej jednak miejscowi komisarze robią wszelkie możliwe utrudnienia.

— A czem się to tłumaczy?

— Tem poprostu, że wybierani są zazwyczaj z pośród robotników fabrycznych, analfabetów, którzy później załatwiają z fabrykami swoje prywatne obrachunki. Nasz komisarz jest podobno inteligentem.

— Tak panie dyrektorze, to były oficer gwardji carskiej. Ona również jest wykształcona i inteligentna kobieta. Właśnie zwrócili się do mnie wczoraj z prośbą o sprzedanie im obrzynków do palenia.

— Proszę kazać im wydać bezpłatnie, ile tylko zechcą, gdy zaś otrzymamy zezwolenia, trzeba mu się będzie w delikatny sposób odwdzięczyć.

— Zadowolni się, jeśli dostanie 6 butelek dobrego koniaku. Znam w Moskwie źródło, gdzie można każdą ilość kupić.

— Doskonale — rzekł dyrektor, — proszę wziąć z kasy pieniądze, załatwić sprawunki i dać mu ode mnie z podziękowaniem.

Ryszard uradowany wrócił do swego kantorku. Miał obecnie nadzieję, że upiecze dwie pieczenie przy jednym ogniu, bo i zaświadczenia otrzyma i wyrobi miejsce dla pani Korsakowej.

Rozdział X.

USILNE, CHOĆ BEZOWOCNE STARANIA O POWRÓT DO KRAJU.

Mimo ciągłych walk rewolucyjnych i niepokojów, drobne objawy życia zaczęły biec dawnym codziennym torem. Ci, którzy mieszkali na prowincji i posiadali choćby maleńkie kawałki ziemi, obrabiali je gorliwie, żeby choć częściowo zabezpieczyć swe rodziny od głodu. Sadzono nie tylko warzywa i inne pożyteczne płody, lecz nawet zasiewano kwiaty. Drobne ogródki fabryczne, jakie były w rękach przeważnie inżynierów, bądź to Anglików, Amerykanów, Duńczyków, czy Niemców, wyzyskiwane były w stu procentach. Właściciele, uważając pracę w ziemi za rozrywkę, sami kopali i pełli, aby choć w drobnym stopniu zaopatrzyć się w artykuły pierwszej potrzeby. Kultura uprawy była tak wysoka, że nierzadko jeden krzak kartofli rodził pud ziemniaków (16 kg.).

Ubiegły rok głodu, uczył ludzi skrzętności. Był to rok, w którym rozpolitykowani chłopi zajęci piciem

i podziałem pańskiej ziemi, której nie zdolni byli uprawiać, nie dowozili do miast żywności. Stało się to przyczyną nadmiernej drożyzny. Dochodziło do tego, że pud kartofli kosztował 500 rubli.

O ile ogródki cudzoziemców przedstawiały się imponująco, o tyle te, które należały do Rosjan, nie dawały prawie żadnego pożytku. Zasiewano w nich najczęściej słoneczniki, których ziarna cieszyły się w Rosji zawsze wielkiem powodzeniem. Na jesieni, gdy słoneczniki dojrzały, rzadko można spotkać przechodnia, którýby się owym przysmakiem nie raczył. Ileż razy człowiek bywał ni stąd ni zowąd opluty przez kogoś, kto szedł naprzeciw, a zagadawszy się, nie spostrzegł idących.

Odbiegając od tematu, należy dodać, że niekulturalny ten obyczaj przedostał się i do Polski. Gdy ujrzymy w Łazienkach, lub Alejach Ujazdowskich osobnika, plującego bezmyślnie łupinami przed siebie, cały okres niedoli i niewoli, związanej z Rosją, staje bardzo żywo w pamięci.

Gdy Ryszard dowiedział się, że niektórzy Polacy zdobyli odpowiednie pozwolenie i przedostali się do kraju, nie mógł wprost spokojnie pracować. Postanowił więc czynić starania, aby jaknajprędzej swoje marzenia urzeczywistnić. Dowiedziawszy się, że dyrektor fabryki jest w stałym kontakcie z ambasadorem niemieckim, jenerałem Mirbachem, który wydaje Polakom pozwolenia na powrót do kraju, Ryszard zwrócił się z prośbą o protekcję.

— Z ambasadą niemiecką,—rzekł dyrektor—łączą nas tylko sprawy przemysłowo-handlowe; nie wiem przytem czy moja interwencja byłaby skuteczna. Czyż jednak naprawdę ma pan zamiar nas porzucić? Nie dalej jak na wczorajszem posiedzeniu zarządu podniosłem sprawę, aby podwyższyć panu pensję o 1000 rubli. Myślę, że byłoby lepiej, gdyby pan rok przynajmniej pozostał tutaj. Słyszałem, że w Warszawie straszny zastój i bieda, wiele warsztatów pracy zamkniętych, pocóż się więc tam spieszyć, jeśli tutaj ma pan dobre stanowisko? Za rok prawdopodobnie tam się porawią warunki, a wtedy, zaoszczędziwszy tu nieco grosza, łatwiej pan pokona trudności.

— Zdaje się jednak, że nie będę mógł skorzystać z rady pana dyrektora — rzekł Ryszard. — Codzień czuję się gorzej na obczyźnie. W Polsce przeżywa się bardzo ciekawy moment dziejowy; poprostu robi się historja. Dziś wielu z nas, Polaków, którzy zastanawiają się i obserwują, wyczuwają to doskonale. że zbliża się okres tak bardzo oczekiwany przez nasze poprzednie pokolenia. Tęsknię do kraju, a przytem chciałbym się tam na co przydać. Pragnąłbym znaleźć się na ojczystej ziemi.

— Sądzę, że oswobodzenie Polski, to mrzonka. Niejedno jeszcze coprawda może się zdarzyć, lecz państwa centralne, zarówno jak i koalicyjne nie dopuszczą do oswobodzenia narodów, nad któremi mają władzę.

— My, Polacy, jesteśmy odmiennego zdania.

— A jednak ja myślę, że otrzymacie najwyżej autonomję i zostaniecie pod egidą któregokolwiek z państw, naprzykład Niemiec. Możeby to było nawet dla Polaków z pożytkiem — dowodził dyrektor, który, jak wersje chodziły, był podobno germanofilem.

— Nam, panie dyrektorze, Niemcy nie są wcale do szczęścia potrzebni. Od wieków byli naszymi wrogami i niema mowy o współżyciu.

— Boję się, że nie będziecie mieli prawa głosu. Wypowiedzą się tylko te państwa, które militarnie przyjmowały w wojnie udział i mają swe armje.

— Ośmielam się twierdzić, iż nie zna pan dyrektor dostatecznie Polaków. Niesłuszne jest mniemanie, że nie mamy swego wojska. Każdy Polak jest żołnierzem,—zawołał porywczo Ryszard;—nawet kobieta polska, jak tego zajdzie potrzeba, ruszy z karabinem w pole. Zaborcy gnębili nas dowoli, lecz nie zdołali zabić patrjotycznego ducha; był on dla nich w sferze nieosiągalności; wzmagał się w geometrycznym stosunku do ucisku, jaki wywierali. Tak, musimy wierzyć, że zbliża się dla nas lepsze jutro.

— Należy schylić czoło przed patrjotyzmem pańskich rodaków i odwagą, z jaką walczą, lecz jednak to zupełnie co innego — mieć swych wojskowych, a co innego posiadać wojsko. Służycie w armjach, wzajemnie sobie wrogich; jakąż więc znajdziecie sposobność, by połączyć się w jedno?

— Były już różne momenty w naszej historji. Wspomagaliśmy militarnie z powodzeniem Napoleona, mimo , iż był to również okres, kiedy wojska polskiego właściwie nie było. Obecnie dzieje się podobnie: mamy legjony polskie, złożone z młodzieży, gotowej do zbrojnego czynu; jest przytem wśród nas człowiek, który — jeśli potrafił w najtrudniejszym momencie owe legjony stworzyć i zaszczepić w młodzieży pewność siebie i wiarę w zwycięstwo— będzie umiał napewno dokonać czegoś więcej.

— Wszystko to mało. Garstka, choćby najbardziej zapalonych szaleńców, niezdolna będzie dokonać odrodzenia Ojczyzny. W tym wypadku cały naród musi stanąć do czynu.

— Jesteśmy skłonni do entuzjazmu. Nie tak trudno nas, Polaków, obudzić z letargu. Niechaj tylko zacznie się coś dziać, a z różnych zakątków zbiegną się rozproszone dzieci, by pomóc do wskrzeszenia Ojczyzny. Mamy przytem człowieka, który poprowadzi naród do zwycięstwa i niepodległości.

— Kogo ma pan na myśli?

— Józefa Piłsudskiego. To człowiek, na którego Polska czekała przez okres niewoli. On powoła naród do czynu.

— Cóż z tego, jeśli jest unieszkodliwiony, siedzi bowiem w Magdeburskiej twierdzy, zamknięty przez Niemców, którzy go widać naumyślnie usunęli; należy przytem wnioskować, że nieprędko go puszczą. Wczoraj właśnie czytałem w gazecie niemieckiej obszerny artykuł w tej sprawie.

— Tak, to prawda, ale w wielkiej i dobrej sprawie zawsze Bóg dopomaga; może się zdarzyć, że i przysłowiowy rozum niemiecki nie zdoła Polakom przeszkodzić.

— Jestem z pochodzenia Łotyszem,—rzekł dyrektor,—i bardzo kocham swój naród, lecz nie mam żadnych złudzeń; nie spodziewam się, żeby po wojnie światowej moi ziomkowie zdobyli niepodległość.

— Brak pewności w tej sprawie i nadziei osłabia tężyznę narodu, bo ten tylko zwalczy przeszkody, kto niezłomnie wierzy, że potrafi dokonać czynu, który sobie przedsięwziął!

Rozmawiali tak długo. Zapomnieli, że dzieli ich stanowisko społeczne; poczuli się braćmi, ponieważ każdy z nich był dzieckiem, wprawdzie innej, ale uciemiężonej ojczyzny. Zapał Ryszarda zaczął się powoli udzielać i dyrektorowi. Wsparty na łokciu, zdawał się przetrawiać zdania, które tu padły, wreszcie rzekł:

— Ma pan wiele słuszności. W kieracie codziennego życia, w jakim się człowiek obecnie obraca, wiele spraw ważnych wymyka się z pod uwagi. To prawda, że wiara czyni cuda, muszę przytem dodać, iż umie pan zarażać innych swojemi pełnemi porywu poglądami. Ciekawa była nasza pogawędka, lecz treść jej musimy zatrzymać przy sobie. Co się zaś tyczy wyjazdu pana do Polski, zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, by panu dopomóc.

Od tego czasu Ryszard cieszył się wielką sympatją dyrektora. W fabryce, gdzie pracował, była

dość duża ilość Łotyszów, przeważnie wykwalifikowanych ślusarzy, tokarzy i odlewników. Nacja ta cieszyła się uznaniem u sfer rządowych. Służyli też wiernie Leninowi i Trockiemu. Nawet osobista straż tych ówczesnych moskiewskich trybunów składała się przeważnie z Łotyszów; wielu też ich należało i do czerezwyczajki. Przeważnie rozpolitykowani i zdeklarowani socjaliści o najradykalniejszych tendencjach, nie myśleli o odseparowaniu się od Rosji, a raczej dążyli do stworzenia rzemieślniczo-robotniczego raju. Przy każdej sposobności wypowiadali walkę kapitalizmowi, pogardzając nacjonalistami i zaznaczając silnie swój internacjonalizm.

Po upływie jednak kilku tygodni od rozmowy Wąwolnickiego z dyrektorem, powiał jakby inny wiatr od strony Łotwy. Od czasu do czasu dały się słyszeć zdania, że Łotwa musi odzyskać niepodległość. Ryszard przy każdej okazji wtłaczał Łotyszom idee patrjotyzmu i sposoby wydobycia się ze szponów zaborców. Mimo, iż często jeszcze mówili z niechęcią o nacjonalizmie i gorąco bronili haseł socjalistycznych, jednakże można było wśród nich zauważyć kiełkujący patrjotyzm, który wkrótce wydał dodatnie plony.

Pewnego dnia Ryszard, zaopatrzywszy się w podanie do Mirbacha i wszelkie potrzebne dokumenty, udał się do Moskwy, aby kołatać o pozwolenie powrotu do kraju.

W jednym z większych pałacyków mieszkał teutoński dygnitarz; zdaleka już widać było za żelaz-

nem ogrodzeniem dwóch niemieckich żołnierzy, którzy sprawowali wartę. Bez wylegitymowania nie wpuszczano nikogo. Wąwolnicki musiał przedstawić papiery i wytłumaczyć cel wizyty, zanim przeprowadzono go do biura i oddano pod opiekę dyżurnemu podoficerowi.

Minęły dwie godziny, nim zawołano go, by spisał na odpowiednim blankiecie cel wizyty i personalja. Znalazł się wreszcie przed niemieckim kapitanem, który, rozparty za biurkiem, niezbyt grzecznie zapytał łamaną rusczyzną:

— Co pan sobie życzy?

Ryszard podał mu papiery, wraz z podaniem i wyłuszczył swą prośbę. Wzrok urzędnika nieprzychylnie badał interesanta. Rozparłszy się jeszcze wygodniej i zapaliwszy cygaro, zawołał:

— Czekać!

Wąwolnicki obserwował go zdaleka; patrzał jak tamten odczytywał kolejno każdy papier, oglądając niektóry z nich pod światło. Zabrawszy dokumenty poszedł z nimi do drugiego pokoju. Znów trzeba było długo czekać, zanim dał się słyszeć brzęk ostróg i do pokoju wszedł kapitan wraz z podpułkownikiem. Ryszard podniósł się, gdyż usłyszał do siebie zwrócone pytanie:

— Pan jest stałym mieszkańcem Warszawy?

— Tak jest.

— A czem się pan trudnił przed wojną?

— Byłem urzędnikiem na kolei, a przytem pracowałem dorywczo w redakcjach niektórych pism.

— Czy zna pan w Warszawie kogoś, kto mógłby za panem poręczyć?

Ryszard wymienił szereg znanych mu osób. Kapitan zanotował skrupulatnie nazwiska i rzekł:

— Proszę się zgłosić za dwadzieścia dni po odpowiedź.

Ryszard wyszedł na ulicę z przeświadczeniem, że trudno mu będzie czekać tak długo. Oto przebył lata na obczyźnie, a teraz, kiedy mu przyszło czekać głupie dwadzieścia dni, opanowała go niecierpliwość. Za wszelką cenę pragnął już wiedzieć, jaki będzie rezultat jego starań. Zżył się z myślą, że niedługo zobaczy Warszawę i nie był pewien czy łatwo zdoła przyjąć odmowę. Uspokoiła go nieco świadomość, że nie mogą się o nim dowiedzieć nic złego, więc też napewno nie będą stawiać przeszkód.

Korzystając ze sposobności, postanowił odwiedzić panią Korsakową. Pokoik był po dawnemu mroczny, lecz twarze obydwóch pań promieniały nadzieją. Powitano go nadzwyczaj serdecznie.

— Ach, jak to dobrze,—rzekła pani Korsakowa,— że pan do nas przyszedł. Już chciałam pisać, albo osobiście pana odwiedzić, gdyż muszę zasięgnąć jego rady.

— Przy każdej sposobności chętnie panie odwiedzam. Cieszę się, że widzę uśmiech na pani twarzy. Proszę mi wszystko powiedzieć, co się tutaj działo od czasu ostatniej mojej bytności.

— Zawezwano mnie do komisarjatu oświaty i zażądano złożenia papierów.

— No i?...

— Naturalnie tego samego dnia zaniosłam wszystko, co potrzeba. Powiedziano mi, że niedługo dostanę zawiadomienie.

— Czy byli uprzejmi?

— Nawet bardzo.

— Gdzie się tacy uchowali? — Zapytała ciotka.— Nachodziłam się dosyć po komisarjatach wtedy, jak mi zarekwirowali mieszkanie i pozabierali rzeczy; wszędzie jednak natrafiałam na opryskliwość i chamstwo.

— Niech to panią nie dziwi, rzek Ryszard, w obecnych policyjno-administracyjnych komisarjatach nie można urzędować w glansowanych rękawiczkach. Inteligencja musi ukrywać swoje cechy wrodzone, gdyż inaczej prześladowana jest na każdym kroku. Co innego komisarjat oświaty; tam muszą być ci inni, choćby w pewnym stopniu owi dawni ludzie.

— Pan, który ze mną rozmawiał, — dodała pani Korsakowa, — robił wrażenie profesora; dobrze, że chociaż gdzieniegdzie spotykamy swoich ludzi.

— Nie radziłbym jednak ufać zbytnio nikomu. Domyślam się, że to komisarz Własow poczynił pewne starania w sprawie pani posady. Jeśli wszystko pomyślnie się ułoży, będzie musiała pani dostroić się do ogólnych haseł i udawać z pochodzenia proletarjuszkę.

— Może pan być spokojny, zastosuję się do wszelkich wskazówek, a wdzięczność moja będzie trwała do końca życia.

— Głupstwo, robię co mogę, bo sam mam w tem największą przyjemność.

— A jak myślicie, gdzie oni ją naznaczą? — wtrąciła ciotka.

— Zdaje mi się, że do miasteczka, w którem obecnie przebywam, gdyż tam jest narazie 6-cio oddziałowa szkoła miejska. O to właśnie miejsce dla pani obiecał postarać się komisarz Własow.

— Więc mieszkałabym niedaleko pana! — zawołała pani Nadieżda z radością.

— Przy szkole jest lokal dla kierowniczki, złożony z trzech pokoi i kuchni.

— Jakżebym się cieszyła z tego, — rzekła pani Korsakowa. — Przedewszystkiem świeże powietrze i wygodne mieszkanie, a przytem i pana bliska obecność. Czemże się zdołam wywdzięczyć!

— Miałem tutaj i własny interes na celu.

— Ciekawe jesteśmy jaki.

— Gdy panie będą niedaleko mieszkały, będę miał gdzie przyjść i porozmawiać, bo jak dotąd bywam tylko u komisarza Własowa, poza tem niema tam żywej duszy, z którą możnaby porozmawiać.

— I dla nas to będzie wielka przyjemność, gdyż będziemy miały w panu dobrego opiekuna i serdecznego przyjaciela, powiedziała pani Korsakowa.

— Bardzo mi przyjemnie to słyszeć; gdy po raz pierwszy spotkałem panią w Moskwie na Łubiance,

była pani w stosunku do mnie sceptycznie usposobiona.

— Nietyle do pana, ile do jego zapatrywań, tyczących się rewolucji; po głębszem jednak zastanowieniu, kiedy pierwszy ból minął, doszłam do wniosku, iż ma pan wiele słuszności. Z jednym się tylko nie mogę pogodzić: że mąż mój padł ofiarą przewrotu. Był bardzo dobrym człowiekiem i nikomu nie zrobił żadnej krzywdy.

— Przysłowie powiada: „gdzie drzewo rąbią, tam wióry lecą", więc i w tym wypadku nieuniknione były większe, a nawet masowe ofiary.

— Nie mogę tego pojąć — rzekła ciotka — żeby wyrównanie krzywd proletarjatu, musiało pociągnąć za sobą tak straszny haracz z pośród inteligencji; przecież właściwie wszystkie niedole ludu zawdzięczano rządowi.

— Cóż z tego, jeśli rząd był w rękach inteligencji, pochodzącej naogół z rodowej szlachty. Włościanom i robotnikom nie dawano rozmyślnie wykształcenia, trzymając ich w ciemnocie i niezrozumieniu. Prawo rosyjskie, dogodne wyłącznie dla rodzin uprzywilejowanych, niesprawiedliwe było dla biedaków. Stąd się zrodziła nienawiść u dołu, który przyczajony, czekał tylko sposobności, by sobie z naddatkiem wymierzyć sprawiedliwość.

— Ależ panie! — zawołała ciotka, lecz pani Korsakowa chwyciła ją za rękę ze słowami:

— Moja ciociu, my z tobą naprawdę nie zdajemy sobie sprawy z wielu rzeczy. Na wszystko patrzy-

my subjektywnie przez pryzmat swojej krzywdy; musimy cofnąć się myślą wstecz i wspomnieć czasy poddaństwa, jako przyczyny nędzy i ciemnoty. Nieubłagana Nemezis musiała się przybliżyć.

*
* *

Dwadzieścia dni, które dzieliły Ryszarda od rezolucji Mirbacha, przeleciały szybko. W tym czasie Wąwolnicki szykował się powoli do opuszczenia Moskwy, gdyż był prawie pewny, że otrzyma zezwolenie.

Pewnego dnia wstąpił do komisarza, żeby się dowiedzieć, jak daleko posunęła się sprawa posady pani Korsakowej. Gospodarze przyjęli go, jak zawsze, bardzo serdecznie i posadziwszy za stołem, częstowali nieodzownym „czajem". Zanim Wąwolnicki zdążył powiedzieć o celu swej wizyty, w pewnej chwili gospodarz odezwał się:

— No, Ryszardzie Kajetanowiczu, prośbie stało się zadość, protegowana wasza została naznaczona na kierowniczkę naszej szkoły, o czem ją wczoraj komisarjat już zawiadomił. Jutro udam się, aby przygotować dla niej mieszkanie; już przyjąłem i obsadziłem tam stróża, który jednocześnie będzie pełnić obowiązki woźnego. Dobrze byłoby, żeby jaknajprędzej przyjechała, gdyż jeśli obejmie miejsce przed 15-ym tego miesiąca, będę mógł wyasygnować pensję za cały miesiąc i dać karty na prowizję.

— Jutro zaraz będę w Moskwie i wszystko załatwię.

— Proszę jej powiedzieć, że my ze swej strony postaramy się dopomóc w zainstalowaniu tutaj.

W ciągu najbliższych dni obie panie zjechały do miasteczka i urządziły się w trzech pokojach, jakie były przy szkole. Państwo Własowowie i Ryszard starali się na wyścigi ułatwić im pierwsze chwile pobytu. Szkoła zaroiła się pyzatą dzieciarnią, a pani Korsakowa z pomocą dwóch innych nauczycielek gorliwie zabrała się do pracy.

Narazie czuła się obco w nowem dla siebie otoczeniu, lecz Ryszard, przychodząc co wieczór, dodawał jej bodźca, starając się przekonać, że jedynie praca, gdy ją pochłonie, da możność zapomnieć o przeżytych ciepieniach, a zabezpieczając skromny byt, postawi ją w szeregu pożytecznych pracownic, zdejmując piętno trutnia, jakie w oczach proletarjatu nosił każdy inteligent, który mimo zdrowia i sił— próżnował. Wielu z tych, którzy przed rewolucją pędzili żywot w dobrobycie, obecnie zrzuceni brutalnie z dawnych stanowisk, wegetowali, głodując, lub staczając się stopniowo do rzędu wynędzniałych żebraków.

Gdy minęło dwadzieścia dni od bytności Ryszarda w ambasadzie niemieckiej, wybrał się tam powtórnie, pewny, że otrzyma pozwolenie na wyjazd do Warszawy.

Z wejściem do wnętrza nie miał już tyle kłopotów, co poprzednim razem. Wystarczyło, iż wachmistrzowi pokazał kwit na złożone papiery, a wpuszczono go natychmiast. Gdy, stanąwszy przed tym samym co

kiedyś kapitanem, wyłuszczył cel swego przyjścia, ku swojemu zdumieniu usłyszał odpowiedź odmowną.

— Jakto? Nie mogę wrócić do Ojczyzny?

— Nie dano pozwolenia.

— Ależ dlaczego? z jakich powodów?

— Mnie nic do tego.

Mimo niechętnej odpowiedzi, Ryszard nie dawał za wygrane, pragnąc się koniecznie dowiedzieć, czemu nie uwzględniono jego prośby:

— Może mi zechce pan wytłumaczyć, jaka jest przyczyna, że nie mogę wyjechać do Warszawy?

— Nie mam nic do powiedzenia.

— W takim razie chciałbym się zobaczyć z generałem Mirbachem.

Kapitan spojrzał niechętnie na Ryszarda, zapalił cygaro, a włożywszy na nos binokle, wyszedł do sąsiedniego pokoju.

Rozczarowany i zły siedział Ryszard, oczekując na audjencję. Jakże nienawidził przeklętych Szwabów. Po chwili przyszedł ten sam podpułkownik, który poprzednio rozmawiał z Ryszardem i bez długich wstępów rzekł:

— Ambasada nasza nie może panu wydać zezwolenia na wyjazd do Warszawy.

— To proszę mi dać przepustkę, abym mógł się osiedlić w Kielcach, Radomiu lub Piotrkowie.

— Wogóle nie będzie panu wolno wrócić do Kongresówki.

— Czem się to tłumaczy? Jestem przecież stałym mieszkańcem Polski.

— Nie jesteśmy obowiązani dawać panu wyjaśnień. Oświadczam przytem stanowczo, że nie dostanie pan pozwolenia i sprawa skończona, — rzekł podpułkownik podniesionym głosem.

— Wobec tego proszę o osobistą audjencję z generałem Mirbachem.

— Niestety, generał w takich sprawach nikogo nie przyjmuje.

— A jednak ja się koniecznie muszę z nim widzieć.

— „Das ist ausgeschlossen"! — krzyknął czerwony ze złości podpułkownik, poczem wyszedł, trzasnąwszy drzwiami. Kapitan, podszedłszy do Ryszarda, rzekł:

— Radzę panu stąd iść i nie robić skandalu. Jeśli pan nie posłucha, zawołam milicjanta.

Cóż było robić. Pełen buntu szedł Ryszard przez ulice Moskwy, rozmyślając, jaka też mogła być przyczyna, że nie chciano go puścić do kraju.

— Być może — czynił przypuszczenia, — że nikt w Warszawie nie chciał za mną poręczyć.

Znał wielu sobków, ostrożnych do przesady, którzy nie lubili żadnej władzy narażać się. Przypomniał sobie, jak niektórzy z jego znajomych nazywali go w swoim czasie wywrotowcem. Byli to przeważnie tacy, którzy uznawali ugodowe załatwienie każdej sprawy i czekali cicho, aż inni, z narażeniem własnego życia pracując dla Ojczyzny, wykują jej

wolność; wtedy dopiero podnosili głowy i pchali się na pierwsze miejsce, szukając najsmaczniejszego koryta.

Znając dobrze psychologję tych ludzi, Ryszard się nie dziwił; przyjął to, jako jeszcze jedno życiowe doświadczenie i postanowił inną drogą szukać sposobu do wyjazdu. Tymczasem zaś bez przerwy pracował w fabryce, wieczorami odwiedzając panią Korsakową, z którą urządzali prawie codzień po południu spacery w liczne pod Moskwą podmiejskie, klimatyczne miejscowości, gdzie były ładne wille, a często cudne jeziora. Spacery takie odbywały się po większej części piechotą, gdyż mimo licznie kursujących bliskobieżnych pociągów, najczęściej trzeba było zrezygnować z jazdy; były one przeważnie tak przepełnione żołnierzami i robotnikami, że Ryszard, mając roczny bilet pierwszej klasy, jeździł często na stopniu. Zdarzało się, że pasażerowie okupowali dachy, lub nawet zmuszeni byli opóźniać termin wyjazdu.

Korzystając więc ze sprzyjającej pogody, zabierali podwieczorek do kieszeni i ruszali przed siebie w tę lub inną stronę.

Któregoś dnia pani Korsakowa, wspominając podróż od Mińska, rzekła:

— Któżby się był wtedy spodziewał, że spotkamy się w tak odmiennych warunkach i będziemy odbywać wspólne spacery!

— Więc nie myślała pani nigdy, że się znów spotkamy?

— Jeśli mam być szczera, to miałam przeczucie, że nie rozstajemy się nazawsze; nie sądziłam jednak, iż tak wiele wokół nas się zmieni. Jestem niezmiernie rada, że raz jeszcze mogę podziękować za wszystkie przysługi, okazane w tej jedynej w swoim rodzaju, podróży. Opowiadałam mężowi wszystko z najdrobniejszemi szczegółami, i o tem jak narazie nie chciał mnie pan wziąć do pociągu, a potem ukrywał, narażając się na niewygody. Później dopiero w Moskwie dowiedziałam się od męża, czemby to panu groziło, gdyby się wykryła moja obecność. Jestem pewną, że zdawał sobie pan sprawę z niebezpieczeństwa. Stwierdziłam w ciągu życia wielokrotnie, iż wy, Polacy, jesteście pełni kurtuazji i skłonni do świadczenia przysług.

— Dziękuję za komplement w imieniu wszystkich Polaków, — rzekł Ryszard z uśmiechem.

— Miałam się o tem sposobność przekonać jeszcze gdy byłam dzieckiem, gdyż w stronach, gdzie się urodziłam pełno mieszkało Polaków. Zajmowali posady w sądownictwie, administracji i innych urzędach. Byli to przeważnie ludzie szlachetni i inteligentni. Co się zaś tyczy pana, to uczucia moje dla niego nietylko są wyrazem wdzięczności; trudno mi je właściwie określić, lecz zdaje mi się, że nie mogłabym się obyć bez pana obecności; tęsknię wprost, gdy w ciągu kilku dni pan się nie zjawi.

— Nic dziwnego, pani Nadieżdo, wyczuwa pani we mnie prawdziwego przyjaciela.

— Nie wątpię o tem; zbyt wiele dobrego doświadczyłam, proszę mi jednak wierzyć, że przed trzema laty po rozstaniu się naszem w Mińsku wiele myślałam o panu i pragnęłam go chociaż raz jeszcze zobaczyć. Gdyśmy się w Moskwie na Łubiance spotkali, to mimo, iż zapatrywania pańskie były tak różne od moich, czułam wielką życzliwość i otuchę; zniechęcona byłam do życia i pana to rola, że potrafiłam się opanować i wyrwać z apatji. Zawdzięczam mu tak wiele! Oto nie jestem bezpożytecznym trutniem, lecz mogę sobie na chleb zapracować. Gdy myślę o tem, odczuwam dumę i pewność siebie. Niechże mnie pan nauczy, jak mam mu za to dziękować — rzekła wzruszona, ujmując Ryszarda za obie ręce.

— Największem podziękowaniem jest zadowolenie, że mogłem w czemkolwiek pani dopomóc.

Spojrzała mu głęboko w oczy. Ostatnie miesiące tyle mu przyniosły rozczarowań, tak bardzo czuł się samotny. Widział przed sobą, pełne smutku oblicze. Wyczuł, że i ona niema nikogo na świecie, komuby mogła powierzyć każdą troskę i otworzyć naoścież serce. Niewiele brakowało, by serdecznie przygarnął ją do piersi, tembardziej, że pod wpływem jego wzroku nie mogła opanować łez. Lecz w tejże chwili przypomniała mu się zmarła jego żona. Mimowoli zaczął porównywać uczucia; uświadomił sobie jasno, iż jest wzruszony i gotów ulec uczuciu, jakie mu los zsyłał. Czy jednak sam kocha, czy potrafi po raz drugi rozpłomienić serce,

jak wtedy, do tamtej, która spoczywała na cmentarzu w Połtawie? Nie. Nie była to miłość druzgocąca przeszkody, w pochodzie tryumfalnym zmierzająca do celu. Nie mógł wyzyskać chwili słabości tej nieszczęśliwej i opuszczonej kobiety. Byłoby to niegodne. Opanował więc siłą woli wzruszenie i rzekł:

— Pani ma złote i dobre serce. Nigdy nie zapomnę chwil z nią spędzonych, lecz musimy sobie oby dwoje uprzytomnić, że niedługo przyjdzie nam się rozstać. Nie mówiłem dotąd, iż czynię starania, aby się móc dostać do kraju.

Przez chwilę nie powiedziała nic, lecz potem zaniosła się długo powstrzymywanym płaczem. Napróżno usiłował ją uspokoić.

— Zawsze i wszędzie — rzekła z głębokim żalem— muszą mnie spotykać krzywdy i zawody; straciłam męża — najbliższego mi na świecie człowieka. Myślałam, że sam Bóg wyznaczył mi w panu przyjaciela, a teraz pan odjeżdża.

— Wojna rzuciła mnie zdala od Ojczyzny, lecz przecież z każdej okazji powinieniem skorzystać, aby tam powrócić. Niech pani nie płacze. Wkrótce stosunki między Rosją i Polską tak się ułożą, że będziemy mogli korespondować. Zresztą, nieprędko prawdopodobnie nastąpi mój wyjazd; tymczasem jestem w każdej chwili gotów okazać pani każdą pomoc i przysługę. Proszę uważać mnie za brata i wierzyć, iż los napewno uśmiechnie się jeszcze do pani.

Zrozumiała. Starając się nie dać poznać, jak wiele kosztowała ją ta rozmowa, napozór spokojnie zaczęła opowiadać o pracy w szkole i programie nauki. Wracali spiesznie do domu, wyczuwając wzajemnie atmosferę przykrości, jaka zaciążyła nad nimi.

Rozdział XI.

ZAŻEGNANY KONFLIKT Z ROBOCIARZAMI.

Po tym spacerze Ryszard doskonale zrozumiał, co czuje dla niego Nadieżda Korsakowa. Ponieważ była to kobieta młoda, przystojna i nadzwyczaj miła w obejściu, nic więc dziwnego, że miał dla niej coś więcej, niż zwykłą sympatję. Widywali się codzień i to utrwalało wzajemną zażyłość. Im więcej jednak analizował siebie, tem bardziej rozumiał, że jej pożąda, ale nie kocha. Przeżycia ostatnich miesięcy nie sprzyjały, by w sercu jego powstała żywa i dobra miłość, która dwojgu ludziom może zapewnić szczęście. Każda wojna jest podwaliną anarchji; burzy ona nietylko trony, lecz niszczy spokój i radość życia, stwarza chęć do ciągłej zmiany warunków.

Ludzie żyjący, jak na wulkanie, oddani niespokojnej fali, która nimi miota, zbliżają się do siebie dorywczo, aby za chwilę nazawsze się oddalić. Ów pęd do niespodzianek wykoleja normalny bieg życia. Wieluż ludzi, podczas wojny światowej wygnanych

z rodzinnego domu, znalazło się w najmniej spodziewanej sytuacji i nieprzewidzianych zgóry miejscach; zżyto się z kataklizmami i śmiercią, nie myślano o tem, co będzie jutro, cieszono się chwilą, którą los podsunął.

W takich warunkach kojarzyły się pary, nie wkładając w owe związki głębszych uczuć, nie obiecując wierności. Stadła owe rzadko przetrwały próbę życia. W większości wypadków każdy wracał w swoje strony, zapominając wzajem o sobie. Podobne wojenne objawy pokutują zazwyczaj długo w społeczeństwie, mimo, iż kończy się wojna.

Ryszard, jako człowiek młody, przeżywał często okresy, w których pragnął użycia. Czuł jednak wstręt przed taniemi miłostkami. Obecnie los zsyłał mu zacną kobietę, lecz jakże mógł wyzyskać jej uczucia, jeśli wzajem jej nie kocha? Jego prawość wzdrygała się przed kompromisem. Nie wolno brać więcej, niż można dać wzamian — myślał. Czyż zato, że uczyniłem jej kilka przysług, mam kazać sobie za nie płacić?

Chwilami był już bliski decyzji, by wziąć ją ze sobą do Polski, lecz, analizując głębiej stan swego serca, dochodził do wniosku, że byłoby to z wzajemną krzywdą. Po długich wreszcie rozmyślaniach, postanowił rzadziej bywać u niej, by w mimowolnem samna-sam nie pogarszać jeszcze sprawy.

Od tego więc czasu mniej składał wizyt pani Korsakowej, a jeśli mu wypadło iść z nią na spacer, starał się, by towarzyszyła im pani Własowa, lub

ktokolwiek inny. Prowadzono najczęściej rozmowy ogólne, czy wreszcie pedagogiczne, gdyż pragnął przy sposobności dać pewne wiadomości pani Korsakowej, aby w niej tę gałąź wiedzy pogłębić.

Naogół biorąc, życie Ryszarda przedstawiało się nienajgorszej; brakiem produktów pierwszej potrzeby i ogromną drożyzną nie przejmował się zbytnio, rad, że słońce świeci i nie brak mu pracy. Ostatnio w obrębie jego zajęć leżał zarząd obszerną fermą, co zbliżało go do natury i pozwalało zapominać o troskach. Jedno tylko nie dawało mu spokoju: tęsknota za Polską; potęgowała się w miarę jak piętrzyły się trudności, przeszkadzające do powrotu.

Pewnego razu, gdy był w fabryce z raportem u dyrektora, ten odezwał się:

— No, mister Wąwolnicki, ponieważ nie udało się panu otrzymać zezwolenia na wyjazd, może pan podpisze umowę z fabryką na cały rok następny?

— Nie, panie dyrektorze! — rzekł Ryszard. — Nie mogę się tak zobowiązywać, gdyż będę usilnie się starać, aby móc wyjechać do Ojczyzny i wrazie gdybym nie dostał pozwolenia, wyjadę do Smoleńska, a stamtąd już łatwiej będzie przedostać się do Orszy, gdzie podobno za dobrą łapówką dadzą przepustkę do Mińska.

— Nie radziłbym panu tak ryzykować. A czy nie próbował pan tego załatwić przez Własowa?

— Owszem, prosiłem go o to, i on radby mi pomóc, lecz nic w tej sprawie zrobić nie może, gdyż to zależy tylko od polsko-bolszewickiego Komitetu

na Powarskiej ulicy, w którym komisarz Leszczyński jest „alfą i omegą". Ten zaś kategorycznie odmówił wydawania przepustek inteligencji, twierdząc, że wprzód proletarjat musi wyjechać. Tamci mogą czekać, o ile się przez ten czas nie zmarnują tutaj. Żadne przytem do niego wstawiennictwa nie odnoszą najmniejszego skutku.

— Radziłbym jednakże jeszcze przynajmniej rok poczekać, zanim się u pana w kraju stosunki nie unormują.

— Zobaczę, panie dyrektorze; jeśli mi się nie uda, to oczywiście zostanę w Rosji — rzekł Ryszard, myśląc jednocześnie dokładać wszelkich starań, aby postawić na swojem.

Podwładni Ryszarda, z którymi pracował, stanowili rozmaity element; byli to przeważnie robotnicy rolni obojga płci i wykwalifikowani rzemieślnicy. Pochodzili naogół z centralnej Rosji i mimo, iż z natury dobrzy, choć leniwi i ociężali, a przytem rozpolitykowani, uważali się za bolszewików, brali czynny i głośny udział w meetingach, nie wiedząc właściwie komu i o co chodzi. Wydało im się, że główna idea bolszewizmu polega na odebraniu wszystkiego tym, którzy cokolwiek posiadają i przywłaszczeniu sobie, aby mieć co przepić. Tymczasem biedowali i narzekali, że mało mają chleba, a wódki — prawie wcale. O ziemię specjalnie im nie chodziło, gdyż wiedzieli, że i tak została zabrana panom. Zazdrościli tylko tym, którzy pozostawszy w domu mogli palić i grabić dwory, by mieć potem sposob-

ność do pijaństwa i obłowienia się majątkiem ziemian.

Fabryka, w której pracowali nie była jeszcze zabrana przez Bolszewików, pozostawała tylko pod ich kontrolą. Polityka robotników dążyła wyraźnie do odebrania jej z rąk amerykańskich; nie chodziło jednak o to, aby ją nadal prowadzić, gdyż zgóry wiedziano, że brakłoby odpowiednich specjalistów. Chcieli jedynie dorwać się do magazynów, by wyprzedać gotowe narzędzia rolnicze, jak traktory, żniwiarki, kosiarki, siewniki, wialnie, również i zapasy drzewa, desek, belek, ogromne ilości węgla, za który na rynku zbytu można było natychmiast otrzymać grubą gotówkę. Podobnie też zrobiono w sąsiedniej fabryce Morozowa w Gogorodsku, gdzie w przeciągu trzech miesięcy wszystko sprzedano, przepito i tak zniszczono, że nie udało się maszyn uruchomić; kilka tysięcy ludzi zostało bez chleba.

Ryszard, jako człowiek uczciwy, był naogół lubiany, a miłość swą robotnicy posuwali do tego stopnia — zwłaszcza ludzie w starszym wieku, — że nazywali go wprost „Ty batiuszka nasz", czasem „gospodin mastier", lecz nigdy nie wołali do niego „towariszcz", gdyż wiedzieli, że tego strasznie nie lubi. W jakiemkolwiek nieszczęściu, czy biedzie, szli do niego o poradę, bo zdawali sobie sprawę, że on zawsze jest im życzliwy i czem tylko może, okazuje pomoc, nie pozwoli przytem dyrekcji skrzywdzić nikogo.

Majstrowie znajdowali się często między młotem

a kowadłem: z jednej strony obwiniani przez zarząd, który nie wchodził w żadne pobudki, ni przyczyny — z drugiej — narażali się u zrewoltowanych robotników. Doszło więc do tego, że jeśli robotnicy mieli zatarg z majstrem, lub uroili sobie, że jest im nieżyczliwy, wywozili go na taczkach. Wypadek taki nietylko, że był nieprzyjemny, lecz i bardzo dotkliwy, gdyż narażał na znęcanie się dzikiego tłumu nad bezbronnym, groził przytem prawie zawsze utratą kawałka chleba. Wszyscy więc majstrowie i wyżsi urzędnicy chodzili niepewni co i kiedy którego spotka, robotnicy zaś zachowywali się wyzywająco, jakgdyby starali się sprowokować zajście. Często zbierali się w kącie i paląc papierosy, godzinami przestawali bezczynnie, plotąc głupstwa na swych zwierzchników. Wrazie, gdy fragment rozmowy odbił się o uszy, ryzykowne było zwrócić im uwagę; wywoływało to bowiem niemiłe konflikty z czernią. Żeby więc uniknąć przykrych zajść, majstrowie patrzyli na niejedno przez palce, dzięki czemu robotnicy pewni bezkarności, posuwali się nieraz zbyt daleko. Ryszard jedynie, który choć był tylko przygodnym, a nie zawodowym majstrem, nie poddawał się żadnej presji i nie zmienił sposobu postępowania; odnosił się do podwładnych życzliwie i sprawiedliwie; za wszelkie jednak przewinienia gromił ostro nic sobie nie robiąc z pogróżek, które wychodziły właściwie nie z jego oddziału, a z innych, gdzie zrewoltowani robotnicy buntowali swych kolegów.

Pewnego razu rzekł do Ryszarda jego pomocnik technik Lewaszow:

— Ryszardzie Kajetanowiczu! Trzeba będzie usunąć woźnicę Agafonowa, który przeciw wam buntuje wszystkich robotników. Mści się za to, że nie pozwoliliście mu wyjechać do Moskwy wtedy, kiedy się upił. Można z nim łatwo zrobić porządek, bo często się upija, a przytem zaniedbuje pracę. Na jego miejsce weźmie się Kazancewa. Jest to porządny człowiek i umie doskonale chodzić koło koni.

— Nie, powiedział Ryszard, — narazie tego nie mogę zrobić, po pierwsze, że Agafonow jest obarczony dziećmi, z których dwoje posyła do szkoły, po wtóre, żona jego jest to bardzo dobra i pracowita robotnica. Zresztą ukarałem go, usuwając od pracy, przez co stracił zarobkowy dzień. Przytem nagadałem mu dobrze.

— Nie mówię, żeby go zupełnie wydalić, lecz usunąć od koni.

— No to straci na zarobku, bo dzień furmanów dochodzi nieraz do 12 godzin, zwłaszcza jak jadą do Moskwy. Agafonow, to silny chłop, nadający się do wożenia ciężarów i o ile nie pije, może być doskonałym furmanem; trzeba go tylko odzwyczaić od pijaństwa — dowodził Ryszard.

— Nie tak łatwo to zrobić. Jest on zdeklarowanym pijakiem i pod presją gorzałki daje się buntować innym, szczególnie robotnikom z malarskiego oddziału. Jest to grupa najbardziej rozwydrzona; niedawno swego majstra Gonczara wywieźli na tacz-

ce. Otóż Agafonow, namówiony przez tamtych, buntuje teraz naszych robtników, wobec czego najlepiej byłoby przenieść go do innego oddziału, żeby się z nimi nie stykał.

— Cóż w takim razie zrobimy z żoną, która pracuje tutaj?

— To i ją przenieście razem z nim.

— Nie, panie, nie chciałbym pozbywać się dobrej robotnicy, a przytem tamta robota niebardzo nadaje się dla niej. Jest to kobieta niezbyt już młoda.

— Jak pan uważa, boję się tylko, żeby ten „psubrat" nie nawarzył nam jakiego piwa.

Ryszard roześmiał się i rzekł:

— Co ma wisieć — nie utonie. Wreszcie nie należy być tchórzem.

Stosując się do tej zasady Ryszard pracował nadal, nie zmieniając taktyki.

Pewnego dnia wyznaczył 10 robotników do wykopania rowu na fermie, celem odwodnienia 12 hektarowego obszaru, który zamierzał dobrze uprawić pod zasiew ozimej pszenicy. Ludziom tym dodał dozorcę, wybranego z pośród starszych robotników i polecił mu pilnować, żeby wydajnie pracowali.

Około godziny 11 do kantorka, w którym właśnie Ryszard pracował, wszedł podniecony Lewaszow ze słowami:

— Trzeba pójść w pole i zobaczyć, jak oni pracują! Poprostu serce boli patrzeć na tych próżniaków! Palą tylko papierosy i jedzą słonecznik,

a w ciągu tych trzech godzin zrobili roboty zaledwie za jednego.

— Mają przecież dozorcę.

— Et, proszę pana, niewiele taki niedołęga może poradzić; nic sobie z niego nie robią. Więcej się boi, niż oni jego. Uważam, że nie nadaje się do tego i należałoby go zwolnić.

— Nie bylibyśmy w porządku, gdybyśmy takiego uczciwego robotnika zwolnili dlatego tylko, że jest stary. Pozbawiłoby się go jedynego sposobu do życia.

— To cóż mamy z nim zrobić? Na dozorcę się nie nadaje, a fizycznie pracować już nie może.

— Może dobry byłby na nocnego stróża? Wreszcie porozmawiam w tej sprawie z dyrektorem — rzekł Ryszard i poszedł w pole.

Gdy minął budynki fabryczne i znalazł się w polu, zdziwił się, nie dostrzegłszy robotników. Dopiero jak zszedł ze wzgórka, ujrzał ich siedzących koło jakiegoś kamienia i ćmiących machorkę, której nieprzyjemny zapach czuć było zdaleka. Dozorca Prokopow opowiadał im coś głośno, a oni pokładali się ze śmiechu. Zobaczywszy zbliżającego się Ryszarda, przycichli i podnosząc się powoli, kończyli palić papierosy. Następnie, nie spiesząc się, podnieśli porzucone łopaty i skierowali się wolno w stronę rowu.

Ryszard aż kipiał z irytacji. Nie rzekłszy jednak narazie ani słowa, wyjął z kieszeni składany arszyn i począł nim wymierzać wykopany rów. Skończywszy spytał Prokopowa:

— Powiedźcie mi, dlaczego tak mało wykopali?

Tamten, zrobiwszy zdziwioną minę odpowiedział pytaniem:

— Alboż to mało, proszę pana?

— Jakto, dziesięciu ludzi w ciągu czterech godzin nie wykopali nawet arszyna?

— Tu ziemia twarda, panie — i słońce bardzo dopieka.

— To jeszcze nie dowód, żeby fabryka miała wam płacić za próżniactwo. Powiniście się wstydzić, że tak źle spełniacie wasze obowiązki.

Prokopow bełkotał coś bez sensu, a Ryszard zwrócił się tymczasem do zbitych w gromadę ludzi:

— Słuchajcie, — rzekł, — w ten sposób pracować nie można. To poprostu nieuczciwie! Fabryka wam płaci za każdą minutę, a wy wylegujecie się na słońcu.

Wśród robotników podniósł się szmer. Wreszcie jeden z nich wysunął się naprzód i powiedział:

— Jeszcze my, panie majstrze, nie najgorsi. Po innych fabrykach ludzie mniej pracują i lepsze mają zarobki.

— Nic mnie nie obchodzi, co się dzieje gdzieindziej, wiem jedno, że wy nie możecie pracować na dniówkę, tylko na akord, według taksy.

Zwróciwszy się do Prokopowa dodał:

— Możecie iść do fabryki i tam wyznaczą wam inną robotę.

W gromadzie zrobiło się gwarno. Wszyscy podnieśli protest.

— Trudno — rzekł Ryszard — jeśli się wam nie podoba, jestem gotów zwolnić was od południa i przyjąć innych.

— A my co? zawołali zaczepnie.

— Dla was narazie nie mam zajęcia. Może dadzą wam pracę w składzie desek.

Któryś podniósł rękę do góry i zawołał:

— My tam nie chcemy, tylko tutaj!

— Nie mam nic przeciwko temu, ale zapłata będzie na akord. Jeśli się dobrze weźmiecie do roboty, to jeszcze dzisiaj możecie zarobić dwie dniówki.

— My nie mamy zdrowia tak harować! — wołali podnieceni.

Ryszard jednak postanowił nie ustąpić, wiedząc dobrze, że to ich tylko rozzuchwali. Odwrócił się więc i najspokojniej w świecie poszedł w kierunku fabryki. Tutaj natychmiast wydał polecenie, tyczące się robotników, Prokopowa zaś polecił przenieść na nocnego wartownika.

Na drugi dzień wpłynęła na Ryszarda skarga do komitetu fabrycznego. Tam jednak przyjął delegatów niejaki Nikitin, człowiek z natury spokojny i rozsądny. Przyznawał on Ryszardowi rację i starał się niezadowolonych uspokoić.

Mogło się było zdawać, że na tym sprawa zakończona, lecz robotnicy nie dali za wygrane i w kilka dni potem w południe, kiedy Ryszard był w fabrycznym pensjonacie na obiedzie, wpadł tam technik Lewaszow i wzburzonym głosem zawołał:

— Ryszardzie Kajetanowiczu, przyszedłem was uprzedzić, żebyście po obiedzie nie chodzili w kierunku stajni, gdyż tam robotnicy przygotowują dla was niemiłą niespodziankę.

— Cóż takiego? — zapytał Wąwolnicki.

— Agafonow podjudził wszystkich, kazał im się zebrać po obiedzie przed stajnią, sam zaś przygotował dla was worek na głowę i taczki. Chcą was wywieźć za bramę.

Ryszard był człowiekiem niespożytej energji; każda akcja pobudzała go natychmiast do czynu. To też usłyszawszy o co chodzi, podniósł się machinalnie, jak podbity sprężyną, gotów momentalnie do reakcji. Opanował jednak głos i spytał napozór spokojnie:

— Co na to powiedzieli inni?

— Rozmaicie mówią: jedni są przeciwko wam, drudzy zaś twierdzą, że jesteście dobrzy i szlachetni i nikt od was krzywdy nie doznał. Lecz pijany Agafonow ma swoich stronników i ci starają się innych przekrzyczeć. Sądzę, że będzie najrozsądniej nie pokazywać im się dzisiaj na oczy, ja tymczasem pójdę i postaram się tłum ułagodzić.

— Kiedy ja się zupełnie tych głupców nie boję i nie poczuwam się do żadnej winy. Jeślibym do nich nie poszedł, wtedy dopiero groziłoby mi niebezpieczeństwo na każdym kroku. Najlepiej prawdzie zajrzeć w oczy.

— Myślę, że zrobicie bardzo lekkomyślnie, — rzekł Lewaszow. — Gotów jestem załatwiać za was wszystkie czynności, jakie macie nazewnątrz fabryki.

— Jestem tego zdania, że robotnik nie powinien nawet przypuszczać, że jego zwierzchnik tchórzy. Bardzo wam dziękuję za życzliwości i za to, żeście mnie uprzedzili. Gdy skończę obiad, natychmiast pójdę do nich.

Powiedziawszy to, Ryszard powrócił do stołowego pokoju i kończył przerwany obiad, dowcipkując i rozmawiając z współbiesiadnikami, jakgdyby nic nie zaszło.

Gdy po obiedzie wyszedł na ulicę, podszedł do niego woźny ze słowami:

— Pan dyrektor prosi zaraz do gabinetu.

Wąwolnicki, rad nie rad, musiał zastosować się do polecenia i po chwili rozmawiał już z sekretarzem dyrektora, niejakim Kojmansem, zacnym Holendrem, z którym łączyły go serdeczne stosunki. Wkrótce wszedł do gabinetu sam dyrektor. Obydwaj wiedzieli, co tłum przygotowuje dla Ryszarda i zaczęli go namawiać, aby nie ryzykował i nie pokazywał się wśród wzburzonych robotników.

Ryszard roześmiał się:

— Dyrektorze — rzekł — z tymi ludźmi najlepiej zagrać w otwarte karty. Ponieważ nic nie mam na sumieniu, to nawet z pewną satysfakcją zmierzę się z ich głupotą.

— Naszym obowiązkiem było ostrzec pana. Muszę przypomnieć, co spotkało niedawno dwóch innych, którzy się znaleźli w podobnej do pana sytuacji.

— Tak, lecz oni obydwaj byli nietaktowni i traktowali podwładnych gorzej bydła.

— Ma pan słuszność, co jednak nie przeszkadza, że dzisiejszy zatarg może się źle zakończyć.

Kiedy Ryszard pożegnał się i poszedł w kierunku stajni, obaj ci panowie stanęli przy oknie, chcąc widzieć, co się dalej stanie.

Ryszard szybkim krokiem podszedł do tłumu. Już zdaleka widać było Agafonowa, który, coś żywo dowodząc, gestykulował rękami. Ujrzawszy Wąwolnickiego tak blisko, wszyscy ucichli, on zaś spokojnie wszedł, jak codzień, do stajni i spojrzawszy na zegar, który tam wisiał, rzekł:

— Zaprzęgajcie konie, bo już na was czas.

Nikt się jednak nie ruszył; jedni stali przed drzwiami, inni zaś dłubali coś koło uprzęży.

Gdy Ryszard ponowił wezwanie, w tłumie ozwał się nieprzychylny pomruk. Wąwolnicki podszedł do drzwi i stanął naprzeciw niezadowolonych. Wtedy któryś szturchnął Agafonowa i zawołał:

— No zaczynaj!

Tamten jednak, przestępując z nogi na nogę, milczał chwilę, poczem rzekł ze złością:

— Zaczynaj ty sam!

Przekomarzali się tak dość długo. Inni stali niezdecydowani, nie wiedząc co dalej począć. Ryszard zaczął tracić cierpliwość i odezwał się:

— Mówcie, o co wam chodzi, a jak nie, to marsz do pracy.

Wówczas jeden z robotników, stojący za Agafonowem, popchnął go ku przodowi i krzyknął:

— Teraz stoisz, jak głupi, a przedtem to ci się gęba nie zamykała.

Agafonow, pobudzony kułakiem do czynu, wykrztusił wreszcie:

— My ciebie, panie majstrze, postanowiliśmy wywieźć na taczce.

— Doskonale — rzekł Ryszard, — tylko mi powiedźcie, zacóż to ma mnie taki despekt spotkać?

Nastała cisza. Agafonow bezradnie zacierał ręce.

Gdy wreszcie Ryszard spojrzał na niego groźnie, przestąpił z nogi na nogę i odchrząknąwszy, rzekł:

— Pan majster poobrywał nam płace.

— Kiedy i komu?

— Mnie za pół dnia, a innym także.

— Łżesz, mój kochany. Nie dostałeś za cały dzień zapłaty, boś się upił i nie mogłeś pojechać do Moskwy. Tamci zaś musieli pracować na akord, gdyż nie opłaca się to inaczej. Czy więcej nie macie do mnie pretensji. Proszę tylko mówić prędko, bo niema czasu.

Ale tłum milczał. Po jakimś czasie wysunęła się naprzód żona Agafonowa, starsza kobieta i zwróciwszy się do tłumu, zawołała głośno:

— Ludzie, nie bądźcie głupi! Nasz majster już dwa lata jest z nami, a nikomu żadnej krzywdy nie zrobił. On biednemu zawsze dopomoże. Jak kiedyś dyrektor za namową komitetu chciał z nas 15 kobiet usunąć, a na ich miejsce przyjąć 15-u zdemobilizo-

wanych żołnierzy, to właśnie nasz majster na to się nie zgodził. Sama słyszałam, jak się z dyrektorem sprzeczał. Dzięki temu do tej pory na chleb możemy zarobić. Czy inny byłby tak dobry? Czy chciałby się dyrektorowi narażać? Wszyscy się go przecież boją, jak ognia.

Tu Agafonow splunął i zawołał:

— Wynoś się stąd przeklęta babo!

Lecz ona, zaperzona, nie tak łatwo dała się odstraszyć. Zaczęła też groźnie, natrząsając pięścią, wymyślać mu od pijaków i awanturników.

Wszystkie oczy zwróciły się ku tym dwojgu, którzy, wśród wzajemnych wymysłów, zaczęli się okładać pięściami. Pierwsza rozpoczęła żona. On narazie zgłupiał przez chwilę, i ten właśnie moment uratował Ryszarda, gdyż tłum ubawiony sytuacją, gruchnął donośnym śmiechem. Skończyło się zwycięstwem baby. Agafonow, jak niepyszny, cofnął się ku tyłom.

Ryszard patrzał i uśmiechał się z politowaniem, wreszcie odezwał się do zgromadzonych:

— Musicie zrozumieć, że jako wasz zwierzchnik, nie mogę tolerować próżniactwa, gdyż muszę stawać w obronie interesów tych, którzy mi płacą i wam również dają możność zarabiania na życie. Jeśli uważacie, że wam się krzywda dzieje, to — dokończył głośno — możecie mnie wywieźć na taczce.

Znów zapanowało milczenie i wśród tłumu nastąpiła konsternacja, więc Ryszard ponownie zabrał głos:

— No cóż, nic nie mówicie, więc widać nie życzycie sobie ze mną pracować?

Wówczas wyszedł z gromady średnich lat robotnik i obejrzawszy się w koło, zawołał.

— Rebiata! Odrazu mi się nie podobała cała ta sprawa i wasze postępowanie. Komitet wam mówił, że nie macie racji i wszyscy rozsądni ludzie to samo orzekli, a wyście chcieli gwałt uczynić bez żadnej przyczyny. Powiadacie, że wam dadzą nowego majstra Rosjanina. I cóż byście na tem wygrali? Nie będzie on miał w administracji takiego posłuchu, jak ten i za łyżkę soczewicy da się zawsze przekupić. Nasz jest sprawiedliwy i powinniśmy go uszanować. Nie pozostaje więc nic innego, jak przeprosić go i iść do swej roboty.

Wśród tłumu padały głosy uznania. „Racja"! „Racja! wołali, „nie chcemy innego". W tem ktoś zawołał:

— Nie wiadomo poco słuchamy takiego durnia, jak Agafonow.

Ryszard odezwał się:

— Z tego, co tu słyszę, wnioskuję, że chcielibyście mieć za majstra swego ziomka — i pod tym względem macie zupełną słuszność. Dlatego też dziękuję wam za współpracę i postanawiam się usunąć.

Wtedy podniósł się gwar zmieszanych głosów. Wołali, żeby nie odchodził, że nie chcą kogo innego, a wreszcie, że go nie puszczą. Lecz Ryszard nie odezwał się do nich więcej. Szedł spiesznie od stajni w kierunku budynku, w którym mieszkał. Wszedł

do swego pokoju, zrzucił czapkę i marynarkę, a otworzywszy okno, siadł koło niego, aby odpocząć.

— Czyż można mieć do nich urazę — myślał, — przecież to dorosłe dzieci.

Naraz usłyszał na schodach jakieś szmery, ktoś stuknął delikatnie do drzwi, a gdy je wreszcie otworzył, ujrzał kilka starszych kobiet z Agafonową na czele. W korytarzu i przed domem musiało być więcej ludzi, gdyż zgiełk dolatał aż do pokoju. Kobiety w milczeniu przestąpiły próg, a jedna z nich, sześćdziesiąt lat mająca, niejaka Protasowa, podszedłszy do Ryszarda bliżej, głęboko mu się skłoniła i rzekła:

— Panie, nie rzucaj nas! Chcielibyśmy pracować z wami, dokąd nie będziecie musieli wracać do swojej ojczyzny.

Ryszard czuł się wzruszony. Poprzednie przejście wzburzyło go, i mimo, że nie okazywał tego po sobie, był wytrącony z równowagi. Rzekł więc serdecznie:

— Cieszę się, iż odczuwacie moją życzliwość. Dobrze, że jesteście sprawiedliwe. Biedny, czy bogaty, pan, czy chłop, powinni sobie zawsze życie ułatwiać, a nie utrudniać. Nie zapomnę nigdy, jakżeście się w stosunku do mnie zachowały, ale pracować dłużej z wami nie będę.

Podniósł się protest, a wtedy Ryszard dodał:

— Mimo, iż wy uznajecie, że jestem sprawiedliwy, lecz mężowie wasi są wręcz odmiennego zdania zdania.

— Ależ panie, to oni nas tu właśnie przysłali i kazali nam przepraszać. To co się stało, to sprawa Agafonowa i tych paru, co rów kopali.

— Już ja tego bydlaka, mego starego — zawołała Agafonowa — nauczę w domu rozumu. Nie będzie się więcej awanturował. A teraz nie gniewajcie się na nas, panie majstrze. Za drzwiami stoją robotnicy, którzy chcieliby was przeprosić i obiecać, że się to więcej nie powtórzy.

Otworzyły się drzwi. Do pokoju weszło kilku starszych, a jeden, kłaniając się głęboko, rzekł z pokorą:

— To źli ludzie nas namówili, za co my ciebie panie, stokrotnie przepraszamy i prosimy, żebyś nas nie porzucał. Obiecujemy, że żadna przykrość cię więcej nie spotka. W razie jakich nieporozumień, załatwimy je między sobą.

— No, dobrze, moi kochani, spróbuję was posłuchać i póki nie wyjadę do kraju, zostanę z wami. Jeden wam tylko stawiam warunek: chcieliście mnie wywieźć za bramę na taczkach. Teraz ja żądam, żebyście mnie wwieźli na nich do fabryki. W ten sposób zadokumentujemy, kto miał słuszność.

— Zgoda — rzekli rozweseleni — zrobimy tak, jak sobie nasz kochany pan majster życzy.

Sprawa ta przedostała się do wszystkich prawie robotników oddziału Ryszarda i tych kilkudziesięciu zgromadziło się na trotuarze koło domu, w którym Ryszard mieszkał. Niebawem jeden ze starszych furmanów sprowadził taczki, na której przysztykowano siedzenie i okryto je dywanem. Około

taczki postępowali wszyscy woźnice. Obok nich szli inni robotnicy i robotnice, śpiewając „czerwony sztandar". A kiedy ustawili taczkę koło mieszkalnego domu, kilku starszych robotników poszło po Ryszarda. Powitano go przyjaznemi okrzykami. Ani się spostrzegł, jak wjechał na plac stajenny.

Po skończonej manifestacji, wszyscy rozeszli się do swych zajęć.

Całe zajście, przekazywane z ust do ust, znane było całej fabryce i stało się przyczyną wielkiej popularności Ryszarda.

Rozdział XII.

NA HERBATCE U PANI KORSAKOWEJ.

Wypadek, jaki miał miejsce z robotnikami, mimo, iż został załatwiony na korzyść Ryszarda, wzbudził w nim niechęć do wykonywanej pracy. Wprawdzie koledzy byli dlań z wielkiem uznaniem, dyrektor nie miał dość słów dla określenia taktu, zimnej krwi i przewagi nad tłumem. Ryszard jednak nie czuł się dobrze; codzień większe wyczuwał podniecenie. Wzmogła się także tęsknota do kraju. Komitet Polski już nie istniał, gdyż nietylko, że nie miał żadnych środków, lecz wszelkie sprawy załatwiali Bolszewicy, wyłaniając z pośród siebie komisarjat do spraw polskich. Na komisarjat ten nie mógł Ryszard liczyć, gdyż, niestety, nie miał na swem czole pieczątki „esencjonalnego Bolszewika". Zwrócił się więc o poradę do jednego, może z najpracowitszych i najuczynniejszych matadorów dawnego komitetu, pana Wacława Purskiego, wiedząc, iż nie odmówi mu swej rady. Kiedy przyszedł, ten go zapytał:

— No, co tam pan nowego nam powie?

— Panie prezesie! Już nie mogę tu dłużej wytrzymać; chciałbym jaknajprędzej wracać do kraju.

— Bardzo dobrze! A czy robił pan jakie starania?

— Tak, zwracałem się do Mirbacha, mając nawet polecający list z administracji tej fabryki, w której obecnie pracuję.

— No i jaki to skutek odniosło?

— Odmówił mi.

— To było do przewidzenia.

— Więc co mam teraz zrobić? Niech mi pan z łaski swej poradzi.

— Radziłbym zwrócić się z pisemnem podaniem do komisarza Leszczyńskiego na Powarskiej ulicy. Niech się pan powoła na swą przynależność do Polski i dołączy odpisy swych papierów.

— Mówili mi — rzekł Ryszard, — że podobno inteligencji celowo nie wydają przepustek, gdyż chcą najpierw wysłać proletarjat.

— Niech pan jednak spróbuje, może tym razem się uda. Trzeba się osobiście zobaczyć z komisarzem i przedstawić mu konieczność wyjazdu. Najważniejsze, żeby pana przepuszczono do Orszy. Tam bowiem, jako na granicy demarkacyjnej, stoją Niemcy i dopiero oni przepuszczają dalej, a właściwie do Mińska, skąd już transportami rozsyłają wygnańców do przynależnych im miejscowości. Mogę przytem panu służyć listem do naszego przedstawiciela, który mieszka w Orszy. Być może, że panu wiele rzeczy ułatwi.

— Bardzo serdecznie dziękuję. W najbliższych dniach gorliwie się wszystkiem zajmę.

Zebranie odpowiednich dowodów i przeróżnych papierów pochłonęło Ryszardowi wiele energji i pracy. Postanowił jednak tym razem nie opuścić żadnej możliwości. Należało również pomyśleć nieco o bieliźnie i garderobie, gdyż chodziły wersje, że Niemcy tak dalece wszystko z Warszawy wywieźli, iż dużo rzeczy pierwszej potrzeby albo nie można zupełnie kupić, albo kosztują zbyt drogo.

Mimo, iż konkretnie nie było nic jeszcze załatwione, podświadomie czuł, że tym razem uda mu się dopiąć swego. Dlatego też, nie mówiąc o tem nikomu, przygotowywał się powoli do podróży. Nie wspominał o tem swoim najbliższym, a w szczególności Nadieżdie Korsakowej, gdyż chciał odsunąć jaknajdalej wiadomość, która ją miała zasmucić.

Pewnego razu, kiedy wieczorem wstąpił do Własowych za interesem, spotkał tam na herbacie panią Nadieżdę. Przy stole toczyła się przyjemna rozmowa, w której pani Korsakowa opowiadała o swej bytności podczas wojny światowej w Warszawie. Warszawa podobała się jej bardzo ze swego wspaniałego położenia nad Wisłą, a przedewszystkiem z cudnych Łazienek, z pięknym i oryginalnym pałacem. Ryszard uzupełniał jej wrażenia, przedstawiając Warszawę przedwojenną we właściwem świetle, opisując jej wszelkie strony dodatnie, lecz narzekając na złe gospodarstwo władz rosyj-

skich, które jakby naumyślnie nie chciały, żeby się miasto rozwijało. Na to odezwał się pan Własow:

— Przecież Warszawa jest centralnem miastem handlu azjatycko-europejskiego, o czem głosi nasza historja i geografja.

— Tak, cały tranzyt ze wschodu na zachód i odwrotnie przechodzi przez Warszawę. Tam też zjeżdża się kupiectwo prawie całej Europy. Miasto jest ożywione, kulturalne, lecz rząd rosyjski nie dbał i nie przeprowadzał żadnych inwestycji. Mam tylko nadzieję, że jak opuszczą nas opiekunowie, którzy umieją jedynie skórę ściągać, Warszawa stanie się jednem z ładniejszych miast Europy.

Po herbacie, kiedy się pożegnali z Własowymi, Ryszard odprowadził Nadieżdę Korsakową do domu. Po drodze zwróciła się do niego ze słowami:

— Chciałabym, żeby mi pan powiedział, dlaczego mnie pan od pewnego czasu unika?

— Chyba to nieuzasadnione wrażenie.

A jednak mam niezbite dowody: bywa pan u nas obecnie tak rzadko, a gdy wreszcie przyjdzie, to po upływie pół godziny wychodzi. Sprawia mi to niewypowiedzianą przykrość, gdyż jest pan dla mnie najdroższym człowiekiem na świecie. Nie poczuwam się do żadnej winy i dlatego nie wiem, czemu mam ową zmianę przypisać.

— Mogę pani zaręczyć, że lubię ją bardzo i cenię jej szlachetność, lecz sprawa powrotu do kraju pochłania mi wszystkie wolne chwile.

— Prawda, że dusza wasza i serce dawno stąd odleciały i tylko jeszcze ciało się kołacze. Przez pamięć jednak na wszystkie chwile wspólnie spędzone, nie powinien mi pan okazywać swej obojętności, rzekła chwytając go za rękę i patrząc głęboko w oczy.

Ryszard był wzruszony. Starał się zapanować nad chęcią przygarnięcia jej serdecznie i zcałowania smutku, który miała w oczach. Rozumiał jednak, że jeśli do tej pory nie zostały nawiązane serdeczniejsze węzły, to tembardziej, w przeddzień rozstania nie należało nic komplikować. Rzekł więc, siląc się na pozorną obojętność:

— Zasługuje pani na to, aby być szczęśliwą. Jakże często myślę o was i jakże pragnąłbym się przyczynić, aby wszystkie troski w radość zamienić się mogły. Lecz niestety! Niewiele w tym kierunku mogę uczynić.

— Wiem, że wasz powrót do Polski, to największa między nami zapora. Rozumiem jedno: jeśli wszyscy Polacy są takimi, jak wy, patrjotami, którzy stawiają ojczyznę na pierwszem miejscu, to naród wasz nigdy nie zginie.

Jednym ruchem przygarnęła się do jego piersi i tuląc się serdecznie, dodała:

— Jakże mi trudno będzie o was zapomnieć.

— I ja was, Nadieżdo, zawsze w swem sercu i myśli mieć będę — odpowiedział Ryszard, wyciskając prawdziwie braterski pocałunek na jej czole.

Pod osłoną pięknego, wiosennego wieczoru i za-

pachu rozkwitłych krzewów, znajdujących się w ogródkach, koło których przechodzili, wyglądało to na jakąś miłosną scenkę, tak często zdarzającą się w majowe wieczory. Naprawdę jednak były to chwile niezbyt przyjemne dla Ryszarda, gdyż z trudem panował nad sobą, by sprostać zadaniu, jaki los przed nim postawił.

Gdy doszli wreszcie do domu, gdzie mieszkała Nadieżda Korsakowa, ta rzekła mu na pożegnanie:

— Mam do pana prośbę: w niedzielę wieczorem będzie u nas herbata, na którą zaprosiłam kilka znajomych osób. Prawda, że pan przyjdzie?

— Cóż to za uroczystość, jeśli wolno zapytać.

— Zwyczajne skromne przyjęcie, tak zwane osieddliny, o które się już Własow przymawia.

— No, to trzeba kupić wódki, a nie wiem, czy wy dostaniecie.

— Nie trzeba. Mamy trochę wiśniówki.

— Ja wam jeszcze butelkę czystej przyniosę, bo Własow najbardziej ją uznaje.

— W takim razie dam zaraz pieniądze.

— Zwróci mi pani potem, nawet nie wiem ile kosztuje.

Kiedy w chwilę potem całował ją na pożegnanie w rękę, Nadieżda Korsakowa objęła go lewą ręką za szyję i uroczyście pocałowała w czoło. Był to typowy rosyjski pocałunek pojednania. Miał w sobie tyle wiary i mocy, że zdołał zmienić bieg myśli Ryszarda. Zaczynał się wahać.

— A jednak, myślał, ona jest zacna i miła. Moż-

naby śmiało iść z nią przez życie i nie lękać się, że zawiedzie. Lecz jakże? My biedni wygnańcy, rozproszeni po całym świecie, powinniśmy stać na straży polskości. Jeśli nawet będzie najlepszą żoną, nic nie zdoła w niej zatrzeć piętna cudzoziemki. Nie będzie zdolna przelać do duszy swych dzieci, ani patrjotyzmu, ani umiłowania tradycji.

Wszedłszy do swego pokoju, otworzył narozcież okno; zapach rozkwitłych drzew wdarł się szeroką falą. Oparł się o parapet i oddychał pełną piersią. Czuł się bardzo osamotniony. Gdyby Nadieżda Korsakowa znalazła się w tej właśnie chwili obok niego, byłby ją chwycił w ramiona, szukając ucieczki przed tęsknotą, która zalewała mu serce.

Siedział tak długo, zapatrzony w niebo, po którem mknęły obłoki, osrebrzone światłem księżyca.

— Świeci on tak samo nad Warszawą, pomyślał. Niezadługo muszę tam jechać. Bóg może pozwoli stworzyć sobie domowe ognisko z kobietą, która nietylko mnie kochać będzie, lecz i ja ją również całem sercem pokocham.

W niedzielę wieczorem u pani Korsakowej zastał Ryszard dość liczne towarzystwo, zebrane w skromnie, lecz schludnie umeblowanym pokoju, który nosił nazwę bawialni. Na kanapie i krzesłach, rozstawionych wokół obszernego stołu, przykrytego piękną wełnianą serwetą, siedziało kilka osób, prowadząc ożywioną rozmowę. Były to przeważnie panie. W drugim końcu pokoju przy niewielkim sto-

liku usadowił się Własow i gawędził z bezrobotnym adwokatem Woźnickim. Był to mąż kuzynki pani Korsakowej.

Ciocia, wziąwszy Ryszarda pod rękę, poprowadziła go do pań ze słowami:

— Przedstawiam wam naszego najlepszego opiekuna i przyjaciela.

W ciągu kilku minut Ryszard zaznajomił się ze wszystkimi i czuł się swobodnie, jak u siebie w domu. Zresztą, prócz państwa Woźnickich, których spotykał po raz pierwszy, wszyscy dobrze się znali. Nawet dwie miejscowe nauczycielki, młode jeszcze panny, widywał często na ulicy.

Potoczyła się ogólna rozmowa na tematy bieżące. Omijano jednak kwestje zbyt drażliwe, ze względu na obecność Własowa, jako komisarza Bolszewickiego rządu. Wszystkich interesowała bardzo cena artykułów spożywczych i przedmiotów pierwszej potrzeby. Narzekano na brak pieniędzy. Własow pocieszał, że najdalej za rok wszystko się unormuje i w całym kraju zapanuje raj na ziemi.

— Bardzo żałuję, że nie zobaczę tego raju, gdyż za rok będę już w swej własnej ojczyźnie — odezwał się Ryszard, uśmiechając się dyskretnie.

— Będzie pan tego żałować. Wiadomo przecież, że Rosja jest bogata. Ile ma w swej ziemi cennych minerałów, szlachetnego kruszczu, brylantów. Same góry Uralskie lub Kaukazkie zawierają w sobie niezliczone skarby. Ziemia tak płodna. Miejscami urodzajna, jak nigdzie w Europie.

— Że urodzajna, to prawda, sama jednak nie urodzi; trzeba ją umiejętnie i pracowicie uprawiać. Góry zaś, o których pan mówi, nie są właściwie rdzennie rosyjskie i na dobrą sprawę nie powinny do niej należeć. Najważniejszej przytem rzeczy wam brakuje: odpowiednich rąk do pracy.

— Jak to pan rozumie?

— Chłop rosyjski nie chce pracować i nie umie. Być może, że „kułaki" potrafią pracować, lecz potraktowani po macoszemu, zniechęcili się i nie dają z siebie tyle, ileby mogli. Owa druga kategorja — małorolni — których nazywacie „biedotą", to zdeklarowani próżniacy, zdemoralizowani obecnie programami i rozpolitykowani według nowych ciasnych pojęć: „wsio do rownawo rozdieła" *). Ludzie ci, to element ciemny i prymitywny. Dużo wody upłynie i wiele pracy włożyć trzeba będzie, zanim się coś z nich wyrobi.

— Pan się myli — powiedział z zapałem Własow — nasze organizacje, jeśli trzeba będzie, to siłą dojdą do wszystkiego. Przełamią upór „kułaków", biedotę zaś zmuszą do przyjęcia odpowiedniej kultury i wydania z siebie owocnej pracy. Co się zaś tyczy terenów, na których są bogactwa mineralne, to chociaż zamieszkane są przez narody nierdzenno rosyjskie, związane z Rosją pod każdym względem, nie mogą nawet marzyć, aby się co zmieniło.

— Czas pokaże, czy wszystko uda się według za-

*) Wszystko do równego podziału.

mierzeń, rzekł Ryszard pragnąc zamknąć dyskusję, która wkraczała na niebezpieczne tory.

Na pomoc zresztą przyszła pani Korsakowa, która oznajmiła, że kolacja podana. Przy stole dość obficie, jak na owe czasy, zastawionym, potoczyła się ogólna dość ożywiona rozmowa. Ryszard siedział obok pani domu. Dnia tego wydała mu się piękniejsza, niż zwykle. Rozmawiała mało, nie mogła się jednak oprzeć pokusie, aby od czasu do czasu nie zajrzeć mu głęboko i serdecznie w oczy.

Gdy potem całe towarzystwo znów się znalazło w bawialni, Własow zdjął wiszącą na ścianie gitarę i zaczął wygrywać tęskne dumki i cygańskie romanse. Obie nauczycielki i pan Woźnicki zaśpiewali dość miłymi głosami. Reszta, zapomniawszy o troskach, słuchała, tonąc we wspomnieniach, każdy na swój sposób.

Ryszard nie mógł usiedzieć. Machinalnie podniósł się i zaczął spacerować po pokoju. Tęsknie śpiewane melodje zamiast go uspokić, wprowadziły w stan podniecenia.

— Niewiele im potrzeba, myślał, aby zapomnieć mogli o tem, co ich boli. My, Polacy, widocznie z innej jesteśmy gliny. Nie tak łatwo zagłuszyć poczucie krzywdy i pamięć niewoli! Raptem uprzytomnił sobie, że właściwie wśród tych miłych skądinąd ludzi czuje się zupełnie obco. Być może, że kilka taktów Chopinowskiego mazurka rozwiałoby to wrażenie. Tymczasem tamci, rozochoceni wódką, wyśpiewywali coraz głośniej i coraz weselej.

W pewnym momencie Nadieżda Korsakowa stanęła przed nim i rzekła:

— Widocznie nudzi się panu, skoro nie przyjmuje udziału w ogólnej zabawie.

— Nie nudzę się, lecz podziwiam, jak niewiele ludziom potrzeba, aby się dobrze czuli: trochę alkoholu, jedna bałałajka, a już jest nastrój i humor.

— Obie nauczycielki to jeszcze młode panienki,— rzekła, przechodząc do stołowego pokoju i prowadząc za sobą Ryszarda, — nic dziwnego, że są wesołe; nie miały żadnych przeżyć i na wszystko patrzą różowo. Nawet rewolucja nie wydaje im się czemś strasznem. Podziwiam natomiast mego szwagra, przyzwyczajony do dobrobytu, obecnie żyć musi z tego, co sprzedadzą, a jednak nie traci humoru. Wprawdzie zawsze miał taką naturę, że się niczem specjalnie nie przejmował.

— Bardzo praktyczne usposobienie. Tacy ludzie zwykle dłużej żyją.

— No a Własow? Czy sądzi pan, że jest on zdeklarowanym Bolszewikiem?

— Nie — i nigdy nim nie będzie. Jest to raczej karjerowicz. Umie się bez specjalnych skrupułów przystosować do potrzeb chwili. Ponieważ ma dość dobre wykształcenie i dużo sprytu, w obecnych czasach, gdzie brak dobrych urzędników, może zajść na wysokie stanowisko. Uczynność i dobre serce, jakie go cechuje, może się niejednokrotnie przydać bliźnim, szczególnie inteligencji, która obecnie jest źle

widziana. Dzisiaj jest w specjalnie dobrym humorze, jak zresztą wszyscy.

— Jeśli o mnie chodzi, rada jestem mym gościom, jednak wesołą być nie mogę. Mam wrażenie, że nastrój beztroski nigdy już dla mnie nie wróci.

— Jeszcze jest pani młoda. Niewiadomo, co przyszłość przyniesie. To jednak pewnik, że czas pozwoli zapomnieć o tem co teraz dolega.

— Nie tak to łatwo, proszę pana, widzę wyraźnie, że zawsze szczęście mnie omija. Już raz straciłam drogiego człowieka, teraz znów drugiego utracę. Nie mogę sobie wprost wyobrazić, jak bez was będę istnieć.

— Czas jest, jak wiatr...

— O, nie! Czyż doprawdy nie widzisz, że cię kocham, — zawołała, zarzucając mu ręce na szyję.

Spojrzał jej w oczy. Gorzały, jak brylanty. Z trudem pohamował odruch, aby zcałować z nich żal i udrękę.

Jakby wyczuwszy jego wahanie, przytuliła się do niego i rzekła:

— Cóżem ja winna, że przykułeś mnie do siebie swoją dobrocią. Teraz widzę, jak się oddalasz ode mnie bezpowrotnie i porzucasz nazawsze. Pomyśl, czy będę mogła poraz drugi w życiu znieść takie tragiczne rozstanie? Okrutna jest twoja Ojczyzna, ponieważ zabiera mi ciebie.

Te ostatnie słowa zbudziły w nim czujność. Nie mógł ulec jej czarowi i skomplikować i tak już smutne przeżycia. Opanowanym głosem powiedział:

— To prawda, że was unikałem. Oto najlepszy dowód uczuć i uczciwości. Jakże mi trudno nie wyciągnąć do was rąk. Niewielka przestrzeń dzieli moją dla was sympatję od najgorętszej miłości. Nie wolno mi jednak przekroczyć żadnego rubikonu, gdyż potem nie mógłbym ani uciec od was, ani z wami pozostać.

— Drogi Ryszardzie, niema dziś takiej ofiary, jakiejbym dla ciebie nie poniosła. Jestem gotowa na każde skinienie, chciałabym, abyś zrozumiał, że jedno tylko najbardziej do szczęścia mi potrzebne: móc patrzeć na ciebie i mieć świadomość, że jesteś blisko.

Uczuł gorący oddech na swej twarzy i jak przez mgłę ujrzał pąsowe wargi, podane do pocałunku. Objął ją ręką za szyję. Zapomniał w tym momencie o wszystkich argumentach, jakimi ją przed chwilą zasypał. Nachylił się ku niej, tuląc ją mocno do piersi, lecz nagle tuż za niemi ozwał się głos ciotki. Przypomnieli sobie, że nie są sami. Odskoczyli raptownie od siebie.

Ryszard przytknął do szyby pałające czoło. Za oknem nie było nic widać. Patrzał zresztą bezmyślnie w próżnię.

Później dopiero, gdy znalazł się w swoim pokoju, uprzytomnił sobie, jak niewiele brakowało, by uległ pokusie. Analizując całe zajście, doszedł do wniosku, że nie powinien tam więcej chodzić.

— Uczciwiej będzie — pomyślał — nie dodać już nic do udręki.

Rozdział XIII.

NIESPODZIEWANE SPOTKANIE W KOMITECIE BOLSZEWICKIM.

Na drugi dzień Ryszard z przygotowanemi papierami pojechał do Moskwy starać się o upragnioną przepustkę, która umożliwiłaby jego powrót do kraju. Żył teraz tą jedną myślą. Radby był przerwać wszystkie nici, wiążące go z Rosją.

Wchodząc do gmachu, w którym się mieścił komisarjat, drżał na samą myśl, że go znów czeka odmowa. Kiedy w obszernej poczekalni oczekiwał swej kolei, spostrzegł średnich lat panią, która z papierami w ręku przechodziła z jednego pokoju do drugiego. Jej twarz wydała mu się znajoma; nie mógł jednak sobie przypomnieć, gdzie ją widział i kiedy. Gdy po chwili znów przeszła przez salę, podszedł do woźnego i spytał:

— Jak się ta pani nazywa?

— Jest to pani Frylingowa z Warszawy.

— Czy żona dziennikarza?

— Tak, proszę pana. Pan Fryling też tutaj bywa, lecz obecnie wyjechał na kilka dni do Piotrogrodu.

Ryszard poprostu się ucieszył, znał bowiem Frylinga jeszcze z czasów rewolucji rosyjskiej w 1905 roku. Pracował on wtedy w „Kurjerze codziennym", z którą to redakcją Ryszard utrzymywał stosunki. Przypomniał sobie jednocześnie, że kiedyś, gdy był w redakcji poznał panią Frylingową. Tak, to była ona. Bez namysłu więc dał służącemu bilet wizytowy, aby go do niej zameldował. Wprowadzono go natychmiast do gabinetu. Powitany nadwyraz uprzejmie, powiedział jej o celu wizyty, wspominając Warszawę i redakcję.

Widocznie były to tematy miłe pamięci, gdyż z prawdziwym zainteresowaniem słuchała każdego szczegółu.

— Jaka szkoda — rzekła — że mąż mój wyjechał. Lubi rozmawiać o tych dawnych czasach. 1905 rok dużo nas kosztował emocji. Stanowiliśmy wtedy jeden wspólny front przeciw zaborcom.

— Tak, ma pani słuszność. Sam należałem do polskiej partji postępowej, pani zaś mąż do socjalistycznej, a mimo to nie wyczuwaliśmy między sobą żadnych różnic.

— Uważam, że inteligent zawsze się może porozumieć i każdą kwestję omówić spokojnie.

— Czy mógłbym spytać, kiedy małżonek pani powróci?

— Za kilka dni. Może jednak i ja mogłabym panu w czemkolwiek pomóc?

— Skierowano mnie tutaj do komisarza Leszczyńskiego, gdyż chciałbym bardzo uzyskać zezwolenie na powrót do kraju, skąd zostałem wywieziony przez władze rosyjskie.

— Jest to dość trudna sprawa. Komisarz Leszczyński postawił sobie za warunek wysłać najpierw proletarjat roboczy, który, jak twierdzi, znajduje się w opłakanem położeniu. W Polsce natomiast robotnik jest potrzebny, ponieważ Niemcy dużo ich wysłali do siebie.

— Właśnie słyszałem o tem; chociaż jestem również robotnikiem, z tą tylko różnicą że umysłowym, przewiduję, iż zaliczy mnie do kategorji inteligentów i włączy do ogólnej branży burżujów, wobec czego pozwolenia nie dostanę.

— Może nie będzie tak źle; odróżnia przecież inteligetnego pracownika od przedstawicieli rozleniwionej burżuazji. Niechaj pana nie dziwią jego zarządzenia; nie są on pozbawione słuszności. W interesie dobra naszej ojczyzny należy otoczyć najdrobniejszy i najliczniejszy proletarjat staranną opieką. Wracając do sprawy pana — będziemy próbować, a może się uda. Ja ze swej strony uczynię wszystko co będę mogła. Czy ma pan ze sobą podanie i papiery?

— Tak, pani, lecz oprócz siebie, mam jeszcze na opiece młodzieńca, częściowo ułomnego, którego Moskale aresztowali i podczas wojny wywieźli do Rosji. Pracuje w tej samej co ja fabryce. Przyzwyczaiłem

się do niego i chciałbym żeby wrócił ze mną do kraju.

— Nie wiedziałam, że pan pracuje w fabryce.

— Zdziwi się pani jeszcze bardziej, gdy dla ścisłości dodam, iż zajmuję tam stanowisko majstra. Tak się jednak dziś w Rosji dzieje, że robi się wszystko, by z głodu nie umrzeć. Spotykałem rutynowanych urzędników, którzy pracowali jako robotnicy; szewca z Warszawy, który był profesorem choreografji, a właściwie dawał na pensji lekcji tańca, wreszcie znałem fryzjera, który uczył gimnastyki. Pracowałem w Komitcie polskim na odpowiednim do swoich zdolności stanowisku, lecz po zlikwidowaniu biura postarałem się o zajęcie w amerykańskiej fabryce. Zarabiam w ten sposób na utrzymanie i mam zagwarantowane, że nie wezmą mnie do armji czynnej, gdyż nasza fabryka pracuje na obronę kraju.

— Teraz przypominam sobie, żeśmy oboje z mężem słyszeli o pracy pana w Komitecie. Niechże mi pan powie, jak sobie daje radę na tak nieodpowiedniem dla siebie stanowisku.

Ryszard roześmiał się, a opowiedziawszy różne przeżycia i ostatnie zajście z taczkami, spytał:

— Jakże państwo urządzili się tutaj? Przecież, o ile wiem, mąż pani był zdeklarowanym socjalistą?

— Nie zmieniliśmy absolutnie przekonań. Pracujemy w obecnym komitecie poprostu dla chleba, czekając na możliwość powrotu do kraju. Tymczasem co możemy robimy, aby ulżyć doli naszym ziomkom.

— Czy z trudem przyszło państwu zdobyć zajęcie?

— Przeciwnie. Potrzebne były odpowiednie siły, a brakowało kandydatów; jedni nie chcieli, drudzy się bali. Mąż mój, który znał dobrze komisarza Leszczyńskiego, został przez niego bardzo chętnie przyjęty. On to właściwie całe biuro zorganizował i dlatego, mimo iż nie jest Bolszewikiem, doceniają tu jego pracę. Nie obywa się bez pewnych przykrości, lecz umiemy je pokonywać i, dokąd nie wyjedziemy stąd do kraju, mamy zapewnioną pracę i jaki taki kawałek chleba.

— Jeśli państwo nie uznajecie haseł komunizmu, to muszą was tutaj ogromnie prześladować.

— Nie, panie, potrzebują naszej pracy i dlatego nas trzymają. Na wszelkie zaś ich postrachy i narzucanie swoich dogmatów, odpowiadamy taktownie bez żadnego lęku, że nigdy nie byliśmy i nie będziemy kontrrewolucjonistami. Dajemy im uczciwą pracę za odpowiednie wynagrodzenie, a dążeniem naszem jest jaknajprędzej powrócić do kraju.

— Czy komisarz Leszczyński niema nic przeciwko temu?

— Zasadniczo nie, lecz zastrzegł sobie, że póki mu nie pomożemy zorganizować biuro do najdrobniejszych szczegółów, nie puści do ojczyzny.

Wracając do pana sprawy, proszę zostawić u mnie papiery. Jak mąż przyjedzie, przejrzy je i da panu odpowiedź, co dalej uczynić należy. Będzie to miało miejsce prawdopodobnie w przyszłym tygodniu.

— Serdecznie dziękuję — rzekł Ryszard wstając — za życzliwe rady i miłą pogawędkę. Korzystając z pozwolenia, zgłoszę się za tydzień.

Wyszedł na ulicę uradowany. Miał nadzieję, że tym razem cel swój osiągnie, gdyż Fryling znany był ze swej uczynności.

Kiedy za tydzień znalazł się znów w tym samym gabinecie, zastał tam pana Frylinga i był przywitany po przyjacielsku.

— Jak się masz, stary druhu?

— Ot, jak pan widzi. Wszyscy mi mówią, że szkielet tylko się we mnie kołacze, duch zaś, myśli i serce dawno powędrowały do ojczyzny.

— My mniejwięcej czujemy się taksamo, z tą tylko różnicą, że jesteśmy związani pracą w komisarjacie. Poza tem jeszcze mam tu pewne interesy handlowe, które mnie wiążą. To nas właściwie trzyma. Dzieci musieliśmy wysłać do Taganrogu, gdzie mieszka siostra żony.

— A powiedźcie mi, proszę, co słychać z moim pozwoleniem na wyjazd.

— Narazie niebardzo dobrze, gdyż komisarz Leszczyński bardzo sceptycznie jest usposobiony do wszystkich tych, którzy pracowali w dawnym Komitecie Polskim w Moskwie, Wam to specjalnie ktoś przed nim „porządnie buty uszył". Lecz nie zrażajcie się tem jakoś sobie poradzimy, tylko trzeba trochę zaczekać.

— A może byłoby dobrze, gdybym się mógł z nim osobiście zobaczyć?

— Boję się, że popsułoby to raczej całą sprawę. Będzie o wiele lepiej jeśli zapomni, iż go w pana imieniu o cokolwiek prosiłem. Skorzystam z pierwszej okazji, gdy wyjedzie do Piotrogrodu i załatwię to przez jego zastępcę.

— Cóż on, u Boga Ojca, ma mi do zarzucenia? Nie mam na sumieniu żadnych nieetycznych czynów — zawołał Ryszard.

— W jego oczach jest już pan zdyskredytowany choćby tym, że nie wygłasza haseł komunistycznych. O resztę postarali się widocznie pańscy koledzy i znajomi, aby przedstawić pana, jako stuprocentowego reakcjonistę. Lecz nie należy się tem przejmować; przeżył pan w Rosji kilka lat, to poczeka jeszcze parę miesięcy. Przy pierwszej sposobności wszystko załatwię i zaraz pana zawiadomię.

— Będę się musiał oczywiście do tego zastosować; proszę mi jednak poradzić, czy nie byłoby dobrze, abym na chybił trafił pojechał do Orszy? Może stamtąd łatwiej będzie przedostać się do Polski.

— Nie radzę wam tego robić, lepiej czekać. Mam wrażenie, że niedługo w Warszawie ułożą się różne sprawy. Teraz bowiem, gdy Niemcy nasz kraj zajęli i Beseler niepodzielnie rządzi całą Kongresówką, nizbyt dobrze się dzieje: co tylko można wywożą do „Faterlandu". Poza tem wszystkie warsztaty pracy pozamykane, a urzędy zajęte przez Niemców. Należy

mieć jednak nadzieję, że niedługo wszystko się zmieni. Słyszałem poufnie, iż w armji niemieckiej przejawia się już wyraźny bunt i niezadowolenie. Potrzebne tylko jedno mocniejsze uderzenie koalicji, a knechty niemieckie rzucą broń i odmówią posłuszeństwa. W wojskach koalicyjnych zaś panuje duch znakomity. Wojska te pragną jak najprędzej rozbić Teutonów i porachować się z nimi za wszczętą przez nich wojnę, która takie straszne uczyniła spustoszenia.

— Ciekaw jestem, jak sobie pan wyobraża przyszłe życie naszej ojczyzny? — spytał Ryszard.

— Będzie samoistnem państwem, jak była przed rozbiorami. Chodzi tylko o to, aby Piłsudski mógł się wyrwać z Magdeburskiej fortecy. Jest to człowiek, którego Opatrzność dała Polsce. Trzeba sobie zdawać z tego sprawę, że zaprowadzenie porządku i wyłonienie rządu nie przyjdzie tak łatwo. Chętnych jest wprawdzie wielu, gdyż pełne koryto zawsze pociąga, lecz o prawdziwie odpowiednich ludzi nie jest tak łatwo. Najczęściej spotyka się dwie kategorje: uczciwi do szpiku kości niezdary — i zachłanni karjerowicze. Ani jedni, ani drudzy nie są popularni i nie mają posłuchu u ludzi. Jeden tylko Piłsudski, człowiek czynu, urodzony wódz, znający nawskroś nasz naród, może sobie zyskać ogólny posłuch i dać radę ze wszystkiem.

— Tak, wielki to patrjota. Od najmłodszych lat ofiarował całe życie dla wywalczenia nam niepodległości. Przejawiał przytem wielki rozum i doskonały zmysł organizacyjny we współpracy z młodzieżą,

która podążyła za nim do legjonów. Oni to, wyłoniwszy z pośród siebie emisarjuszy, w całej Polsce świetnie zorganizowali Polską Organizację Wojskową, która we wszystkich najdalszych zakątkach ćwiczy młodzież, przygotowując w ten sposób przyszłą polską armję. Wojsko w razie czego będzie główną podwaliną powstającej Polski.

— Widzę, panie Ryszardzie, że doskonale się w bieżących sprawach orjentujecie, lecz radziłbym być ostrożnym i nie wyrywać się ze swymi poglądami. Tutaj doskonale sobie zdająs prawę, jakim niebezpieczeństwem byłaby polska armja i za wszelką cenę chcą się owej organizacji przeciwstawić. Niemało polskiej młodzieży siedzi za to w czrezwyczajce.

— Wiem o tem dobrze. Do pana mówię w zaufaniu.

— Ile razy mam dużo pracy i czuję się wyczerpany, myślę o tem, że tam w ojczyźnie miałoby się jednak więcej energji, więcej zapału.

— Wiem, że umie pan pracować. Widziałem jego ofiarną pracę w Warszawie w 1905 roku. Ciekaw jestem, czy młodzieży naszej, którą uwięziono za należenie do P. O. W. można w jaki sposób pomagać? Słyszałem, że często ich rozstrzeliwują.

— Ja, niestety, nic pomóc nie mogę, gdyż oboje z żoną jesteśmy płatnymi urzędnikami dla spraw wygnańczych, i do innych mieszać się nie możemy. Wypowiedzieć przytem jawnie swe poglądy — znaczyłoby to mniej więcej pozbawić się wolności, chleba

i nadziei powrotu do kraju. Poza tem robimy, co tylko można.

— Niechaj zato Pan Bóg pana nagradza; gdy wróci pan do kraju, napewno ci, którym udało się pomóc, podziękują mu serdecznie.

— Jest pan jeszcze młody i dlatego pewno nie zetknął się z wdzięcznością ludzką. Jestem raczej pewien, że okrzykną mnie, jako bolszewickiego komisarza.

Przy pożegnaniu, Fryling serdecznie zapraszał Ryszarda do siebie, nadmieniając, że żona ucieszy się bardzo, gdyż tęskni za rozmową o Polsce i dawnych czasach, kiedy jeszcze byli w ojczyźnie.

Ryszard obiecał przyjść w najbliższą niedzielę po południu. Wyszedł pod wrażeniem, że będzie musiał cierpliwie czekać pomyślnej wiadomości. Smutno mu było, że znów się sprawa odwleka.

Kiedy jednak znalazł się na ulicy, ogarnęła go nieprzezwyciężona tęsknota do kraju. Przypomniał sobie, że niejednokrotnie dochodziły go wieści o szczęśliwcach, którym udało się dotrzeć do Orszy, a potem przy pomocy pieniędzy przedostawali się za kordon. Uczepił się tej myśli, aby iść w ich ślady. Gdyby to było możliwe, byłby wyruszył zaraz, natychmiast, aby tylko już raz zakończyć okres poniewierki. W pewnym momencie ktoś zastąpił mu drogę. Był to znajomy, pan Krzakowski, o którym właśnie słyszał, że przedostał się bez przepustki do Warszawy. Ze zdziwieniem zapytał:

— Jakto, to pan nie w kraju?

— Niestety, nie udało się. Dojechałem tylko do Smoleńska, chociaż bilet miałem do Orszy. W Smoleńsku wyrzucili nas z pociągu i pognali do komitetu rewolucyjnego. Tam, po kilku godzinach najrozmaitszych indagacji, wypuścili tych, którzy mieli odpowiednie zaświadczenia z Komitetu Moskiewskiego, oświadczając, że nie uznają i nie honorują żadnych przepustek, prócz własnych, to znaczy komitetu smoleńskiego, który funkcjonuje odrębnie, jako rząd smoleńsko - żołniersko - robotniczej Federacji. Ci więc, którzy mieli papiery w porządku, musieli na nowo starać się o pozwolenia, a po paru dniach, wykupiwszy ponownie bilet do Orszy, wydostawali się ze Smoleńska. Tych zaś, którzy nie mieli przepustek z Moskiewskiego Komitetu, a do których i ja należałem, przekazano do czerezwyczajki. Sześć tygodni przeżyłem tam w głodzie i brudach, aż wreszcie, mając po uszy tego wszystkiego i chamstwa w dodatku, zdołałem jakoś wydostać się na swobodę i jak niepyszny, wróciłem do Moskwy. Nie wszystkim jednak udało się odzyskać wolność. Kilkanaście osób do tej pory w czerezwyczajce przebywa.

— Cóż pan teraz zamierza czynić?

— Będę robił wszelkie możliwe starania, aby przez protekcję uzyskać potrzebne papiery. Żałuję tylko, że dałem się namówić na taką niepewną podróż; kosztowała dużo pieniędzy i poniewierki.

— Niech pan próbuje protekcji komisarza Leszczyńskiego — doradzał Ryszard.

— A czy pan go zna?

— Właściwie nie osobiście. Sam czyniłem tam starania w tej sprawie, nie miałem jednak na razie szczęścia, gdyż ktoś mnie obmówił, jako zdeklarowanego kontr-rewolucjonistę. Pan ma o wiele więcej szans, niż ja, po pierwsze ze względu na swój podeszły wiek, a przytem, nie pracując nigdzie, nie naraził się pan niczem żadnej władzy.

— Rzeczywiście nigdy się nie mieszałem do niczego. A po djabła mi to, panie? Tyle lat byłem urzędnikiem kontrolnej pałaty i nie miałem żadnych nieporozumień. Naco mi to? Siedziałem, pracowałem — i było mi dobrze. Jeśli mam tutaj głód cierpieć, to wolę oczywiście wrócić do Warszawy. Chciałbym znów pracować na tem samem stanowisku, gdzie trzydzieści lat przeżyłem.

— To pan właściwie nietyle tęskni do Warszawy, ile do „kontrolnej pałaty" — zauważył Ryszard.

— Tęsknię, panie, do ładu i porządku, a także do kawałka chleba. Wiele dałbym zato, aby się przedwojenne czasy wróciły.

— Czy pan wyjechał z rodziną, czy też ją zostawił w Warszawie.

— Sam jeden jestem, jak się patrzy. Na co mi to, panie? Dosyć kłopotów, gdy się żyje samemu. Przeszło 25 lat mieszkałem na kawalerce w jednym i tym samym domu. Gospodarz obiecał mi przechować graty, mam więc zamiar osiedlić się tam z powrotem.

— Życzę więc powodzenia, — rzekł, żegnając się Ryszard.

Przepowiednia Ryszarda się spełniła: po kilku tygodniach dowiedział się, że pan Krzakowski otrzymał pozwolenie władzy i wyjechał do Warszawy. Tacy bowiem obywatele mają najczęściej największe szczęście.

Rozdział XIV.

OSTATNIE DNI PRZED WYJAZDEM.

Rad nie rad Ryszard zajął się po dawnemu pracą w fabryce, czekając pomyślnej wiadomości od pana Frylinga. Czas wolny od zajęć poświęcał życiu towarzyskiemu i odpoczynkowi. Jak dawniej urządzał z panią Korsakową dalekie spacery, starał się jednak zawsze, aby ktoś im towarzyszył, gdyż chciał za wszelką cenę uniknąć drażliwych rozmów; być może, że bał się samego siebie; odgradzał się więc wszelkiemi możliwemi sposobami, aby nie ulec jej czarowi. Nie zawsze teraz podróżowali piechotą; łatwiej można było korzystać z kolei a nawet z autobusów, które zaczęły kursować między Moskwą, a niektóremi powiatowemi miastami.

Często też wyjeżdżał do Moskwy, bądź to w sprawach fabryki, czy swoich własnych. Od czasu do czasu dowiadywał się w Komitecie, czy niema dla niego papierów, wpadał do kawiarni Filipowa na Twerskiej ulicy, aby się od ziomków, którzy się tam zbie-

rali w poobiednich godzinach, dowiedzieć, co słychać w kraju. Nierzadko odwiedzał państwa Frylingów; przyjmowali go nadzwyczaj serdecznie. Tu też można było zasięgnąć ciekawych wiadomości, gdyż komitet utrzymywał stały kontakt z Warszawą, wysyłając swych przedstawicieli za rozmaitemi sprawami do władz niemieckich.

Któregoś dnia dowiedział się o tem, że Niemcy noszą się jakoby z zamiarem odstąpienia Polakom kolejek podjazdowych i wakujące miejsca mają obsadzić wyłącznie polskim personelem, wybierając z pośród tych, którzy zostali w kraju, lub, będąc w Rosji, zgłosili chęć powrotu. Szkoły i sądy miały być oddane wyłącznie w ręce polskie, lecz tylko pod nadzorem Niemiec.

— Czemu przypisać te względy? spytał Ryszard.

— Podobno dla lepszego zorganizowania kraju. Mnie się jednak zdaję, że Niemcy wietrzą dla siebie coś niebardzo dobrego.

— Już straciłem nadzieję — rzekł Ryszard — żebyśmy mogli prędko pozbyć się ich z kraju. Przed czterema miesiącami, gdy byłem u pana, mówił mi pan, że koalicja przygotowuje się do ofenzywy i ma zamiar pobić Szwabów. A tymczasem tyle czasu minęło i nic nowego, a pocieszającego nie słychać.

— Grubo się pan myli, panie Ryszardzie. Wśród Niemców wyczuwa się rozkład. Podobno sztucznie trzymają armję, aby się nie rozpadła. Zakradł się tam na dobre Bolszewizm. Nasi obecni opiekunowie setnie się z tego cieszą; jedyne mają zmartwienie,

że nie da się wprowadzić anarchji do armji koalicyjnej, która stoi, jak mur, przygotowana do mocnego uderzenia, które ma nastąpić podobno w jesieni. Teraz już mamy wrzesień.

— A jak na to patrzą władze bolszewickie?

— Czekają z niecierpliwością bitwy. Liczą, że jeśli armje koalicyjne będą osłabione, to łatwiej się uda zaszczepić w nie bolszewizm.

— Pan przypuszcza, że to jest możliwe?

— Sądzę, że płonna ich nadzieja, aby można wzbudzić ferment w wojsku koalicji. Zbyt wielką mają kulturę, aby pozwalali sobie na podobne eksperymenty. U Niemców prędzej. Osłabieni są wojną, wygłodzeni i steroryzowani przez Wilhelma i jego system militarny.

— Nie daj Boże, by niezdrowe prądy przedarły się na zachód. Nasz kraj, zdemoralizowany najeźdźcami, łatwoby mógł ulec destrukcyjnym wpływom.

— Niech się pan nie obawia. Polski chłop jest religijny i mocno konserwatywny. Nie tak łatwo się da omanić. Inteligencja tembardziej.

— Tak, — rzekła pani Frylingowa, — te dwie warstwy społeczne są mocno związane z ojczyzną. Mieszczaństwo natomiast, a w szczególności robotnicy fabryczni są lewicowo usposobieni.

— Nie jest to straszne, proszę pani — dorzucił Ryszard — gdyż walczą naogół z wyzyskiem i kapitalizmem. Idei bolszewickich natomiast nie uznają zupełnie.

— O jedno się tylko boję — rzekł pan Fryling — że niebezpiecznym elementem będą ci, którzy stąd powrócą do Polski, przejęci tutejszemi prądami. Jest ich, niestety, dość dużo.

— Prawdziwie zarażeni tutaj zostaną, — dowodził Ryszard, — gdyż będą mieli na miejscu zapewnione bezpieczeństwo i pole do karjery. Inni, jeśliby nawet chcieli coś działać, nikt ich słuchać nie będzie. Zapomnieliśmy jednak o żydach. Ruchliwi i chętni do inowacji, a przytem chcą na wszystkiem zarobić. W Rosji zajmują czołowe stanowiska. Być może że oni jedynie będą również i u nas szczęścia próbować.

— Młodzież żydowska — tak. Starzy zaś, jedni inteligentni i nieźle w Polsce sytuowani, drudzy religijni, zwłaszcza ortodoksi, nie są odpowiednim dla wywrotowców elementem.

Daj Boże, powiedział Ryszard. A teraz, wracając do mojej sprawy, czy mogę mieć nadzieję, że chociaż w tym roku uda mi się powrócić do kraju?

— Być może, że w październiku da się pomyślnie pana sprawę załatwić, gdyż Leszczyński wybiera się na dwa tygodnie na Syberję.

Znów więc Ryszard musiał uzbroić się w cierpliwość i czekać chwili, gdy wyrwie się wreszcie z niewoli i wróci do wymarzonej ojczyzny, która nigdy nie wydawała się tak droga, jak wtedy właśnie, gdy było do niej tak daleko!

Tymczasem zbliżał się październik zazwyczaj w Moskwie słoneczny, lecz porządnie mroźny, zwia-

stujący prędkie i tęgie mrozy. Jak wiadomo, w stronach tych niema jesieni, ni wiosny. Już w listopadzie ziemia przyobleka się grubą warstwą śniegu i trwają tęgie mrozy, często aż do kwietnia. Październikowe powietrze, mroźne i suche, jest bardzo zdrowe. Ryszard też fizycznie czuł się doskonale. Depresja jednak psychiczna nie opuszczała go. Nie mógł sobie poprostu znaleźć miejsca. Zdawało mu się chwilami, że sam sobie ciąży. Często chciało mu się mieć życzliwych ludzi wokół siebie. Najbliższe towarzystwo byli to fabryczni koledzy, którzy mieszkali w tym samym co on budynku. Niestety nie było wśród nich Polaków, lecz Amerykanie, Anglicy, Duńczycy, Szwedzi i Niemcy. Mieli oni dużą salę, która zastępowałą klub. Zbierano się tam często na pogawędki, grano w szachy, karty i warcaby, paląc przytem namiętnie cygara i papierosy.

Ryszard ze wszystkiemi był grzeczny, lecz o stopie przyjacielskiej nie mogło być mowy, mieli się bowiem za coś wyższego, poprostu za „nadludzi" i z pobłażliwością patrzyli na Polaka, a zwłaszcza na tęsknotę jego do kraju. Pozwalali sobie nawet z tego śmiać się i podkpiwać, tłumacząc mu, że Polska już dawno zginęła, a na wygnaniu może tylko zyskać, a nie stracić, gdyż nabierze wiedzy i kultury.

Ryszard w grzeczny i taktowny sposób odparowywał ciosy, nieraz zupełnie unikając towarzystwa. Jeden tylko Duńczyk, Chrystjan Razmusen i Amerykanin, Szachtman, okazali się ludźmi delikatnymi i doskonale pojmowali duszę stęsknionego do kraju

Polaka. Do nich też garnął się Ryszard i darzył ich swą sympatją.

Pewnego dnia w końcu października, gdy padało tak beznadziejnie, że Ryszard nie mógł iść na spacer, a w domu trudno mu było usiedzieć, postanowił wybrać się do pani Korsakowej.

Powitała go nadzwyczaj serdecznie, lecz spojrzawszy na twarz, zatroskała się prawdziwie. Kobiecą intuicją odczuła, co mu dolega. Rzekła więc życzliwie.

— Wiem co pana dręczy. Należy jednak się opanować i uzbroić w cierpliwość.

— Cóż winien jestem — rzekł — że miejsca sobie znaleźć nie mogę. Nocami nawet nie mam spokoju, gdyż spać nie mogę. Przyszedłem tutaj, by się trochę rozweselić.

Położyła mu rękę na ramieniu i powiedziała z powagą:

— Niewiele mogę uczynić? Mimo, iż sama myśl o tem, że odjedziecie daleko, boli mnie do głębi, gotowa byłabym jednak każdą z siebie uczynić ofiarę, aby wam w trosce dopomóc.

Wzruszony jej dobrem sercem, objął ją ręką i przytulił. Nachylił się przytem i ucałował serdecznie jej oczy i czoło.

— Nadieżdo kochana — rzekł — wiem, że dobrym i serdecznym jesteście przyjacielem i dlatego tem cięższej mi na sercu, że wam równą miarą odpłacić nie mogę. Unikam was nawet i czuję się, jak niewdzięcznik. Lecz jakże mogę serdeczniej zwrócić się do was,

jeśli wkrótce muszę odjechać? Tyle mam dla was uczuć przyjaźni, tak często brak mi waszego towarzystwa, lecz cóż mam uczynić, aby z własnem sumieniem być w zgodzie? Gdybym usłuchał wewnętrznego impulsu, który mnie ku wam skłania, rozstanie byłoby stokroć cięższe.

Całą siłą woli powstrzymywała łzy, które, nieposłuszne, spadały po policzkach. Posadził ją na kanapie i usiadł obok. Przykry nastrój przerwała ciotka, która weszła do pokoju. Potoczyła się banalna rozmowa o znajomych i zdarzeniach dnia dzisiejszego. Ryszard tylko czekał okazji, by wyrwać się czemprędzej, gdyż sytuacja, jaka się wytworzyła, zaczęła mu ciężyć. Pod pozorem więc, że jutro rano wyjeżdża w sprawach służbowych i musi należycie wypocząć, pożegnał się i poszedł do domu.

Znów minęło kilka tygodni. Ryszard jeździł nieomal codzień do Moskwy. Zdawało mu się, że im częściej będzie się w Komitecie dowiadywał, tem prędzej doczeka się pożądanych nadewszystko papierów. Wstępował do kawiarni Filipowa, lub polskiej cukierni Langnera, rozmawiał z tym i owym, aby tylko czegoś się dowiedzieć, o coś poradzić. Pragnął wreszcie dostać się do Orszy, skąd już łatwiej było dostać się do kraju.

Stykał się z całą gromadą podobnych jemu. Trawieni tęsknotą, a często głodem, marzyli tylko o chwili, kiedy wydostaną się z tego piekła.

Pewnego dnia kolega Chrystjan zaprosił go do siebie i rzekł:

— No, mister Wąwolnicki, zbliża się chwila zakończenia tej strasznej wojny.

— Jakto!, zawował Ryszard.

— Cicho, nie krzyczcie. Tego, o czem mówimy, nie może nikt słyszeć. Tutaj należy się każdego strzec, bo wokół pełno szpiegów. Doskonale przygotowane wojska koalicji rozpoczęły wreszcie ofenzywę. Spisują się dobrze, a zwłaszcza Francuzi. Ruszyli właśnie nad Marnę. Mam tu przy sobie numer szfokholmskiego dziennika, który bezstronnie oświetlając sprawę, przepowiada klęskę Niemców.

Ryszard zerwał się. Podniecony wiadomością, zawołał:

— Dajże Boże, jak najszybciej koniec! Ciekaw jestem, co na to Bolszewicy? Czy czytał pan dzisiejsze dzienniki?

— Chcieliby, naturalnie, aby wszyscy przegrali, zarówno Niemcy, jak i koalicja, gdyż osłabionym łatwiej mogliby swoje ideje zaszczepiać.

— Cóż więc oni myślą z całym światem w przyszłości wojować?

— Ot, poprostu to małe dzieci, — rzekł Razmusen — pomyśleliby lepiej, jak u siebie ład zaprowadzić, umiejętnie skoordynować pracę przemysłową i stworzyć mądry rząd. Inaczej to ci, którzy nie wymrą z głodu, pójdą pod „ściankę". Szkoda, gdyż Rosja, to kraina złotodajna i ludzie naogół dobrzy.

— Gdy myślę o Polsce — powiedział Ryszard, pochłonięty zawsze jedną ideją — to mam wrażenie, że tam nigdy nie zaszczepi się komunizm. Dosyć

już chyba niewoli. Teraz my Polacy, podchodzimy ostrożniej do wszelkich obietnic. Historja nauczyła nas wiele. To dobry pedagog.

W kilka dni potem Ryszard otrzymał wreszcie tak długo oczekiwane wezwanie do Moskwy. Pierwszym pociągiem pojechał i natychmiast zameldował się u pana Frylinga. Tam powitał go radośnie i zawołał:

— Dobra dla was nowina: mam wreszcie tak długo oczekiwaną przepustkę. Za kilka dni odchodzi z Moskwy sanitarny pociąg. Wieźć on będzie całą służbę szpitala polskiego i lekarzy. Naczelnik szpitala, doktór Uściński, zgodził się, aby pana zabrać. Młodzieniec, którym się pan opiekuje, może również pojechać.

Ryszard narazie nic nie powiedział z wrażenia; po chwili jednak miał ochotę rzucić się panu Frylingowi na szyję.

— Straciłem już nadzieję! — zawołał. — Jakże Bóg łaskaw, że mojej prośby wysłuchał.

— Mamy obecnie koniec listopada. Jeszcze przed grudniem będzie pan w Warszawie — rzekł uśmiechając się Fryling.

Miło mu było, że mógł się rodakowi przysłużyć.

— To poprostu nie do wiary — wykrzyknął Ryszard.

— Mam w zanadrzu jeszcze i inne dobre nowiny, — rzekł Fryling: — podobno już Niemcy wykurzeni z całej Kongresówki; są tylko jeszcze w Poznańskiem i na kresach wschodnich. Piłsudskiego rów-

nież wypuszczono z Magdeburga i wrócił do Warszawy, gdzie go z wielkim entuzjazmem witano.

— Bodajby to była prawda! — zawołał Ryszard. Pierwszy raz o tem słyszę. Czytałem coś niecoś o niepowodzeniach Niemców w szwedzkiej gazecie. Moskiewskich gazet nie czytuję, gdyż i tak z nich nic dowiedzieć się nie można.

— Tak, panie Ryszardzie, zdaje się, że nareszcie koniec wojny się zbliża. Francuzi dzielnie się spisali, bijąc po łbie Niemców pod Ypres i Marną. To chociaż na jakiś czas obezwładni tych wandali.

— Zaczynam wierzyć, że wrócę do kraju. Dawno już nie czułem się tak szczęśliwy. Nie wiem doprawdy jak mam dziękować za pomyślne wieści i załatwienie mej sprawy.

W kilka dni potem Ryszard zaczął nadobre wybierać się w drogę. Żegnał się kolejno z dyrektorem, kolegami i robotnikami. Czekało go jeszcze najtrudniejsze rozstanie — z panią Nadieżdą. Wiedział bowiem doskonale, że nie odbędzie się to ani prosto, ani łatwo. Bał się nastroju, któremuby mógł ulec. Żal mu jej było bardzo, gdyż wyczuwał iż naprawdę cierpi. Sam przecież, mimo że jej nie kochał, był wytrącony z równowagi na myśl o rozłące.

Zwlekał więc do ostatniej chwili; gdy jednak nadszedł wieczór poprzedzający jego wyjazd do Moskwy, niepodobna było dłużej wizyty odkładać. Późno już dosyć było, gdy wyszedł z domu, z zamiarem powrócenia jak najśpieszniej, gdyż nazajutrz o godzinie 11-ej rano miał się zgłosić w Moskwie na dwo-

rzec Aleksandrowski, skąd pociąg sanitarny, prowadzony przez doktora Uścińskiego wyruszy w stronę Warszawy. Należało również zawiadomić o wyjeździe pana Mareczka, którego zabierał ze sobą.

Zastał obie panie w stołowym pokoju, zajęte pracą i milczące. Gdy witał się z panią Korsakową, spojrzała na niego oczami zaczerwienionemi od płaczu.

— Widzisz, Nadziu — rzekła ciotka — odrazu ci mówiłam, że pan Ryszard nie odjedzie bez pożegnania.

— Skąd panie wiedzą, że wyjeżdżam? — rzekł, aby pokryć zmieszanie; przykro mu było, że mogły choć przez chwilę pomyśleć, iż zdolny byłby nie zobaczyć się z niemi.

— Była u nas Własowa, — powiedziała ciotka, — i mówiła jak was serdecznie żegnali robotnicy w fabryce. Nadzia bardzo się tem wszystkiem przejęła. Właściwie mówiąc obie nie możemy się pogodzić, że tracimy pana.

— Wstydzę się swego egoizmu —odezwała się pani Nadieżda; cały dzień płaczę, że pan odjeżdża. Wiem przecież, jak bardzo pan pragnął wrócić do Polski, a mimo to nie mogę się pohamować.

Ryszard milczał. Świadomość, że po raz ostatni jest w tym zacisznym domu, gdzie biją serca przepełnione życzliwością i uczuciem, ciążyła mu nie do zniesienia. Ona mówiła dalej:

— Tyle pan dla mnie dobrego zrobił; powinnam się cieszyć, iż los zesłał mi takiego jak pan przyja-

ciela, a jednak buntuję się, że jestem dla pana tylko epizodem, który się przez jakiś czas pamięta, dokąd nie zatrze się w natłoku innych zdarzeń.

— Pani Nadieżdo! — zawołał. — To nie był epizod, lecz dobra i szczera przyjaźń. Niezwykłe, wojenne sytuacje zadzierzgnęły ten węzeł, cóż zrobię, że teraz inaczej rozplątać się nie da? Chciałbym dzisiaj, zanim odjadę, życzyć wam, abyście napotkali człowieka godnego siebie.

— Ryszardzie, dla mnie szczęście umarło. Widocznie tak sądzone, że ci, których ukochałam, muszą ode mnie odejść.

Nie mogła powstrzymać łkania. Ukrywszy twarz na piersiach staruszki, płakała serdecznie.

Ryszardowi zaczął się udzielać nastrój. Niemożność pocieszenia tej dobrej kobiety wprawiała go w stan przygnębienia. Chwilami pragnął wyrwać się jaknajprędzej i raz wreszcie zakończyć niemiłą sytuację, to znów nie miał dość woli, by podnieść się i wykrztusić słowo ostatniego pożegnania. Wszystko, co mógł jej powiedzieć, jemu samemu wydało się banalne i bez treści; bo cóż warte są słowa pociechy, jeśli sercem za serce odpłacić nie można.

— Droga pani — rzekł całując ją w rękę — czas jest największym lekarzem; nietylko uzdrawia, czasem i szczęście umie przynieść w darze.

Opanowała się z trudem. Podczas, gdy ciotka poszła przygotować herbatę, Nadieżda, tłumiąc łzy szepnęła:

— A więc to taki koniec...

Nachylił się nad nią i gorączkowo mówił:

— Zawsze będę myślał o was i słał prośby do Najwyższego, aby Bóg nie wypuścił was ze swej opieki. Chciałbym jak najprędzej usłyszeć, że los nie szczędził wam opieki. Wiem, że mimo wszystko umiesz pokonywać przeszkody; nieraz już tyle ich piętrzyło się na drodze.

— Przestań — wykrztusiła zdławionym głosem.— Na co mi słowa pociechy? Nikt nie wie, co teraz czuję, lecz na to niema lekarstwa. Skoro już tak się stało, porozmawiajmy lepiej o tobie, Ryszardzie. Powiedz mi, kiedy wyjeżdżasz z Moskwy i za ile dni spodziewasz się być w Warszawie.

Mimo, iż wiedział, że nie uspokoiła się, lecz tylko opanowała, odetchnął.

— Wyjeżdżam jutro z Moskwy pociągiem sanitarnym o godzinie 11-ej rano. Narazie wiem, że jedziemy do Mińska. Jaka będzie dalsza marszruta, nie mam pojęcia.

— Ponieważ to pociąg sanitarny, prawdopodobnie nie będzie się nigdzie długo zatrzymywać.

— I ja tak myślę. Przypuszczam, że pojutrze wieczorem już będę w Warszawie.

— Ciężko rozstawać się z wami; wiedząc jednak, jak bardzo pragnęliście wrócić tam do swoich, życzę wam szczęścia i powodzenia.

— Za dwa dni będziemy od siebie daleko; nie sądzę jednak, abyśmy się już nigdy nie mieli zobaczyć. Być może, że przyjadę tutaj, aby was odwiedzić.

Był to moment, w którym dał się unieść uczuciom, jakie szły od niej ku niemu ciepłą i serdeczną falą. Zdawało mu się w tej chwili, że nie może się z nią rozstać bezpowrotnie. Wierzył w to, że, przyjechawszy do kraju zatęskni za wiernem i kochającem sercem.

Ona, intuicją kobiecą wyczuwszy jego chwilową uległość, oparła mu głowę na piersiach i powiedziała cicho:

— Byłoby to szczęście znów was zobaczyć i mieć świadomość, żeś specjalnie do mnie przyjechał. Lecz wiem, że to się nigdy nie stanie. Gdyby los był sprawił, żebyś mię choć trochę pokochał! Ach, Ryszardzie, nie umiem sobie wyobrazić, jaka czułabym się szczęśliwa.

Objęła go rękami za szyję i przysunęła spragnione usta do jego warg.

Ryszard na chwilę zapomniał o wyjeździe. Było mu dobrze i zacisznie. Gdyby w tym momencie zażądała, by się z nią nie rozstawał, nie umiałby odmówić.

Podano herbatę. Kiedy weszli do stołowego pokoju, w świetle lampy rozwiał się poprzedni nastrój. Poruszano różne zagadnienia, unikając skrupulatnie tematu, który był przykry dla wszystkich. Po kolacji Ryszard, pożegnawszy się serdecznie z obiema paniami, udał się śpiesznie do domu. Po drodze musiał jeszcze wstąpić do pana Mareczka, którego zabierał ze sobą.

Gdy znalazł się wreszcie u siebie, było już dosyć późno. Zaczął więc gorączkowo pakować walizy. Ostatni wieczór kosztował go niemało. Coś niewypowiedzianie ciężkiego legło mu na sercu; czuł, że, odchodząc od Nadieżdy, zabija prawdziwe uczucie, którego może już nigdy w życiu los mu nie da zaznać. Z drugiej znów strony nie kochał jej prawdziwie. Teraz, w tej przełomowej chwili, kiedy przyszło do ostatecznego rozstania, pragnął znaleźć się już jak najdalej, choćby w samej Warszawie. Dlatego też z takim pośpiechem zbierał manatki i wpychał je bezładnie do walizy, chcąc jakoby w ten sposób przyśpieszyć chwilę zerwania wszystkich więzów, jakie go z dotychczasowem życiem łączyły.

Na dnie jednej z szuflad biurka leżała paczka listów, które w swoim czasie otrzymywał od żony z Połtawy. Wziął je do ręki i zastanowił się. Tyle w nich mieściło się wspomnień! Z pietyzmem rozwiązał aksamitkę, którą były związane. Nosiła ją kiedyś na szyi. Myśl, że ten wąski pasek materjału i trochę zapisanego papieru przeżyło drogą, żywą istotę, napełniła go smutkiem.

Usiadł przy stole i rozłożywszy arkusiki, zapisane, drobnem kobiecem pismem, utonął we wspomnieniach. Jakże go kochała! Wczytywał się pokolei w każdą stronę i w miarę, jak się w treść zagłębiał, odżywało wszystko w pamięci i miłość, jaką ją darzył.

Te arkusiki zawierały wszystkie z nią związane wspomnienia. A więc: zesłanie jego na Kaukaz. Po-

znanie jej tak młodej jeszcze, pięknej i pełnej życia Osietynki. Jego romans z nią, a potem porwanie jej z aułu z pomocą dobrze opłaconych dżygitów. Następnie przyjęcie przez nią chrześcijaństwa i ślub z nią zawarty. Wreszcie powrót do Polski. Jej praca społeczna w nowej ukochanej przez nią ojczyźnie, w której potrafiła zapomnieć o swej młodości spędzonej w wykwintnem życiu i wymarzonych wygodach. A potem wojna, wyjazd do Rosji, i ten straszny niespodziewany jej koniec.

Wszystko to stanęło mu w pamięci. Jak w kalejdoskopie przeżywał to w swej duszy, i oparłszy głowę o biurko, zatopił się w myślach.

Kilka lat najpiękniejszego życia ofiarowała mu ta kobieta! Wszystko co miał najmilszego i najpiękniejszego w życiu, to pochodziło, albo od niej, lub zdobyte z jej pomocą. I odeszła odeń nazawsze... Wielkie kropliste łzy stanęły mu w oczach.

W tem usłyszał lekkie skrzypnięcie drzwi. Obejrzał się. Na progu stała postać, okryta dużą chustką, z pod której nie można było rozpoznać twarzy.

— Kto tu? — zawołał.

Ponieważ nie ruszała się z miejsca, zerwał się i podszedł bliżej. Wówczas rozchyliła się chustka i ujrzał twarz Nadieżdy. Zapłakane oczy spojrzały na niego żałośnie, a trzęsące się wargi zaczęły bezładnie szeptać:

— To ja, Ryszardzie. Już położyłam się do łóżka, ale nie mogłam zasnąć, nie zobaczywszy raz je-

szcze ciebie. Daruj mi, lecz nie zdolna byłam się oprzeć...

Stał zdumiony, nie mogąc się zdobyć na wypowiedzenie choćby jednego słowa.

Ona tymczasem chwyciła go mocno za ręce i tuląc się do piersi, zawołała:

— Nie odpychaj mnie! Tak bardzo pragnę pozostać, aż do chwili twego wyjazdu. Te ostatnie godziny słusznie do mnie należą.

Ulegając jej czarowi, nie oponował, gdy zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się tkliwie. Po chwili szeptała mu, że to nie może być rozstanie, iż miłość jej siłą swą musi przezwyciężyć wszystkie przeszkody, choćby nawet pozornie były nie do przebycia.

— Czyż może ktokolwiek tak kochać jak ja i być zapomnianą? Silna miłość nie umiera i nie zna niepowodzeń!

Te słowa sprawiły, że oprzytomniał. Spojrzał na rozrzucone na stole listy, które takiej właśnie miłości były świadectwem.

— Tak, tamta miłość nie może umrzeć, pomyślał, może się nawyżej odrodzić! Nie wolno mi, nie kochając, ulegać.

Powoli odsunął ją od siebie.

— Nie — rzekł — a jednak musimy się zaraz rozstać. Tu obok mnie mieszkają koledzy. Źle byłoby, gdyby cię kto zobaczył.

---

*) Poprzednie dzieje bohatera i jego pierwszej miłości, opowiedziane są w powieści „Dla ojczyzny".

— Nie dbam o nic! — zawołała porywczo.

— Ale ja muszę o tem pamiętać. Muszę mieć wolę za ciebie i za siebie. Tak, trzeba koniecznie — dodał z mocą.

Ująwszy ją za rękę, podprowadził do drzwi. Otuliwszy troskliwie chustką powiedział łagodnie.

— Idź, kochanie i nie myśl źle o mnie.

Wyszła z twarzą zalaną strumieniami łez. Czy były to łzy żalu, obrażonej dumy, a może tłumionego gniewu — trudno było dociec.

Rozdział XV.

POWRÓT DO OJCZYZNY.

Późno już było, gdy Ryszard położył się do łóżka. Zasnął dopiero nad ranem, to też wstał niewypoczęty i podniecony. O dwie godziny zawcześnie zajechał z panem Mareczkiem na dworzec Aleksandrowski, jak gdyby pragnąc przyśpieszyć godzinę wyjazdu, w obawie, że coś niespodziewanego mogłoby go zatrzymać.

Doktór Uściński, podając mu rękę, powitał serdecznie:

— Bardzo mi przyjemnie poznać pana. Przed kilku dniami zwrócił się do mnie pan Fryling z prośbą, abym zabrał pana wraz z jego towarzyszem. Rad jestem, że mogę się mu przysłużyć, tem więcej, że osoba pana nie jest mi obca. Już nawet przed wojną słyszałem wiele o nim i jestem pewien, — dodał uśmiechając się, — że wywrotowca do kraju nie wiozę.

— Co do mnie, cieszę się z opinji pana doktora; towarzysz zaś mój, pan Mareczek, to ułomny bie-

dak, którego Moskale, jako więźnia politycznego wywieźli jeszcze w 1915 roku z Warszawy.

— Proszę mi powiedzieć, zagadnął doktór Uściński, kto to jest ów pan Fryling, który w pana imieniu zwrócił się do mnie. Wiem o nim jedno, iż pracuje w bolszewickim Komitecie?

— Jest to były dziennikarz z Warszawy. Pracował w redakcji jednej z socjalistycznych gazet — zresztą bardzo porządny człowiek. Moskale go uwięzili i wywieźli na Syberję. Tam poznał komisarza Leszczyńskiego, który obecnie zaangażował go do biura komitetu, jako płatnego urzędnika. On zaś czeka tylko sposobności, by jaknajprędzej wrócić do kraju. Podobno komisarz Leszczyński obiecał mu to ułatwić, lecz nie chce wypuścić go do chwili, aż mu całe biuro zorganizuje.

— Tak i mnie dał do zrozumienia, że nie jest mocno przejęty zasadami komuny, lecz pracuje poprostu, jako płatny urzędnik.

— Ma on tam jeszcze sprawy rodzinne i dawne interesy przemysłowe, które właśnie likwiduje, szykując się do rychłego powrotu. Gdzie też mnie pan doktór umieści?

— W tym oto wagonie, w drugim przedziale jest przygotowane dla panów miejsce. Nie potrzebujecie na drogę się aprowizować, gdyż prowadzimy tu swoją kuchnię. Wiozę kilkudziesięciu chorych, kilkunastu rannych i około stu rekonwalescentów, musiałem więc postarać się o zapasy żywności, których, mam nadzieję, starczy aż do samej Warszawy.

— A jak prędko, panie doktorze, będziemy w Warszawie.

— Sądzę że za jakieś 3 do 5-u dni, gdyż sanitarnych pociągów nawet i Bolszewicy nie zatrzymują. Boją się poprostu kramu i kłopotów, jakie z tego tytułu mogłyby wyniknąć. Należy przytem im się dobrze postawić, a napewno wkrótce będziemy na granicy. Trudność jedynie może nadarzyć się w Orszy, gdzie już są władze niemieckie. Władam jednak nieźle ich językiem i myślę, że damy sobie jakoś radę.

Gdy tylko Ryszard z panem Mareczkiem zainstalowali się na przeznaczonych im miejscach, żołnierz—Polak, mimo iż w rosyjskim mundurze — przyniósł im herbaty z mlekiem i porządne porcje białej bułki. Dawno już nie jedli podobnych przysmaków, zabrali się więc do śniadania z wielkim apetytem. Mareczek nie mógł się dość nazachwycać sytuacją, w jakiej się znaleźli i cieszył się zgóry, że prawdopodobnie będą ich smacznie w drodze odżywiać.

— Tyle się nacierpiałem głodu, — mówił do Ryszarda, — ale teraz nareszcie koniec. Pan się jakoś tak bardzo nie cieszy; pamiętam zresztą, że pan również nie umiał się prawdziwie martwić i najspokojniej podkpiwał sobie, gdy nie było co jeść.

— Życie mnie nauczyło hamować uczucia, chociaż teraz cieszę się naprawdę bardzo, że wracamy.

— Jak też tam zastaniemy w kraju. Niemcy podobno starannie wszystko ogołocili.

— Dla mnie, — rzekł Ryszard, — może być nawet głód, abym tylko dostał się do Polski. Ziemia na-

sza, nawskroś rolnicza, na długo ogłodzić się nie da; urodzi — i starczy chleba dla wszystkich, a przytem komendant Piłsudski to dobry gospodarz.

Gdy niedługo nadeszła chwila odjazdu i lokomotywa rozdarła swym świstem powietrze, a pociąg powoli ruszył ze stacji, Ryszard z panem Mareczkiem klękli i obaj serdecznie modlić się zaczęli, dziękując Bogu, że jadą do kraju. Potem wyglądali oknem, patrząc na mijane sioła, pola i lasy. Nie uczuwali żadnego żalu, że spoglądają na nie po raz ostatni.

Od czasu do czasu zatrzymywano się na stacjach. Obaj podróżni przyglądali się ciekawie snującym się po peronach ludziom; ci jednak zdawali się być przygnębieni, głodni, chorzy i smutni.

— Nie tęgo — zauważył Ryszard, — musi im się dziać; mają miny jakgdyby spacerowali po więziennem podwórzu.

— Bo życie ich podobne jest do więziennej niewoli.

O godzinie drugiej podano im doskonały obiad; z zapałem, jak dzieci, zabrali się do spożycia smacznej zupy, z uznaniem przyjęli mięso z marchwią, a gdy na deser podano kompot z suszonych śliwek, Ryszard rzekł:

— Przyjemna podróż, jak na wycieczce. Nawet mają jarzyny i taki zbytek — suszone śliwki.

— Prawdopodobnie tem się to tłomaczy, że początkiem ich marszruty była Syberja; tam o wiele łatwiej o żywność, niż w centralnej Rosji.

— Dziwić się tylko należy, że bolszewicy nie zabrali im tych zapasów.

— Nasz doktór musi być energiczny; daje to pewną gwarancję, że cało nas do Warszawy przywiezie.

Około godziny czwartej przyjechali do Wiaźmy. Ponieważ zatrzymali się przeszło pół godziny, obaj podróżni wyszli na peron, aby zaczerpnąć świeżego powietrza i rozprostować nogi. Mimo, iż otoczenie, smutne, jak wszędzie w Bolszewji, nie dawało żadnej podniety do wesołości, rozmawiali głośno, dzieląc się spostrzeżeniami. W pewnym momencie zbliżył się do nich miejscowy urzędnik i spytał po polsku:

— Przepraszam panów, czy ten pociąg idzie do Warszawy?

— Tak, — odrzekł Ryszard.

— Ciekaw też jestem, kogo wiezie do kraju? Czy jadą w nim sami wojskowi i chorzy?

— Przeważnie tak; jest jednak kilku cywilnych podróżnych, którzy mają pozwolenie na wyjazd od władz bolszewickich.

Urzędnik zasmucił się nie na żarty i powiedział:

— Szczęśliwi ludzie! Ja już od pół roku staram się, by mnie stąd wypuścili, lecz nic nie mogę wskórać.

— Pan jest, jak widzę Polakiem, — odezwał się Mareczek.

— Tak, proszę panów. Przez kilkanaście lat pracowałem na kolei Nadwiślańskiej. W roku 1915 wywieźli mnie Moskale do Rosji i od tej pory zaczęła się moja męka. Obecnie pełnię tu obowiązki kasje-

ra bagażowego i przymieram głodem z żoną i trojgiem dzieci; stosunki straszne! Człowiek niepewny dnia, ani godziny. Zdarzają się wypadki, że zabierają człowieka z domu, wyciągają go poprostu w nocy z łóżka i — więcej nie wraca. Ja i żona zestarzeliśmy się przedwcześnie, gdyż żyjemy ciągle w nerwowem napięciu, patrząc przytem, jak dzieci nasze z każdym dniem są chudsze i mizerniejsze. Nieraz prosimy Boga, żeby nas lepiej zabrał z tego świata, gdyż niema żadnej nadziei, aby cokolwiek zmieniło się na lepsze.

— Czy nie może pan wysłać żony i dzieci pierwszym lepszym pociągiem, o potem zaryzykować samemu przedrzeć się w nocy?

— Ach, panie, o tem nawet myśleć nie można. Złapaliby mnie natychmiast na następnej stacji i roztrzelali. Niema pan pojęcia, jak nas tutaj szpiegują.

— Znaczy się, że gwałtem pana trzymają?

— Nie mają fachowych urzędników, a przytem nie chcą, żebyśmy roznosili po świecie, jaka u nich gospodarka.

— Znaczyłoby to, że nie tylko Polaków nie wypuszczają z granic Rosji.

— Przymus ten stosuje się do wszystkich, którzy nie chcą się przejąć zasadami komuny; Polaków jednakże uważają za kontrrewolucjonistów.

— Niech pan wierzy w miłosierdzie Boskie—odezwał się pan Mareczek. My też przeżyliśmy niejedno, a przecież wracamy do ojczyzny.

Dano znak do odjazdu. Obydwaj śpiesznie pożegnali biednego rodaka, życząc mu raz jeszcze poprawy losu.

W pociągu spodziewano się rewizji ze strony Bolszewików, lecz jednak szczęśliwie bez tego się obeszło. Wkrótce ruszyli w dalszą drogę.

Na drugi dzień rano przyjechali do Orszy, owej sławetnej granicy demarkacyjnej między Rosją, a ziemiami, okupowanemi przez Niemcy. Na tej więc stacji ze względów formalnych, które zresztą dość pomyślnie doktór Uściński załatwił, zatrzymali się nieco dłużej. Obaj panowie spacerowali po peronie, podczas gdy pociąg odstawiono na boczną linję. Z odrazą patrzyli na brudne budynki i sale zarówno pierwszej jak i trzeciej klasy, pełne zaduchu i śmieci. Mieściły one tylu powracających do kraju podróżnych, że ludzie zdawali się tłoczyć i dusić. Wszyscy oni oczekiwali z niecierpliwością, aż będą mogli stąd wyruszyć.

Byli to przważnie Rusini, powracający z tułaczki po Rosji, lecz tu i tam dolatywała polska mowa. Chorzy i dzieci spoczywali na gołej podłodze, w braku lepszego pomieszczenia.

Ryszard zwrócił się do jednego starszego jegomościa z zapytaniem.

— Oddawna pan tutaj obozuje?

— Już przeszło dwa tygodnie. Co dzień dowiaduję się w komitecie i zawsze nieodmiennie słyszę, że jutro. Nazajutrz znów tłumaczą mi, iż Niemcy nie

pozwolili. Kończy się nasza cierpliwość i — pieniądze na życie.

— Nie próbował pan znaleźć jakiejś protekcji?

— Nikogo tu nie znam, a nawet i pieniądze niewiele mogą dopomóc. Dawniej, jeśli kto miał trochę gotówki, mógł sobie wszystko załatwić, teraz nie tak łatwo. Tu dawniej za stacją obozowało w polu po tysiąc rodzin, czekając po kilka miesięcy, zanim pozwolono im jechać dalej. Dzieci i starcy marli z głodu i niewygód; mór dziesiątkował nieszczęśliwych wychodźców, a Niemcy byli nieugięci i nieczuli jak głaz. Dopiero jak tą sprawą zajął się w Warszawie Aleksander Lednicki, wysłano do Orszy doktora Ślaskiego i inżyniera Słubickiego, by uregulowali całą tę sprawę. Opowiadali mi o tem urzędnicy kolejowi, którzy tu u Bolszewików pracują.

— Dużo jest wśród nich Polaków?

— Garstka się znajdzie. Kto mógł, to uciekał do Polski, nie oglądając się poza siebie. O ile nie mogą zrobić tego legalnie, ryzykują życie i przedzierają się ukradkiem; mogą sobie naturalnie pozwolić nato tylko ludzie samotni.

— Ciężko nawet słuchać tego, co pan opowiada, a cóż dopiero przeżyć na własnej skórze.

— Tak, panie, to prawdziwa krzyżowa droga. Pół kilometra stąd, na zachód jest specjalnie założony cmentarz. Powstał przed kilkoma miesiącami, a już pełen jest świeżych mogił. Wokoło tego smutnego miejsca widać wyraźnie ślady baraków i jam, wygrzebanych w ziemi, które służyły nieszczęsnym za

schronienie. Któregoś dnia poszedłem z żoną i dziećmi w tę stronę, to nie mogliśmy potem spożyć posiłku, tak dławił nas żal. Tyle zmarnowanych istnień, tyle pogrzebanej nadziei. Ja sam pewnie z moją rodziną tak skończę, gdyż wyczerpaliśmy wszelkie możliwe środki.

— A proszę mi powiedzieć dokąd pan zamierza jechać?

— Do Radomia. Przed wojną pracowałem tam w gubernialnym urzędzie. Zostawiliśmy całe gospodarstwo — dorobek tylu lat pracy.

Ryszard z panem Mareczkiem postanowili zobaczyć na własne oczy tę w swoim rodzaju pamiątkę wojenną, jaką wychodźcy zostawili po sobie, by widomym znakiem mówiła o krzywdzie i niesprawiedliwości.

Gdy podzielili się wrażeniami z doktorem Uścińskim, postanowił on również zwiedzić ów tragiczny cmentarz. Przed wyjazdem polecił przesłać biednemu Radomiakowi trochę żywności i o 12-ej w południe ruszono w dalszą drogę.

Pociąg ujechał zaledwie trzy kilometry i stanął w Orszy, tak zwanej towarowej. Tutaj rządziły już władze niemieckie. Po załatwieniu formalności, pociąg otrzymał obsługę niemiecką i miejscowy parowóz, poczem dano znak do odjazdu.

Rano dnia następnego dojechali do Mińska, gdzie znów zatrzymano się na parę godzin. Doktór Uściński natrafił na wyjątkowo grzecznego i uczynnego ofi-

cera armji pruskiej, kapitana von Stechowa, który ułatwił dalszy przejazd.

Kiedy wreszcie pociąg zaczął mknąć wśród poleskiej ziemi, gdy mijano martwe, śniegiem pokryte pola, kurne chaty, i mizerne sioła białoruskie, w sercach zbudziła się radość, bo czuli, że zbliżają się do Polski.

Naokół znać było na każdym kroku ślady wojny: popalone dworce, zrujnowane ze sterczącemi zgliszczami budynki, prymitywne baraki, a wszędzie ślady okopów i zwoje splątanych drutów przypominały, ile przeżyto nieszczęść, ile doznano niedoli.

Jeśli wypadło przejeżdżać przez rzekę, jechano bardzo wolno po prowizorycznych mostach, gdyż żaden z dawnych nie ocalał.

Pozatem kraj zdawał się być wyludniony. Tylko na stacjach kolejowych tu i tam kręcili się niemieccy urzędnicy. Rzadko można było napotkać miejscowego Rusina, przypędzonego z pobliskiej wsi bagnetem do przymusowej roboty.

Gdy zatrzymali się w Brześciu, zrujnowany dworzec nie różnił się od innych mijanych poprzednio stacji. Obok zaś miasto, dawniej dosyć handlowe i uprzemysłowione, zamieszkałe przeważnie przez Żydów, zostało prawie doszczętnie zniszczone i wyludnione. Sterczały tylko zgliszcza.

Mknęli szybko, patrząc ze smutkiem na liczne ślady wojny. Dworce, które teraz mijali już były obsługiwane przez Polaków. Dzięki temu wszyscy poczuli się już jak w domu. Rozmawiano z konduktorami,

dowiadując się ciekawych dla siebie szczegółów. Specjalnie interesowało wszystkich, w jaki sposób odbywało się rozbrojenie Niemców. Mówiono, iż kraj, chociaż wyniszczony, szybko odrodzi się materjalnie. Naród pokładał wielkie nadzieje w Naczelniku Państwa, Józefie Piłsudskim.

Ani się spostrzegli, jak pociąg zatrzymał się w Miłośnie.

— Patrzcie — zawołał Ryszard — dojeżdżamy do Warszawy! O, Boże drogi! jakżeś dla nas łaskaw!

Zaczęli gorączkowo pakować rzeczy, aby jaknajszybciej móc opuścić wagon. Gdy wszystko już zostało naszykowane a pociąg ciągle jeszcze był w biegu, Ryszard usiadł na ławce i podparłszy głowę rękoma, myślał:

— Oto się kończy moja tułaczka. Oto staję u kresu drogi do wolnej Ojczyzny, powróconej narodowi Polskiemu po półtorawiekowej niewoli. Będę mógł patrzeć, jak na gruzach zniszczeń wojennych odradzać się będzie potęga Jagiellonów, Batorych, Sobieskich. Jak polski rząd pod kierunkiem Wielkiego Bohatera nowych dziejów Niepodległej Polski, Józefa Piłsudskiego, tworzyć będzie nową potęgę w sercu Europy. Daj Boże, abym mógł jeszcze stanąć w szeregach pionierów pracy dla państwa.

Pociąg wolno wjechał na peron. Ryszard nie mógł oderwać się od okna. Przed oczami jego stanął obraz odjazdu ostatniego pociągu ewakuacyjnego z przed przeszło trzema laty. I jak wówczas łzy rozpaczy cisnęły mu się do oczu, tak teraz chwycił go dziwny

skurcz i łzy potoczyły się po twarzy, na której malowały się przebyte ciężkie chwile na tułaczce. Lecz były to łzy radości, łzy szczęścia tak wielkiego, jakie odczuć może serce, miłujące Ojczystą Ziemię ponad wszystko na świecie.

Pociąg zatrzymał się na stacji. Ryszard widział jak przez mgłę, kręcących się wokół ludzi. Wydało mu się, że wszyscy są uśmiechnięci, żadowoleni...

Z boku peronu stała grupka osób. Byli to bliscy i krewni tych, których doktór Uściński wiózł w swym pociągu. Między zebranymi Ryszard dojrzał swego dawnego kolegę, ówczesnego naczelnika stacji Głównej. Zostawiwszy swe rzeczy panu Mareczkowi, wybiegł szybko z wagonu i zawołał:

— Stasiu kochany, jak się masz! Poznajesz mnie? Pamiętasz jakżeśmy w 1915 roku opuszczali Warszawę? Jak to wszystko było dawno! Przecież dziś mamy 5-ego grudnia 1918 roku.

— Ryśku — krzyknął tamten. — Dopiero teraz powracasz? Ja już przed trzema laty wyrwałem się stamtąd i, jak widzisz, pracuję już w swoim kraju.

Jeden przez drugiego starali się chaotycznie opowiedzieć wszystko, co przeżyli. Radzono przytem, jak znaleźć odpowiednie lokum dla Ryszarda. Nie była to sprawa tak łatwa, gdyż Warszawa, stawszy się prawdziwą stolicą, zwiększyła znacznie ilość swych mieszkańców.

Rozdział XVI.

WE WŁASNEJ WOLNEJ OJCZYŹNIE.

Ówczesna Warszawa, dotkliwie ogołocona przez Niemców, gdy się pozbyła najeźdźców, jakgdyby przebudziła się z ciężkiego letargu, poczęła przyoblekać barwy narodowe. Wszędzie uwidoczniało się pewne odprężenie; panowała przytem ogólnie jakaś wielka radość i wiara w to, co przyszłość przyniesie. Zaczęto nareszcie rozumieć, że skończyła się długoletnia niewola i straszna wojna, pochłaniająca życie i mienie ludzkie. Z jednego tylko nie zdawano sobie sprawy: z tego, że potrzebne są dalsze ofiary. Po tyloletniem cierpieniu musiał nastąpić okres rekonwalescencji. Cały organizm kraju musiał cierpliwie znosić proces metamorfozy, jaka musiała nastąpić po ciężkiej i uporczywej chorobie. Nie znalazłby się napewno żaden lekarz na świecie, który mógłby w podobnej sytuacji uleczyć bezboleśnie.

Pierwsza stanęła ofiarnie do pracy inteligencja, rozumiejąca doskonale, jakie na niej ciążą obowiąz-

ki. Całe zastępy urzędników objęło odpowiednie stanowiska, nie bacząc ile i co zato dostaną.

Otuchą napełniało wszystkich to, że na czele narodu stanął człowiek, który od zarania swego życia poświęcił się pracy, zmierzającej ku wyzwoleniu Ojczyzny.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia, pierwsze w wolnej ojczyźnie. Obchodzono je w całej Polsce bardzo uroczyście. Wślad za tem przyszedł karnawał — i, chociaż wszyscy byli potężnie ogołoceni, bawiono się chętnie, gdyż Polacy wogóle łatwo otrząsają się z trosk i niepowodzeń.

Tak było wewnątrz kraju. Na kresach wschodnich jednak siedział Niemiec i zdawało się narazie, że nigdy się stamtąd nie ruszy. Nastrój dla Niemców panował tak nieprzychylny, że nawet ludność cywilna gotowa była z nimi iść walczyć.

Tymczasem Komendant Piłsudski dokonywał wielkiego dzieła: z niczego bowiem tworzył polską armję, która z każdym dniem rosła i olbrzymiała, gdyż ze wszystkich stron świata dążyli ku swej Macierzy rozproszeni Polacy i chętnie stawali w szeregach ojczystej armji pod komendą ukochanego Wodza Legjoniści również mieli wielkie pole do popisu i należy stwierdzić, że z zapałem spełniali swą powinność i wielce przyczynili się do stworzenia naszej mocnej armji. Inne polskie organizacje wojskowe, również dawały, wprawdzie najczęściej młodego, lecz inteligentnego i brawurowego żołnierza.

W ten sposób powstała przeszło ćwierćmiljonowa armja, by w razie potrzeby stawić czoło wrogowi.

Wreszcie Polacy doczekali się chwili, gdy Szwabi na kresach zmuszeni byli do odwrotu. Było to w lutym; pozornie niespodziewanie poczęli uciekać i w ciągu trzech dni nie pozostawili po sobie nic więcej, poza koszmarnemi wspomnieniami, które się chyba nigdy nie zatracą w naszej pamięci.

Mimo, iż z wielu miast zostały tylko zgliszcza, jak np. Ostrołęki, Pułtuska, Kalisza i innych, a całe połacie kraju zrujnowane i wyniszczone, leżały odłogiem, zabrano się z otuchą do pracy. Zato wszędzie przybyło cmentarzy i grobów. Mogiły te, np. w Kaliszu, gdzie rozstrzelano wiele ludności, nie szczędząc starców, ni dzieci, przez długie lata świadczyć będą o barbarzyństwie Teutonów. Nazwisko majora Preuskera, który pierwszy wszedł do Polski, wnosząc miecz, gwałt, zbrodnię i pożogę, nie prędko się również zatrze w pamięci. W ciągu długich wieków szczepiali w nas Niemcy nienawiść. Nauczyli nas pogardzać złym sąsiadem, co nie zna uczuć miłości bliźniego. Już sam Kalisz wystarczył za dobrą lekcję.

Pomału, lecz systematycznie zaczęło się w Polsce wszystko wznosić z gruzów i odradzać. Wkrótce wszelkie arterje państwa zaczęły sprawnie działać, a największym rozmachem w rozbudowie odznaczyło się wojsko i kolejnictwo, gdyż szybko się zorganizowało i udoskonaliło, stawiając nas wobec Europy na jednem z czołowych miejsc. Uznali to nawet nasi najwięksi wrogowie.

Nie pozostaliśmy również w tyle na polu wynalazków i twórczości: nasza awjatyka, technika i dziedzina chemji potwierdzają twórcze zdolności polskiego narodu.

Tężyzną i wytrwałością w krótkim przeciągu czasu potrafiliśmy maleńką wieś rybacką zamienić na potężny nasz port, Gdynia. Już ona sama daje o nas światu dobre świadectwo.

Niechętni zawsze się znajdą; tak i u nas nieraz zadźwięczy tu czy ówdzie nuta niezadowolenia. Lecz innych — tych dzielnych i wytrwałych — zachęca to jeszcze bardziej do pracy.

Bohater naszej powieści, Ryszard Wąwolnicki, nie opływał narazie w dostatki. Nie korzystając z żadnej protekcji, zgłosił się do zarządu kolei, gdzie dano mu o wiele skromniejsze stanowisko, niż zajmowali inni, młodsi od niego koledzy. Mimo szczupłej pensji, dawał sobie doskonale radę. Nieraz brakowało na obiad, lub nie było za co kupić ubrania; nie tracił jednak humoru zadowolony, że doczekał się oswobodzenia Ojczyzny. Zaczął wreszcie wierzyć, że nadejdzie chwila, w której i jemu uśmiechnie się szczęście, bo oto rzeczy zgoła pozornie nieprawdopodobne stawały się realne. Przecież pamiętał tak dobrze młodzieńcze lata, spędzone w rosyjskim korpusie kadetów, kiedy myślał o wyrwaniu Ojczyzny z pęt zaborców, jak o czemś, co prędko się ziścić nie może. Zdarzyło się, że rozmawiał o tem z rosyjskim pułkownikiem Dmitraszewskim; ten mu odpowiedział z pobłażliwą ironją: „jak skończysz nasz korpus,

a doczekasz się wolnej Ojczyzny, to zostaniesz tam jenerałem". On zaś, zrozumiawszy ironję, odparł bez namysłu:, ,nie marzę o tak wysokiej szarży; pragnąłbym być we własnej Ojczyźnie tylko prostym, lecz dobrym żołnierzem. Mógłbym ją wtedy bronić przed napastliwością wroga".

Obecnie marzenia się spełniły: Ryszard stanął do pracy w wolnej Polsce, jako oddany jej szeregowiec.

EPILOG.

Mijały miesiące. Ryszard coraz częściej odczuwał, że zdrowie mu nie zupełnie dopisuje. Wszystkie lata przeżyte na wygnaniu i w niedostatku dawały się we znaki.

Ryszard po latach, spędzonych na obczyźnie i trudnym materjalnie okresie, jaki przeżywał w kraju, czuł się rozstrojony nerwowo. Raz wraz nawiedzały go niedomagania, których bliżej nie umiał określić. Postanowił wreszcie zasięgnąć rady jednego ze znanych najlepszych ówczesnych lekarzy, doktora Pawińskiego, który po dłuższej konsultacji zawyrokował, że konieczna jest kuracja w Truskawcu.

Truskawiec, podkarpackie malownicze ustronie, przez wojnę światową ucierpiał bardzo wiele. Po wybuchu bowiem wojny 17 września 1914 roku zajęli go moskale, buszując w nim do 14 maja 1915 roku. W tym czasie dopiero udało się wojskom centralnym miejscami usunąć armję rosyjską ze Wschodniej Małopolski. Moskale też w popłochu uciekając, niszczyli wszystko na swój sposób, a więc paląc i ruj-

nują miasta i wsie. Takie nieszczęście spotkało też odległy od Truskawca o 8 kilometrów Drohobycz, i zagłębie naftowe Borysław, w którym podpalili szyby naftowe i ogromne rezerwuary w Modryczu. Huki też straszne i detonacje, oraz kłęby czarnego dymu, snującego się pod niebiosa na przestrzeni kilkunastu kilometrów, znaczyły odwrót moskali. Na ich miejsce przez góry podkarpackie do Małopolski weszła sprzymierzona armja austrjacko-niemiecka, zajmując Truskawiec na kadry ćwiczebne niemieckiego wojska i natychmiast organizując lazaret dla kuracji rannych. Na tem tle nieraz powstawały nieporozumienia i ostre starcia pomiędzy oficerami armji pruskiej i austrjackiej, gdyż tym ostatnim, pomimo tego iż znajdowali się w swym zaborze, prusacy czynili wszelkie wstręty i przeszkadzali im w lokowaniu się. Teutońska bowiem zachłanność, jak zwykle, objawiała się nawet między wojskami sprzymierzonemi. Pomimo więc otwieranych letnich sezonów, nikt z kuracjuszy nie odważył się na przyjazd do Truskawca. Zakład zaś kąpielowy, jak i właściciele will, nie tylko że pozbawieni byli przez kilka lat wszelkich dochodów, lecz wojska niemieckie przez czas swej bytności w Truskawcu, tak zniszczyły budynki i wszelkie untelsylja, że trudno byłoby wznowić sezony.

Austrjacy zaś i Niemcy opuścili Małopolskę w jesieni 1918 roku, ustępując wszystko ukraińcom, którzy znów zaczęli rządzić na swój sposób. Dopiero 19 maja 1919 roku weszło do Truskawca z nie-

cierpliwością oczekiwane wojsko polskie z pułkownikiem Berbeckim na czele i to położyło koniec wszelkim wandalskim wyczynom okupantów, i zapewniło spokój i bezpieczeństwo mieszkańcom.

Kilkoletnia wojna w tym miłym zakątku dała się wszystkim dotkliwie we znaki. Wszyscy też, jakby po strasznym jakimś katakliźmie, chwycili się rączej pracy, by jaknajprędzej wszystko oczyścić, uzupełnić, naprawić, i przygotować do przerwanych kuracyjnych sezonów. Przedewszystkiem ruchliwy i wielce obrotny właściciel zakładu kąpielowego energicznie zabrał się do pracy, a zadanie to nie było łatwe, gdyż potrzebowało nietylko dużo wytężonej pracy, lecz i wielkiego nakładu. I przyznać należy, że przy swych wysiłkach, w krótkim czasie, zakład ten doprowadził do stanu możliwych sezonów. Obecnie, co rok ulepszając wszelkiemi inowacjami, postawił go w rzędzie pierwszorzędnych naszych zakładów balneologicznych. Zakład ów, ze względu na przyrodzone właściwości błogosławionej „Naftusi", ma wielką przyszłość przed sobą.

Pomimo tego, że w 1919 roku Warszawa nie była pewna, czy Truskawiec po ciężkich opresjach wojennych przygotował się na przyjęcie gości już z własnej stolicy, pan Ryszard, posłuchawszy rady doktora Pawińskiego, przyjechał tam w sierpniu, i zastał wszystko doprowadzone do porządku.

Sześciotygodniowa kuracja kąpielami i „Naftusią" oraz miły pobyt w uroczym zakątku z sympatyczny-

mi ludźmi postawiły go na nogi, pozwalając zapomnieć o fizycznych niedomaganiach. Pełen więc zasobu sił i szczęśliwy, że ziściły się jego dziecinne marzenia, stanął znów, jak wielu innych, do pracy w wolnej Ojczyźnie.

KONIEC.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

TEGOż AUTORA POPRZEDNIO WYDANE PRACE.

Przed wojną światową:

PROTEKCJA WUJASZKA — powieść.
TRÓJKĄT MAŁŻEŃSKI. Krotochwila.
SZKICE Z ŻYCIA KOLEJARZY. Tomy: I, II i III. Nowele humorystyczne z ilustracjami Franciszka Kostrzewskiego.
PAMIĘTNIKI WIĘŹNIA CYTADELI WARSZAWSKIEJ. Fragment.
W PĘTACH ANARCHISTKI. Powieść.

Po wojnie:

OSTATNIE SPOTKANIE. Powieść z okresu wojny światowej . . . . zł. 6.00
SADYSTA. Nowele i opowieści . . . . . „ 2.50
KOKOTA. Nowele i opowieści . . . . . „ 2.50
DETEKTYW W SPÓDNICY. Nowele i opowieści . . . . „ 2.50
DLA OJCZYZNY. Powieść z niedawno minionej przeszłości (Trylogji t. I) . . . „ 5.00
DROGA DO WOLNEJ OJCZYZNY. Powieść na tle dziejów wychodźtwa polskiego w Moskwie w latach 1915—1918 (Trylogji t. II) . . . . „ 5.00

2000